MIESIĘCZNIK

8(23) SIERPIEŃ 1984 CENA 50 ZŁ

fantastyka

PL ISSN 0209-1631



Numer ze smokami

Profesjonaliści i amatorzy SF na spotkaniu w Brighton

W drugiej połowie kwietnia br. w Brighton (Wielka Brytania) odbyły się aż trzy wielkie imprezy SF o charakterze międzynarodowym:

- ZJAZD WORLD SF - organizacji skupiającej w swoich szeregach profesjonalnych pisarzy, filmowców, artystów i animatorów fantastyki naukowej,
- IX EUROPEJSKI KONGRES SF (Eurocon),
- KONGRES BRYTYJSKIEJ SF (Seacon).

Na imprezy te zjechało się około 2000 wydawców, pisarzy i przedstawicieli związków twórczych SF oraz przedstawicieli fandomów SF z całego świata. Zgodnie z tradycją WSF, Euroconu i Seaconu przyznano w Brighton nagrody europejskie za najwybitniejsze osiągnięcia w dziedzinie twórczości i upowszechniania SF. Wybrano również nowe władze WSF i Euroconu.

WYNIKI WYBORÓW WŁADZ WORLD SF

Prezydium zarządu: Przewodniczący - Sam J. Ludwall (Szwecja), Sekretarz - Gerald Bishop (Wielka Brytania), Skarbnik - Harry Harrison (Irlandia).

Członkowie zarządu: Brian Aldiss (W. Brytania), Annemarie van Ewyck (Holandia), Charlotte Franke-Winheller (RFN), Sakyo Komatsu (Japonia), Peter Kuczka (Węgry), Piergiorgio Nicolazzini (Włochy), Jeremiej Parnow (ZSRR), Frederick Pohl (USA), Ye YongLie (Chiny), **Janusz A. Zajdel (Polska)**.

NOWE WŁADZE EUROCONU

Na XI Kongresie ESSF doszło tylko do nieznacznej zmiany Sekretarzem Generalnym ESSF na kraje Europy Zachodniej został Bernard Goorden (Belgia).

NAGRODY PRZYZNANE PRZEZ WORLD SF

- specjalna:
  Kongres Brytyjskiej SF - Seacon'84
- im. Karela dla najlepszych tłumaczy:
  Marcial Souto (Urugwaj)
  George Balanos (Grecja)
  Wasyl Zacharczenko (ZSRR)
  Maxim Jakubowski (Francja)
- za wybitny wkład pracy w upowszechnienie SF:
  Annemarie van Ewyck (Holandia)
- Nagroda Przewodniczącego WORLD SF za niezależność myśli:
  Takumi Shibano (Japonia)
  Donald Wollheim (USA)
- Nagroda im. Harrisona za podnoszenie rangi SF:
  lon Hobana (Rumunia)
  John Bush (Wielka Brytania)

NAGRODY PRZYZNANE PRZEZ EUROCON

- specjalne:
  Międzynarodowe Centrum Dokumentacji Literatury SF (Belgia)
  Jeremiej Parnow
- dla autorów najlepszych powieści:
  Z. Guddas (Włochy)
  Janusz A. Zajdel (Polska)
- dla autorów najlepszych opowiadań:
  A. de Ceglie (Włochy)
  Kirył Bułyczow (ZSRR)
- dla najlepszych wydawnictw:
  Fleuve Noir (Francja)
  Izdatielstwo Mir (ZSRR)
- dla najlepszych grafików:
  G. Festino (Włochy)
  Ryszard Wojtyński (Polska)
- dla najlepszych magazynów profesjonalnych:
  Fiction (Francja)
  Sinus (Jugosławia)
- dla najlepszego fanzinu:
  Andromeda Nachrichten (RFN)
  Hellion (Rumunia)
- za najlepszy scenariusz filmowy:
  R. Elrer(RFN)
  C. Ajtmatow (ZSRR)
- dla najlepszego reżysera:
  M. Jankovits (Hiszpania)
  Piotr Szulkin (Polska)



Sala obrad - w głębi delegacja polska i radziecka



Od lewej: Sam. J. Lundwall (przewodniczący WSF), Brian Aldiss (członek zarządu WSF), PierreBarbet (koordynator Euroconu)



Harry Harrison (skarbnik WSF) w towarzystwie Jacka Rodka („Fantastyka”)

NAGRODY PRZYZNANE BRYTYJCZYKOM

PRZEZ SEACON'84

- specjalna za naukę w SF: Nicholls, Langford i Stableford
- dla autora najlepszej powieści: John Brunner
- dla autora najlepszych opowiadań: James G. Ballard
- dla najlepszego wydawnictwa: Golanch
- dla najlepszego grafika: D. Hardy
- dla najlepszego magazynu: Foundation
- dla najlepszego fanzinu: Epsilon



Sceny pełne napięcia, wartka akcja - ale wszystko raczej w tonie poważnym - taki jest warsztat pisarski Rogera Żelaznego, Charakter i walory tego warsztatu Czytelnicy „Fantastyki” mogli poznać w jego „Alei Potępienia” (nr 5/83). Żelazny potrafi jednak być zupełnie inny, żartobliwy, zachęcający do uśmiechu. Taki właśnie ukazuje się nam w swojej krótkiej noweli o szukającym fortuny rycerzu i skłonnym do zgody smoku.

Roger Żelazny: „Jerzy i smok”.

Opowiadania i nowele

Steven Edward McDonald
Jedwabny smok

„- Proszę o wybaczenie, pani, ale nie wypada tak spacerować bez ubrania - powiedziała Rit. - Ubranie, do wkładania którego mnie zmuszasz, moja mata Rit Ho-chep, przeszkadza w walce...”

Dave Smeds
Opętanie

„Alemora ogarniało coraz większe oszołomienie. Jak przez mgłę widział smoka, balansującego w konwulsjach na krawędzi urwiska i spadającego ku śmiertelnemu zderzeniu z najeżoną głazami plażą. Dotarł do niego ostatni wrzask umysłu zdychającego potwora”.

Roger Żelazny
Jerzy i smok

„A teraz przećwiczmy nasze role... Ruszę na ciebie z pochyloną kopią i będę celował w twój bok po przeciwnej stronie, niż ona będzie stała. Ty podniesiesz skrzydło, złapiesz nim kopię i zaczniesz wrzeszczeć wniebogłosy. Ziej przy tym ogniem...”

Powieść

Anne McCaffrey
Jeźdźcy smoków (1)

„Smocza” seria powieści Anny McCaffrey przyniosła autorce popularność i uznanie miłośników literatury typu fantasy. Kolejne pozycje byty wielokrotnie wznawiane, zaś powieść, którą przedstawiamy naszym Czytelnikom, zdobyła dwie cenione w USA nagrody: Hugo Gernsbacka i Nebula Award.

Z polskiej fantastyki

Jacek Piekara
Smok

„Chcieli rzucić się na bestię, ale komes powstrzymał ich. Wystąpił naprzód.
- Co tu robisz, Hargi? Z tym potworem?
- Panie - rzekł szybko młodzieniec - ten smok jest strażnikiem ukrytych skarbów. Cała historia naszej krainy jest tu, w tych komnatach...”

Andrzej Drzewiński
Intryga

„Gdyby w środku wybuchł granat, lepszego efektu by nie wywołał. Ludzie rozbiegli się po statku, paru starych mężczyzn podbiegło do czwórki i dobrowolnie się rozebrało...”

Krytyka

Recenzje

O „Śmierci na żywo” D.G. Comptona pisze Maciej Parowski, o polskim pochodzeniu Ursuli Le Guin - Andrzej Niewiadowski i o najnowszej książce Strugackich - Leszek Bugajski.

Krytycy o fantastyce

Szkic Tatiany Czernyszowej ukazujący wielostronne więzi między dawnymi mitami i współczesną literaturą fantastyczną.

Słownik polskich autorów fantastyki

Sylwetki i twórczość Wojciecha Gutkowskiego, (1775-1826), nestora literatury fantastycznej i Rajmunda Hankego (ur. 1938).

Spotkanie z pisarzem

Krzysztof Boruń: „Pisanie jest dla mnie pewnego rodzaju próbą konstruowania na własny użytek rozmaitych światów, zadawania sobie pytań i szukania na nie odpowiedzi...”

Nauka i SF

Cywilizacja na asteroidach?

Szkic znakomitego amerykańskiego popularyzatora nauki Jerry Pournelle’a o technicznych możliwościach opanowania pasa asteroid.

Coś nowego o latających talerzach

Maciej Iłowiecki przedstawia najnowsze, naukowe próby wyjaśnienia zagadki UFO.

Dzisiejszy start podejmuję z zamiarem opisania kłopotów, trudności i w ogóle problematyki współpracy międzynarodowej autorów i wydawców literatury SF, która nie przynosi widocznych wyników mimo takich wydarzeń, jakim był na przykład tegoroczny meeting Światowej Organizacji Profesjonalnych Twórców SF w Brighton połączony z licznym zlotem fanów z kontynentu i z Anglii. Ludzie zjeżdżają się i rozjeżdżają. I zbyt mało po tych spotkaniach pozostaje. A przecież są to wszystko twórcy i działacze fantastyki znający się od lat i nieźle wiedzący co trzeba robić. Skąd więc ta niemożność?

Barier jest kilka, Kierownictwo World Science Fiction skarżyło się na kłopoty finansowe, nie pozwalające, jak dotychczas, na wydanie, a ściśle mówiąc na zakończenie prac edytorskich nad almanachem międzynarodowym, w którym zostałyby zaprezentowane utwory pisarzy kilkudziesięciu krajów. Ciągle nie ma oficyny wydawniczej, mającej chętkę na wydrukowanie takiego dzieła. Paradoksalnie zabrzmiała oferta przedstawicieli Krajowej Agencji Wydawniczej, członków naszej polskiej delegacji deklaracja pomocy w dokończeniu almanachu. Tyle bogatych krajów, tyle wydawnictw wokoło. Nic to. Rozlazła się po kościach - jak to się potocznie nieraz mówi dyskusja na temat barier wydawniczych prowadzona zresztą bardzo otwarcie w gronie międzynarodowym. Dotyczyła ona zwłaszcza barier między strefą językową angielską a pozostałymi krajami. W ogromnej wielotysięcznej masie tytułów, publikowanych po angielsku, tylko nikły, nawet nie procent, lecz promille, może wykazać się pochodzeniem spoza anglosaskiej strefy. Wydawcy z Ameryki i Anglii utyskiwali na brak odpowiednich tłumaczy, np. z języka polskiego (dziwne to zjawisko wobec sporej rzeszy naszych rodaków znajdujących się poza granicami kraju). Propozycję zaś, aby wyszukiwać odpowiednich tłumaczy w krajach strefy nieangielskiej i tam wybierać utwory najlepsze do tłumaczenia i przekazania na szersze forum - przyjęto dość kpiąco. Wydawcy - wyjaśniono - pragną mieć swoich zaufanych tłumaczy. Niestety, rozeznanie w jakości dzieł z zagranicy przez edytorów z obydwu stref - to znaczy tych anglosaskich i pozostałych - jest oparte na ogół na „partyzantce": na mniej lub bardziej przypadkowych znajomościach, koneksjach, przyjaźniach. Nikt poza te bariery nie zdołał się wyraźniej wysunąć.

Muszę się z ubolewaniem przyznać, iż nie



znam zespołu, który przygotowuje międzynarodowy almanach. Wiem jedynie, że almanach ten powstaje pod fachowym i sympatycznym mi osobiście kierownictwem Sama Lundwalla ze Szwecji - nowego przewodniczącego World SF. Wolałbym jednak - mówiąc szczerze - aby to było jasno określone międzynarodowe ciało redakcyjne. Po to przecież egzystuje nasza światowa organizacja profesjonałów. Gdy już mowa o nowych członkach władz organizacji światowej, należy donieść o wyborze naszego rodaka Janusza Zajdla, autora „Limes interior". Przeszedł w głosowaniu uno voce.

Dyskusja na zebraniach toczyła się wokół dość żywotnych, trzeba przyznać, problemów twórczości science fiction. Znany pisarz Brian Aldiss wysunął w swym referacie tezę o deprawacyjnej niejako roli mnożących się wciąż utworów SF związanych z wojną. Wydaje się, że nie docenił antywojennego wydźwięku tego typu niby-wojennej literatury, która ma swoich wybitnych przedstawicieli zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie, że wymienię tu przede wszystkim Lema, którego kariera wyrosła z takich utworów, czy Żelaznego, który drastycznym opisem tego, co mogłoby stać się po wojnie atomowej zawdzięcza wiele ze swego powodzenia.

Fanowie mieli sporo radości. Na zjazd do Brighton zjechało wiele sław z różnych krajów. Był więc rzeczony Żelazny, z którym przeprowadziliśmy wywiad. Był oczywiście Aldiss, którego wiersz stanowiący rodzaj wstępu i kwintesencji powieści „Zycie na Zachodzie" drukujemy w tym numerze. Byli Harrison i Nesvadba, Barbet i Parnow. Pierwsi dwaj występowali nawet jako goście honorowi zlotu fanów - Seacon 1984. Był też Ion Hobana z Rumunii oraz sławny Brytyjczyk Brunner. W rozmowie z państwem Brunnerami usłyszałem wiele zachwytów nad Krakowem, który pragną ponownie odwiedzić.

Nasza delegacja, może to dobrze, że jedna z liczniejszych w tym gronie światowym (Bukato, Hollanek, Markowski, Rodek, Szymański, Wójcik, a więc przedstawiciele „Fantastyki" oraz wydawnictw „Iskry", KAW i „Alfa") - była zabiegana i nieustannie zajęta pozyskiwaniem pozwoleń na druk utworów rozlicznych przybyłych sław. Przeprowadziliśmy dla „Fantastyki" wielce obiecujące rozmowy z Samem Lundwallem, który zdecydował się popierać wysiłki naszego pisma, zmierzające do drukowania utworów znanych twórców w

za polską walutę. Rozmawialiśmy też z Duszanem Slobodnikiem, który reprezentował wydawców bratysławskich. Obiecał nam edycję znaczącego zbioru opowiadań polskich we współpracy z redaktorami „Fantastyki".

Następne spotkanie - zarówno World SF Organisation, jak i nieprofesjonalnych twórców i tanów z Europejskiego Stowarzyszenia SF odbędzie się w Związku Radzieckim, pod Rygą, w wielkim domu pracy twórczej. Zaprosiła na nie całe gremium zawodowców i amatorów delegacja radziecka, która przybyła w składzie: Asincewa (znana tłumaczka), Keszokow (przewodniczący sekcji literatury SF i przygodowej Związku Literatów Radzieckich) oraz Jeremiej Parnow (pisarz).

O nagrodach światowej i europejskiej organizacji piszemy na drugiej stronie okładki. Tamże pełny skład nowych władz World SF i Europejskiego Stowarzyszenia SF. W sumie było dużo roboty, bardzo dużo ciekawych dyskusji i rozmów, ale ciągle jeszcze główne nurty współpracy płyną nazbyt wąskim korytem. I mimo zjazdów i serdeczności każdy sobie rzepkę skrobie. Cała robota nad stopniową zmianą tej sytuacji, bo tu w bardzo szybkie przełomy trudno już uwierzyć - przed nami.

1 0 - 9 - 8 - 7 - 6 - 5 - 4 - 3 - 2 - 1 - 0

Adam Hollanek

Skan i opracowanie **GTW**

MIESIĘCZNIK literacki fantastyka

02-784 Warszawa-Ursynów, ul. Służby Polsce 2, tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy).

Redakcja: Adam Hollanek (red. nacz.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu publicystyki kulturalnej), Maciej Makowski (kier, działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier, działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red), Anna Szubka, Darosław J. Toruń.
Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93.
Terminy przyjmowania prenumeraty: do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; do dnia 1 każdego miesiąca
poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.
Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa P. Z. Graf. RSW Łódź

Nr. Indeksu 35 839 Zam. 1986/84.T 68. N. 137 000 egz.

LĄDOWANIE XVIII

W tym „Lądowaniu” muszę spełnić obietnicę daną tym wszystkim Czytelnikom, którzy bardzo pragną zamienić się z innymi przeczytanymi książkami lub numerami naszego pisma. A więc rubryka „Komu, komu, bo idę do domu”. W związku z pytaniami w wielu listach wyjaśniam, że tytuł rubryki pochodzi od zawołania handlarzy, którzy niegdyś w ten sposób zachęcali do kupna swoich towarów na lwowskim placu targowym, zwanym Krakidałami. Zanim jednak spełnię obietnicę - wiadomość o niecodziennej reperkusji naszych Dni Fantastyki w Dzierżoniowie. Oto nasz Czytelnik z tegoż Dzierżoniowa nadesłał nam list z dołączonym przekazem:

Proszę o przekazanie w moim imieniu wymienionym niżej autorom nagród pieniężnych za działalność, której owoce trafiły w moje ręce w roku 1983 (niezależnie, niestety, od daty edycji). 1. KSIĄŻKA: P. Maciej Parowski - „Twarzą ku ziemi”- 1.000 zł 2. OPOWIADANIE: P. Marek Baraniecki - „Karlgoro godz. 18”- 1000 zł. 3 GRAFIKA: P. Janusz Giniewski - „Kierowca wyścigowy” - i inne obrazy z wystawy dzierżoniowskiej 1.000 zł. 4. KOMIKS: PP. M. Parowski, J. Rodek, B. Polch - „Funky Koval” - 1.000 zł. 5. SŁUCHOWISKA RADIOWE: P Marcin Wolski - Słuchowiska w III programie PR-1000zł. 6. PUBLICYSTYKA: P. Maciej Iłowiecki - „Z tamtej strony lustra”1000 zł Wyżej wymienioną kwotę.6.000 zł przesyłam na adres Redakcji przekazem pocztowym. Z góry dziękuję za wręczenie nagród.

Włodzimierz Badek

Nagrody rozdane. Dziękujemy w imieniu wyróżnionych.

Komu, komu...

Posiadam: „Fantastyka”n r 2 i 3 z 1982, 2(5), 1112 (14-15) z 1983 i 3(18) z 1984, Ray Bradbury „K jak kosmos”, Julia Nidecka - „Goniący za słońcem”, Bohdan Petecki - „Operacja wieczność”, A i B. Strugaccy - „Trudno być bogiem”, Mieczysław Kurpisz - „Bez przerwy wypełniać tę ciszę”, Vladimir Pozner-„Księżycowa nostalgia”, Bohdan Petecki - „Kogga z czarnego słońca”, Czesław Chruszczewski - „Fenomen kosmosu”. Pragnę otrzymać: „Fantastyka” nr 1 z 1982, Wyndham - „Dzień Tryfidów” Harrison - „Planeta śmierci”, Sneg - „Robot”. Inne propozycje mile widziane. Dziękuję. ***Ryszard Rogowski,*** *ul. Kniewskiego 48/22, KOSZALIN.*

Bardzo zależy mi na zdobyciu wszystkich dotychczasowych numerów „Fantastyki” tj od 1 z 1982 aż do 17 z 1984 włącznie. Oczywiście myślę o odpłatnym odstąpieniu mi ich przez kogoś. Mogę również proponować na wymianę: „Głos Pana”. „Szpital Przemienienia”, „Eden”, „Katar”, „Doskonała próżnia”, „ Wielkość urojona”- Stanisława Lema. ***Iwona Panfil,*** *ul. Marchlewskiego 12 m 3, 88-100 INOWROCŁAW.*

Poszukuję książek z serii Fantazja-Rozrywka-Przygoda oprócz M. Markowskiego - „Pajęczyna” i A. Trepki-, Końcówka”. Interesuję się także luźnymi numerami „Fantastyki”. ***Paweł Grochowina,*** *Osiedle Piastowskie 18 m 1. POZNAŃ, tel. 731-20 (wieczorem).*

Szukam książki, wydanej na początku lat 80-tych, poświęconej w całości pierwszym trzem naszym powojennym znaczkom... Nawiążę tez wymianę z kimś, kto chciałby zamienić znaczki za książki SF lub inne pozycje książkowe. ***Andrzej Pałac,*** *Bohaterów Westerplatte la/22, 35-040 RZESZÓW.*

Zamienię podwójny numer „Fantastyki” (tj. 11-12 z 1983) i książki: Zajdla - „Ogon diabła”, Wasiliewa - „Zagadki współczesnej nauki” oraz Lema „Katar” - na numery 1(16) z 1984 i 2(17) z 1984. ***Zbigniew Ślęk,*** *Wał Bernardyński 1/16a, 62-800 KALISZ.*

Poszukuję: Dick - „Słoneczna loteria”, Lem „Śledztwo”, „Katar”, „Solaris”, Żwikiewicz „Druga jesień”, Parowski - „Twarzą ku ziemi”, Zajdel - „Limes inferior”, Harrison - „Planeta śmierci”, Ciarkę - „Kowboje oceanu”, Bradbury „Kroniki marsjańskie”, Aldiss - „Non stop”, Jung - „Jaśniej niż tysiąc słońc”. Posiadam do wymiany: „Fantastyka” 1(4) dwa egzemplarze, 2(5) 10(13) oraz 11-12 (14-15) - 2 egzemplarze wszystkie rok 1983. ***Andrzej Eckersdorf,*** *ul. Sikorskiego 121/11, 66-400 GORZÓW WLKP*

Do wymiany: „Fantastyka” 1(16), książki Chruszczewskiego, Lema, Peteckiego, Drzewińskiego, Fiałkowskiego oraz seria „Fantastyka-Przygoda-Rozrywka”, a także „Fantastyka-Przygoda”. Na: Zajdel - „Limes interior”, Hoyle - „Czarna chmura”, Harrison - „Planeta śmierci”, Jefremów - „Gwiezdne okręty”, Bayley - „Kurs na zderzenie”, Aldiss - „Cieplarnia”, Strugaccy - „Dalekie szlaki”, Dick-„Słoneczna loteria „i „Ubik”, Sneg - „Nagi cel”, Oramus - „Senni zwycięzcy”. Inne ciekawe propozycje książkowe, proszę bardzo. ***Andrzej Horoszczak,*** *Lotników 13, 59-300 LUBLIN, telefon 453-99.*

Poszukuję: 1,2,4 numeru „Fantastyki” z odcinkami powieści wewnątrz oraz Janusza Zajdla - „Limes interior” i „Ogon diabła”. Do wymiany: Strugaccy - „Trudno być bogiem”, „Drugi najazd Marsjan” (jest to wydane w jednej książce), Krzepkowski - „Kreks”, Strugaccy - „Żuk w mrowisku”, Konrad Fiałkowski - „Homo Divisus”, Jacek Sawaszkiewicz - „Eskapizm”, Ryszard Dominiak - „Tenegera 3 wzywa SOS”, Bohdan Petecki - „Strefy zerowe”, Brian W. Aldiss - „Cieplarnia”. ***Ireneusz Weiner,*** *ul. Piastowska 96 F/1, 80-352 GDAŃSK-OLIWA.*

A może to dobry pomysł?

Czy nie szkoda miejsca na wyliczanki książek czy numerów w rubryce „Komu, komu”. Nie lepiej byłoby wyliczać same nazwiska i adresy tych osób, które mają do wymiany książki i „Fantastykę”? Proszę spróbować i posłuchać reakcji innych Czytelników.

Jan Żyłek *z Warszawy*

No cóż - oczywiście nic nie zastąpi dokładnego spisu rzeczy, jakie poszczególni nasi Czytelnicy przygotowali sobie do wymiany. Jednakowoż uważamy, ze trzeba spróbować. Zwłaszcza że pożycie i tytuły się powtarzają. Oto lista nazwisk tych osób, dla których wymiana jest jednym z głównych problemów ich listów:
Kazimierz Wróblewski, *44-120 PYSKOWICE, Czyżyków 7* ***Jan Walaszek,*** *87-300 BRODNICA, Skromna 6, osiedle Karbowo.* ***Grzegorz Meisel,*** *44-300 WODZISŁAW ŚLĄSKI, Zamkowa 3a.* ***Edmund Kamiński,*** *18-424 BUŻYN, WOJ. Łomża, Kamionki 22.*

Poezja i fantastyka

Czy uważacie - w mgieł zawłóczy,
że im głębszy mrok nas mroczy,
tym więcej światła świecą żywe,
by gwiazd niebieskich skry prawdziwe.
W jeziora zwierciadlanej toni
odzwierciedlone ognie drgają,
w obłocznej ziół palonych woni
jakoby stałe gwiazdy trwają...

To był Stanisław Wyspiański. W mało znanej postaci poetyckiej. Bardzo spodobał mi się pomysł zamieszczania poezji na łamach „Fantastyki”. Myślę, ze wiersze niekoniecznie muszą być umieszczone w osobnej rubryce. Niech będą okienkami wśród prozy. A może niech także i czytelnicy, zamiast nadsyłać własne utwory, dopominają się i przysyłają te utwory poetyckie z kręgu fantastyki, które im się podobają, które polubili.

Anna Faron *z Wrocławia*

Ciekawa propozycja wymiany myśli i konkretnego tych myśli wyrazu. Możemy spróbować.
KOSMOS Dopiero TAM można oszaleć od
piękna ZIEMI
Z niskości nie widać tej przerażającej prawdy

Waldemar Strzelczyk

Drukuję to jako redaktor tej rubryki i miłośnik SF. Przecież fantastyka jest także i po to, żeby uciekając w sprawy kosmiczne, dostrzec piękno i prawdziwość naszej planety.

Pasje fanów SF

Od dawna moim marzeniem jest UJRŻEĆ: Siergieja Śniegowa, Janusza Zajdla, Konrada Fiałkowskiego. Alfreda Bestera, Rogera żelaznego, Fredericka Browna, R. Sheckleya, Van Vogta, H. Harnsona i innych wspaniałych pisarzy

Sławomir Chojnowski

I tak przejawiają się pasje fanów. Żyjemy przecież w epoce rozkwitu kultury obrazkowej i trzeba się z tym liczyć. Pisarzy pragnie się dziś nie tylko czytać, ale i widzieć. Postaramy się w miarę możliwości.

Redaktor

Jedwabny smok

(Silked Dragon)

Steven Edward McDonald



- Klątwa - powiedziała Rit Ho-chep. – Wierzysz w klątwy?.
Suona z Shalinu, córka króla-Szatana Tamiena, milczała przez chwile, wpatrując się w skupieniu w zloty znak na boku wanny. Jej długie, czarne włosy unosiły się na powierzchni wody, wokół na wpół zanurzonej głowy.
Rit już chciała powtórzyć pytanie, kiedy Suona powiedziała:
- Czasami wierze. Ale rzadko zdarza mi się obserwować ich skuteczność. Bogowie jednych ludzi nie muszą być bogami innych w końcu wielu z nich to tylko wytwory wyobraźni.
Rit zakręciła dłonią w wodzie i drobne falki uderzyły skórę Suony. Wszystkie sługi w pałacu Shan Kaang Ur-kefa doskonale znały swoją prace, a Rit Ho-chep była wśród nich najbieglejsza. Bardziej jeszcze niż za niezaprzeczalną zręczność w usługiwaniu kobietom i mężczyznom, Suona lubiła Rit za jej rozmowność. Teraz drobna kobieta czesała włosy Suony zręcznie i delikatnie.
- No i jak? - ponagliła ją Suona. - A może mam ci opowiedzieć o zimach w mojej ojczyźnie?
- Brrrrr! - Rit wstrząsnęła się przesadnie. Zachichotała jak młoda dziewczyna, mimo że była starsza od Suony. - Nie rób tego. Na samo wspomnienie twoich opowieści czuje jak palce odpadają mi z zimna. Cieszę się, że pochodzę z Klusos - tutaj przynajmniej mogę rozkoszować sje życiem nago, na łąkach, w rzekach...
- I pod mężczyznami też, nie wątpię - powiedziała Suona. Znów chichot. Suona czekała aż kobieta uspokoi się i przyglądała sie złoto-czerwonemu smokowi, który przyciągał jej uwagę. Ciało smoka wykonane było ze złota, a oczy miał czerwone. Czerwień była na Klusos barwą najwyższej rangi. Smoka otaczały płomienie. Suona widziała jego wizerunki w wielu miejscach na Klusos, ale ten zrobił na niej największe wrażenie. Wydawał się inny, łączył w sobie złośliwość z tragizmem.
- Jesteś wulgarna - powiedziała Rit.
- U nas jest to normalne. Teraz - dodała stanowczo Suona, siadając w szerokiej wannie - opowiedz mi o tym smoku i o tej klątwie.
- Ociekające wodą czarne włosy opadły jej na plecy. - Powiedz mi, zanim stracę panowanie nad sobą i utopie cie. Albo jeszcze gorzej.
- Brrrr! - powiedziała Rit i Suona uśmiechnęła się. - Nie jestem od opowiadania historyjek, moja pani. Znam swoją prace.
- Jesteś uparta jak dziewucha z karczmy. Dobrze, pójdę poszukać kronikarza i dowiem się od niego.
Suona chciała wstać, ale Rit, mocno trzymając swoimi małymi dłońmi ramiona kobiety z północy, wepchnęła ją z powrotem do wody. Suona mogła stawić jej opór i zwyciężyłaby, ale nie o to jej chodziło.
- Jeszcze nie skończyłam - powiedziała Rit. - W twoim kraju możesz biegać w bryczesach i skórzanym kaftanie, wywijając mieczem i włócznią i wrzeszcząc, ale tutaj kobieta jest kobietą. Jesteśmy wykształcone, rozważne i delikatne. Nie jesteśmy dzikusami.
- I nie potrafisz odróżnić łuku od własnego siedzenia, ty mała gąsko.
- Potrafię, moja pani. Chociażby po to, by trzymać się z dala od łuku. To mężczyźni są wojownikami i brutalami i tacy mają być, z tymi swoimi muskułami i owłosionymi rekami.
- A dla kobiet są czary, co?
- Piękniejsze sztuki, moja pani. Wierzymy, że smoki należą do bogów, a opiekują się nimi kobiety. Mężczyzna pobudza smoka do walki, jest jak wyzwanie. Ale kobieta jest tylko przyjaciółką, towarzyszką i pomocnicą. A dzieci, cóż, chłopcom śnią się koszmary ze smokami, boją się spotkać je w ciemności, przyczajone w oczekiwaniu na kąsek. Dziewczynki śnią o poezji i pragną, żeby duch ich smoka był z nimi, kiedy znajdą się w ciemnościach. One boją się dzikusów i czyhających na nieostrożnych duchów kamienia.
- Cóż, ja nie jestem pewna czy czegokolwiek się boje. Czary zwykle wywodzą się z pewnych praw. Jeśli pamięta się o tym i zna trochę te prawa, można się przed działaniem czarów bronić.
- Ja wole unikać sytuacji, w których konieczna jest walka, pani.
- I oczywiście wolisz, by klątwy i zaklęcia działały za ciebie. Rit przerwała swoje zabiegi.
- Oczywiście. Takie jest ich zadanie. Poza tym, klątwy smoka są klątwami kobiet i są niezwykle skuteczne. Często wystarcza sama groźba, ale nieraz jedni są zbyt odważni, a inni zbyt głupi i wtedy klątwa musi ożyć.
- A ta? - powiedziała Suona, dotykając smoka.
- Wyobrażenie klątwy, pani, przynajmniej tutaj. Zaś w wewnętrznej komnacie grobowca Nilkir Kon-weh, dawniej Chun, wisi jedwabny smok, który strzeże królewskiej postaci i jej własności.
Chroni ducha Chun w podróży do Ogrodów Nigdy.
- Aha - Suona uśmiechnęła się. - Teraz rozumiem, dlaczego przybrał groźną pozę, jakby gotów do ataku. Jednak ma w sobie coś smutnego. Śmierć Chun, której strzeże?
Rit była wyraźnie zadowolona.
- Bardzo dobrze, pani. Właśnie to powinien wyrażać - jest smutny, ale czujny. Jeśli ktoś zakłóci spokój królewskich komnat, smok ożyje.
- A jeśli to będzie kobieta? Rit wzruszyła ramionami.
- Zostanie przeklęta i uschnie szybko jak liść.
- Hmmm, paskudna klątwa. Bede musiała dowiedzieć się wszystkiego o tutejszych klątwach, na wypadek gdybym potrzebowała pomocy smoków, jedwabnych czy innych. Myślę, że dobrze byłoby mieć przy sobie jedwabnego smoka w czasie długich zimowych nocy, kiedy tak brakuje towarzystwa. Takie zimno może zabić, moja mała przyjaciółko, naprawdę może. Wtedy nie ma mowy o gołej skórze.
Rit dotknęła zawiłych znaków wypalonych na lewym ramieniu Suony.
- Mogę ci o nich powiedzieć - powiedziała Suona - ale boisz sie ducha kamieni, barbarzyńców i ich zaklęć. To jest znak Sumaka, władcy świata podziemnego i przeklętych. Myślę, że ta twoja strzeżona przez smoka Chun mieszka wygodnie w jego świecie, Sumak lubi towarzystwo królów.
Rit spojrzała na swoją podopieczną i pokręciła głową z rezygnacją.
- I ja mam traktować cie jak uosobienie kobiecości i prawdziwą damę. Westchnęła i znów pokręciła głową.
- To niemożliwe. Niemożliwe. Niemożliwe. Ale staram się.
- Biedactwo - powiedziała Suona z uśmiechem.



W ogrodach Shan Kaang Ur-kefa rozpętało sie piekło, a na imię mu było Vardret Kovair. Suonie nieobca była furia mieszkańców środkowej części kraju, a ten ich przedstawiciel dawał popis z wszelkimi klasycznymi objawami. Rit, idąca u boku Suony, zatrzymała się. Wyglądała na przerażoną, a równocześnie niezwykle zaciekawioną. Jedynie nienaganne maniery trzymały na wodzy jej ciekawość. Po chwili zatrzymała się i Suona.
- Co to? - zapytała. Rit pokręciła głową.
- Nie wolno nam iść dalej, pani. To nie są sprawy dla kobiet. Suona skrzywiła się, szarpiąc pokrytą haftem, strojną szatę, którą założyła wskutek nalegań Rity. Wolała swoje własne ubranie, ale służąca ukryła je.
- Awantury - powiedziała Suona - to coś, co znam bardzo dobrze. Już niejednej położyłam kres.
- Dzikuska - wyrwało się Ricie. Zaczerwieniła się.
- Cicho bądź - rozkazała Suona, przysłuchując się głosom w ogrodzie.
- O pani, proszę... straż Shana...
- Sądzę, że nie będą próbowali skrzywdzić damy i jej dworki. Suona ruszyła naprzód. Po chwili usłyszała odgłosy szamotaniny i ogrody nagle ucichły. Suona stanęła.
- Niech diabli wezmą protokół! - odwróciła się. - I ciebie też, mała Ho-chep. To twoja wina.
- Pani?
- Chciałam to zobaczyć.
- Damy nie wtrącają się w sprawy mężczyzn - powiedziała Rit, jakby powtarzała wyuczoną na pamięć formułkę. - Przynajmniej na Klusos.
Wymagało to wiele wysiłku, ale Suona powstrzymała się od komentarza. Może tak było lepiej. Tamien nie byłby zadowolony, gdyby jego córka awanturowała się w Klusos. A wielu mężczyzn miało okazje się przekonać, że kiedy już raz zaczęła, trudno jej było przestać. Pewnie stoczyłaby walkę z przybyszem z centralnych regionów i, co gorsza, mogłaby wygrać. W Klusos wrogość ukrywano pod dworskimi maskami i rytuałem, przez co śmierć tych, którzy przegrali stawała się bardziej przepisowa. Weszły w głąb ogrodu, do gaju, który służył Shanowi jako miejsce nieoficjalnych spotkań. Suona nie zauważyła ani żadnych śladów zamieszania ani straży. Ukryty za drzwiami nadworny muzyk grał na flecie pogodną melodie, bez wątpienia po to, by uspokoić Shana. Na gałęziach drzew wisiały latarnie słoneczne, kołysane przez łagodny wietrzyk - te, na które padały promienie ‘ słońca, lśniły jak małe księżyce. Shan klęczał nad wąskim strumykiem, patrząc w wodę. Podniósł głowę, kiedy kobiety się zbliżyły. Przez chwile przyglądał się



Suonie.
- Tak, teraz wyglądasz jak kobieta królewskiego rodu. Tamien byłby zadowolony, moja droga.
Suona dygnęła.
- O Shanie. Mój pan w obecności swoich wojowników pewnie mieczem zdarłby ze mnie ten strój i stłukł mnie do krwi. Gdybym mu na to pozwoliła...
Shan roześmiał się.
- Nie brak ci werwy, Suono. Jestem pewien, że Tamien jest z ciebie dumny, mimo że jesteś kobietą.
- Kobiety są równie potrzebne Szatanowi-królowi jak mężczyźni
- odparła z uśmiechem. - Rodzą dzieci i mają w sobie ciepło, jakiego nie może dać ogień.
Podkreślała swoje słowa gestami wąskich, opalonych dłoni.
- Symbolem kobiety jest smok, a mężczyzny - góra. Góra nie rusza się z miejsca i stawia opór, można ją zniszczyć, odrąbując po kawałeczku. A smok może się poruszać, może uniknąć ciosu. Smok jest giętki, może dostosować się do sytuacji. Góra nie.
Na twarzy Shana malowało się teraz zdziwienie i zadowolenie. Suona przyjrzała mu się uważnie i uznała, że jego zadowolenie jest szczere. Shan wyraził swoje uznanie ukłonem.
- Niezwykły byłby smok obdarzony twoimi kształtami lub twoim wdziękiem. I nieszczęsny smok, który stawiłby ci czoło, chociaż, zgodnie z tradycją, smoki nie atakują kobiet.
- Rit mówiła mi o tym. Rit zarumieniła się.
- Wyjaśniła mi zaklęcie Jedwabnego Smoka.
- Moi przodkowie wierzyli w zaklęcia i klątwy - powiedział Shan
- szczególnie Nilkir Kon-weh. Ta klątwa jest niezwykle zawiła, jej zaklęcia i niuanse mogłyby doprowadzić do szału najtęższego maga. Zresztą czasem służy ona adeptom tej sztuki do demonstracji zaklinania.
Suona kiwnęła głową z uśmiechem.
- Słyszałam, że ta Chun kazała po swej śmierci zabić wszystkich dworzan.
- Tak - powiedział Shan, podniósłszy głowę. - Przecież nie żyła. To taki zwyczaj. W drodze do Nigdy trzeba mieć ze sobą świtę, trzeba mieć straż, służbę, nieprawdaż? Wy ciała swoich przodków powierzacie płomieniom, ale tu, w Klusos, traktujemy naszych zmarłych inaczej. Z szacunkiem.
- Szacunek, o Shan, jest w pamięci o nich.
Suona uniosła rąbek sukni, zbyt miękkiej i delikatnej.
- A jeśli mnie przyszłoby tu umrzeć, uznałabym za oznakę szacunku pogrzebanie mnie w czymś mniej krępującym.
Shan roześmiał się. Oburzona i zawstydzona Rit odwróciła wzrok od Suony i poczerwieniała ze złości. Shan zaczął wolnym krokiem iść wzdłuż strumienia. Na jednym z drzew, pochylającym się nad wodą, ktoś zawiesił dzwoneczki. Shan przystanął i poruszył je palcami. Ukryty grajek przerwał na chwile i znów podjął swoją melodie, trochę weselej. Odwracając sie od Suony, Shan powiedział:
- Czy miałaś... przyjemność... poznania Vardreta Kovaira? Suoha pokręciła głową.
- Widziałam i słyszałam go z daleka, ale nic ponadto. Był tutaj zanim nadeszłam, prawda?
Shan uniósł brew.
- Tak. Pokłóciliśmy się o sprawy handlowe. Niechętnie pozwalamy na wywożenie wartościowych przedmiotów z Klusos. Nawet tu, w tym pałacu, jest wiele rzeczy tak starych jak samo Klusos, rzeczy bezcennych. Kovair wszystko zauważa i sądzę, że zna upodobania swoich rodaków...
- Z Kal-Menelon? - zapytała Suona.
- Tak. - Shan lekko pochylił głowę. - Znasz to miasto?
- I akcent tych ludzi - powiedziała Suona. - Miasto Złodziei.
- Wszystkie miasta są miastami złodziei, Suoną. Shan znów poruszył dzwoneczki.
- Może powinnaś go poznać.
Suona uśmiechnęła się szeroko, prawie wybuchając śmiechem.
- Czy do obserwowania go nie lepsza byłaby kurtyzana, o Shan? Po co zwyczajna dziewczyna z północy?
- Dlatego - odpowiedział uprzejmie Shan - że zwyczajna dziewczyna z północy jest królewską córką i nie można jej wypytywać tak, jak zbyt gorliwą kurtyzanę i, ośmielę się dodać, tobie o wiele łatwiej byłoby osiągnąć cel i zrobiłabyś to lepiej. Uśmiechnęła się.
- Ktoś, kto jest spokrewniony ze smokiem musi być giętki, prawda?



Mrok nocy wypełniały jej sny, przerywane myślami o rodzinnych stronach. Rzadko sypiała więcej niż jedną czy dwie godziny i znała noc lepiej niż większość ludzi. Noc i cienie, i wszystko to, co należało do wilgotnych miejsc bez życia, opuszczonych przez istoty śmiertelne. Istniały rzeczy, które nie znosiły dziennego światła - światło i ciepło promieni słonecznych rozdzierało je jak niebaczna ręka rozdziera pajęczynę. Usiadła, czekając aż noc się skończy, patrząc na migoczące gwiazdy, czekając na pierwsze znaki dnia. Z okien jej pokoju było widać dziedziniec pałacu, a dalej troskliwie pielęgnowane
trawniki i kwiaty, czego nigdy nie spotkała w Shalinie. Zmierzając do pałacu, nie przyjrzała się miastu i trochę tego żałowała. Coś zaskrzypiało przy drzwiach jej pokoju. Odwróciła głowę. Usłyszała długi, cichy dźwięk ostrożnie naciśniętej klamki. Sięgnęła po sztylet, lewą ręką ujęła rękojeść, czując pod palcami wzory z drogich kamieni. Wstała, bezszelestnie przemknęła przez komnatę i zamarła w oczekiwaniu przy już otwierających sie drzwiach.
Minęły prawie dwie minuty zanim ostrożny gość odważył sie wejść. Wśliznął się szybko przez uchylone drzwi i, szukając jej, zrobił krok ku przeciwnej stronie pokoju. Skoczyła, chwyciła i unieruchomiła intruza przyciskając dwadzieścia centymetrów stali do jego gardła. Nie zdziwiła się, widząc przed sobą śmiertelnie przerażonego, skamieniałego Vardreta Kovaira. Puściła go, spojrzała na drzwi dzielące jej komnatę od pokoju Rit Ho-chep. Były zamknięte.
- Łatwiej byłoby ci poprosić mnie o rozmowę - powiedziała. Kupiec nie odpowiedział, wciąż osłupiały ze zdziwienia. Suona przeszła przez pokój, trzymając nóż w pogotowiu, zapaliła lampę, której używała tylko do czytania. Światło ukazało kupca, przyglądającego się jej wzrokiem, jakim czarownik mógłby patrzeć na właśnie wywołanego demona. Nie zawracała sobie głowy ubraniem, wolała być naga i mieć się na baczności. Ruchem reki wskazała kanapę.
- Siadaj, zanim zamienisz się w kamień. A potem możesz wyjaśnić dlaczego skradałeś się jak złodziej.
- Jestem z...
- Kal-Menelon - powiedziała. - Wiem. I zajmujesz się handlem. Co w oczach każdego czyni z ciebie złodzieja. Nie wątpię, że chcesz za pomocą oszustw ogołocić Klusos z czego się da. Jednak nie sądzę, że i mnie przyszedłeś okraść.
Mężczyzna wykrzywił wargi, jakby chciał się uśmiechnąć. Nadało to jego twarzy cyniczny, drapieżny wyraz.
- Nie. Uważałem, że najlepiej będzie, jeśli przyjdę w nocy. Kaang Urkef ma tylu szpiegów, że nie chciałem ryzykować. Nie spodziewałem się, że nie będziesz spała. Ani, że będziesz uzbrojona. Ale myślałem, że może... hm... nie będziesz sama.
Suona zmrużyła oczy.
- Nie jestem nadworną kurtyzaną, Vardret Kovair. Kupiec zawahał się, zbity z tropu swoją gafą.
- Proszę wybaczyć, pani, nie to miałem na myśli...
- Myślałeś to, co powiedziałeś - przerwała spokojnie Suona. Jestem kobietą z Shalinu, a nie tutejszą dziewką. Pamiętaj o tym.
Kovair usiadł. Położył ręce na kolanach, jego palce zwijały się jak nogi zdychających pająków.
- Bede pamiętał. Proszę mi wybaczyć.
- Omal cie nie zabiłam - powiedziała.
Usiadła na brzegu stołu, przyciskając rękojeść sztyletu do nagiego uda. Znaki na ostrzu migotały i zdawały się zmieniać w nikłym, żółtym świetle. Wzrok Kovaira wędrował po jej ciele. Zlekceważyła te oględziny.
- Jesteś demonem - stwierdził Kovair.
- Nie. Córką Tamiena z Shalinu, niczym więcej. Zdarza mi sie zabić kogoś od czasu do czasu, ale nigdy nie kradnę dusz. Uśmiechnęła się, ale oczy wciąż miała czujne.
- Trzymasz nóż w lewej ręce - powiedział Kovair. - Tak jak demony. I masz na sobie znak demona.
- Boga - poprawiła go Suona. - Sumaka, który z pewnością przygląda ci się teraz.
W jej oczach zabłysły czerwone iskierki. Kovair pochylił się. Zacisnął ręce w pieści.
- Wydaje mi się, że zbytnio się pośpieszyłem. Suona machnęła nożem.
- Słusznie. Powinieneś był staranniej zebrać informacje. Pochlebstwami można wyciągnąć różne wiadomości od kurtyzan. Kovair zmrużył oczy.
- Nie ufam żadnej z nich. Zbyt długo jestem kupcem.
- A do mnie masz zaufanie?
- Nie mam.
- Wiec po co zadałeś sobie trud, przychodząc tutaj?
- Myślałem, że może... uda mi się ciebie przekonać. Wstał, Suona machnęła nożem i usiadł znowu.
- Jeszcze możesz mnie przekonać - powiedziała. -Jak wiesz nie mam nic do roboty oprócz podróżowania. Nie mam ochoty zostać żoną kogoś z Shalinu. I nie lubię sztuczności i dworskiego protokołu.
- Zauważyłem. Już nie jestem pewny, po co tu jestem. Nie oczekiwałem gróźb.
- Ja nie grożę. Czym w końcu są groźby, jeśli nie jeszcze jedną zasadą dworskiego protokołu?
Trzymała nóż tak, by mógł widzieć znaki na ostrzu.
- Jeśli zaistnieje potrzeba zabicia cie, Vardret Kovair, zrobię to bez ostrzeżenia. Miałeś zamiar namówić mnie do pomocy w kradzieży,

co?
Kovair znów uśmiechnął się krzywo.
- Myślałem, pani, że jesteś po prostu inteligentną kobietą. Trudno oczekiwać, by kobieta królewskiego rodu wiedziała cokolwiek o kradzieży. - W jego głosie zabrzmiała złośliwość. - A widzę, że chciałabyś być kobietą-wojownikiem.
- Jestem.
- Sama umiejętność posługiwania się bronią nie czyni z człowieka wojownika. Do tego trzeba praktyki, doświadczenia.
- Czy głupotę również osiąga się w ten sposób? Z pewnością to nie wytworna dama złapała cie, kiedy się skradałeś, co? Kovair obserwował ją w milczeniu. Ona patrzyła na niego, czekając na jakiś fałszywy ruch. Oczy miał ciemne, z tęczówkami okolonymi niebieskawą bielą, oczy gwałtownego, wybuchowego człowieka, z rozmysłem planującego swoje posunięcia.
- Co zamierzałeś ukraść? - zapytała Suona.
Kovair milczał jeszcze przez chwile, nie przestając wpatrywać sie w nią, potem powiedział:
- Czy znasz grobowce przylegające do tego pałacu?
- Tak.
- Rzadko ktokolwiek tam chodzi. Kovair wstał.
- Zabrane stamtąd rzeczy można by wynosić w nocy. Dużo czasu by upłynęło, zanim zauważono by taką kradzież, o ile w ogóle kiedykolwiek by to nastąpiło. Jedna lub dwie osoby mogłyby zarobić na tym wystarczająco dużo, by opłacić wojsko.
Suona pokręciła głową.
- Nigdy nie zdobyłbyś Klusos. Oczy Kovaira zabłysły.
- Nie mam zamiaru zdobywać Klusos, pani. Na razie ten kraj mnie nie interesuje. Raczej zacząłbym od terenów, które znam.
- Kal-Menelon?
- Oczywiście. To bogate państwo, można je powiększyć. Najpierw wojna z sąsiednim krajem, potem dalej. Można by utworzyć pokaźne królestwo.
- I można też stracić władze nad bandą zachłannych, możnych panów - powiedziała Suona - co doprowadziłoby do ponownego podziału królestwa. Tak juz bywało. Wtedy władca staje się kukiełką, czyż nie?
Kovair uśmiechnął się.
- To problem na później. Bez złota nie ma nic.
- A ja? - powiedziała Suona unosząc dumnie głowę. - Co ja dostałabym w zamian za pomoc?
- Mogłabyś rządzić razem ze mną.
- O tak, i pewnego dnia w czasie polowania trafiłaby mnie zbłąkana strzała albo ciemną nocą ktoś poderżnąłby mi gardło. Uśmiechnęła się.
- Mam inne ambicje i nie mam ochoty narażać się na niebezpieczeństwo, zostając władczynią.
- W takim razie moglibyśmy podzielić się łupem.
Suona otworzyła dłoń. Na klejnoty w rękojeści padło światło.
- Jak już zauważyłeś, kupcze z Kal-Menelon, w moich żyłach płynie królewska krew.
Spojrzał na nią ze złością.
- Chce tylko twojej pomocy. Ja wejdę do grobowca. Ty jedynie staniesz na warcie. Grobowce nie są szczególnie strzeżone. Nic by nam nie groziło.
- Moją przyjaźń z Shanem cenie bardziej niż złoto, srebro czy klejnoty.
- Suona pokręciła głową. - Nie, nie pomogę ci. Dla władzy i pieniędzy możesz narażać własne życie, ja się do tego nie mieszam.
- Narażać życie...?
- Grobowców strzegą zaklęcia. Kovair parsknął.
- Pani, zaklęcia to nic więcej niż groźby. Myślałem, że nie dbasz o groźby.
Suona patrzyła na niego spod opuszczonych powiek.
- Nie dbam. Ale, niedowiarku, ostrzegłam cie. Zrobisz co zechcesz. Mam nadzieje, że masz jakiś środek na... hm... ukąszenie smoka.
Kovair parsknął znowu i podszedł do drzwi. Otworzył je i odwrócił się.
- Proszę mi wybaczyć to najście. Sądziłem, że znajdę sprzymierzeńca w kobiecie-wojowniku.
- A przekonałeś się, że jestem jedynie głupią i przesądną kobietą. Dobranoc, Vardret Kovair.
To go rozzłościło, pomyślała. Powstrzymał się od trząśnięcia drzwiami, ale na pożegnanie obrzucił ją spojrzeniem pełnym ciemnych płomieni.



Niewidoczny muzyk porzucił swój flet dla dźwięków jakiegoś instrumentu strunowego i grał żywą melodie dla Shana i jego gości.’ - Sądzę, że wyrzucenie go z Klusos byłoby najlepszym dla ciebie rozwiązaniem - powiedziała Suona, klękając nad strumykiem. Shan siedział na ozdobnej ławeczce w miejscu, gdzie wody strumyka rozlewały się, tworząc małe jeziorko. Rzucał okruszki do wody, patrzył jak spadają na dno, obserwował rybki, mknące w ich stronę.
Suona zazdrościła mu spokoju.
- Nie. Podpisaliśmy z Kal-Menelonem i pewnymi jego bratnimi miastami porozumienie w sprawie handlu. Obawiam się, że wydalenie stąd Kovaira mogłoby spowodować zerwanie tego porozumienia.
Podniósł głowę. Jedna brew była uniesiona. Suona podejrzewała, że odrzucił jej sugestie jako babskie gadanie.
- Polityka, moja droga, jest sztuką niezwykle złożoną, bardziej jeszcze niż zwykłe rytuały.
- Zwrócił się do mnie bezpośrednio - powiedziała Suona - nie miałam wiec czasu, by w subtelniejszy sposób odkryć jego zamiary, czy spróbować go zniechęcić.
Shan rzucił garść okruchów do wody.
- Myślisz, że dałby się zniechęcić?
- Nie teraz. Przedtem może. Nie jest wykluczone, że znowu sie do mnie zwróci.
- Wtedy powinnaś się zgodzić. Obserwować go i pozwolić, by spotkało go to, na co zasłuży, jeśli zajdzie taka konieczność.
- Nie - powiedziała Suona stanowczo. Shan podniósł głowę, uśmiechając się.
- Co? Wojownik, który chce zapobiec śmierci?
- U nas nikt nie posługuje się morderstwem, o Shan. To może sposób polityków, władców. Ale nie metoda Shalinu, nie moja.
- A jak ty działasz, Suona? Wezwałabyś go do walki?
Suona podeszła do drzewka z dzwoneczkami, dotknęła każdego po kolei, budząc łagodne tony.
- Ja staram się zapobiec kłopotom, dopóki można to zrobić. Jeśli zostanie zabity tutaj...
- Za przekroczenie zakazu? Nie możemy nic zrobić, moja droga, jeśli spowoduje działanie zaklęcia czy obrazi wojownika, czy nawet jeśli się pośliźnie i złamie nogę. Wyrzucenie go stąd, przeszkodzenie mu albo nawet zamordowanie, wymagałoby aktywnego udziału z naszej strony, prawda? Co mamy robić? Vardret Kovair jest moim gościem i nadużywa mojej gościnności na własne ryzyko.
- Może chcieć zająć Klusos - powiedziała. - Kiedyś. Shan sypnął resztę okruchów.
- Nie sądzę. Do tego potrzebowałby ogromnej armii, a na to go nie stać. Zbyt wiele czasu by to zajęło. Nie będzie żył dłużej niż, jak myślę, dziesięć, piętnaście, najwyżej dwadzieścia lat. Nie jest groźny dla Klusos. Jego następca, może. Ale wiele może się zdarzyć do tego czasu.
Suona zamknęła na chwile oczy, słuchając wodnych dzwonków i niewidocznego muzyka.
- A wiec nic nie zrobisz.
- Nic - powiedział Shan. - Nie ma takiej potrzeby, droga Suono. Jeśli będzie się upierał przy kradzieży zamiast uczciwego handlu, to niech poniesie konsekwencje.
- A jeśli zna sposoby przeciwdziałania zaklęciom?
- Musiałby być czarownikiem, nieprawdaż?
- Wszędzie można spotkać takich, co znają się na czarach, o Shanie - powiedziała Suona. - Nawet ja mam o tym trochę pojęcia. To skutek dotknięcia Sumaka.
- Aha! - powiedział Shan wstając. - Zrozumiałem aluzje, Suona. Co byś zyskała pomagając Vardretowi Kovairowi?
- Poczucie własnej godności. Shan zachichotał.
- Jesteś jeszcze taka młoda, moja droga. Przekonasz się, że zdobycie szacunku dla siebie wymaga czegoś więcej niż wymierzania ciosów starszym, niezależnie od tego jak bardzo są uparci. Kupiec zostanie tutaj, ale daje ci wolną rękę - spróbuj go zniechęcić, jeśli potrafisz.
Suona dygnęła, a w jej oczach zabłysły czerwone iskierki. - Za twoim przyzwoleniem, o Shan?
Shan skrzywił się, jakby właśnie ugryzł wspaniałą pomarańcze, która okazała się jedynie pomalowaną, kwaśną cytryną.
- Miałbym ochotę, o Suona z Shalinu, miejsce gdzie kończą sie twoje plecy potraktować porządnym kijem.



Księżyc i noc.
Lśniły i migotały gwiazdy. Suona przylgnęła do wąskiego występu na szczycie pałacu, spoglądając na dworskie ogrody i dalej, na miasto. Budynki były pogrążone w zupełnej ciemności, w Klusos obowiązywała godzina policyjna i mieszkańcy miasta stosowali się do nakazów - oczywiście z zachowaniem wszelkich uprzejmych form. Wieśniaków, mieszkających poza murami nikt nie pytał o zdanie.
Ale przynajmniej, pomyślała Suona, w Klusos panował porządek, nie tak jak w Kal-Menelon i jego bratnich miastach. Bacznie przyglądała się wszystkiemu, wypatrując oznak życia. A co z Vardretem Kovairem? W końcu nie mogła mieć pewności co do jego prawdziwych zamiarów. Może miał nadzieje, że wciągnie ją w swoje intrygi, może zamierzał zapewnić sobie pozycje, która umożliwi mu panowanie nad Shalinem i krainą lodu.’



Zaczęła schodzić w dół. Przeklinała Rit Ho-chep, ślizgając się i czując, że ostre kamienie ranią boleśnie jej nagą skórę. Wiał lekki wiatr, ciepły i nieszkodliwy, zupełnie niepodobny do zabójczych wichrów Shalinu. Pas z nożem uciskał jej brzuch. Przeszła przez pałac jak duch, unikając straży ze zręcznością doświadczonego złodzieja lub wyszkolonego zamachowca, wytężając wszystkie zmysły, choć nie miała powodu bać się wojowników Shana. Po prostu nie chciała wyjść z wprawy. Bezszelestnie wśliznęła się do korytarzy grobowców. Bacznie śledziła każdy cień, ale nie spotkała żadnego żywego stworzenia. Ludność Klusos cechowała nienaganna czystość, która rozciągała sie nawet na groby ich przodków. Wszyscy uczestniczą w porządkach, pomyślała i uśmiechnęła się. Czuła czyhające zaklęcia i klątwy, czuła ich różnorodność, intensywniejsze zło niektórych. Po jej skórze przebiegały dreszcze i zaczęła poruszać się tak lekko, iż bała się, że uniesie się nad podłogą.
- Odejdź, odejdź, odejdź - zdawały się mówić. - Odejdź!
Widziała wiele smoków. Przystanęła przy jednym, dotknęła go. Po jego kształcie poznała, że pochodzi z dawnej epoki, nie był tak wypracowany jak współczesny, stylizowany symbol, który zdobił szaty podarowane jej przez Shana. Ani taki jak krwiście czerwony smok ńa małym arrasie w pokoiku Rit Ho-chep. Czerwień była oznaką szacunku, Shan obdarował ją najcenniejszymi rzeczami. Wątpiła, czy wiele z tego zabierze ze sobą. Zatrzymała się przed drzwiami grobowca, oparła czoło o zimny kamień, jej umysł czuł siłę zaklęcia jak złowrogi nacisk w głowie, spróbowała przeciwstawić mu się, nacisk stał się silniejszy. Oblał ją zimny pot. Lekki powiew sprawił, że zrobiło się jej niedobrze, jej ciało było lepkie, jakby właśnie zbudziła się z koszmarnego snu.
Wyprostowała się, ucisk minął, pozostał tylko tępy ból za oczami.
Wędrowała dalej przez grobowce, wodząc palcami po gładkich kamieniach. Nie było nic, nawet szczura, żadnego śladu grasujących nocą stworów. To ją rozczarowało. Ruszyła z powrotem w stronę swego pokoju. Kusiło ją, żeby jeszcze na chwile wrócić na dach, do gwiazd - och, do lasów! - odrzuciła te pokusę. Nie spała od trzech dni i chociaż nie czuła sie szczególnie zmęczona, musiała spać. Osłabiony brakiem odpoczynku refleks to zachęta dla śmiercionośnego ciosu. Rit czekała na nią w komnacie. Suona zamknęła za sobą drzwi, w milczeniu podeszła do okna, wyjrzała w noc, na migoczące gwiazdy.
- Proszę o wybaczenie, pani, ale to nie wypada tak spacerować bez ubrania - powiedziała Rit.
- Ubranie, do wkładania którego mnie zmuszasz, moja mała Rit Ho-chep, przeszkadza w walce.
- Damy nie walczą... pani. Suona pokręciła głową.
- Córki królów-Szatanów, tak. Gdybyś była tak miła i oddała mi moje własne ubranie, nie gorszyłabym Klusos aż tak bardzo. Ale jeśli odmawiasz...
- To nieprzyzwoite ubranie dla kobiety - powiedziała Rit, unosząc głowę- Ale niszczy się o wiele mniej niż te wymyślne suknie i nie ma obawy, że miecz się w nie zapłacze. Dobranoc, Rit Ho-chep.
- Dobranoc, o pani - powiedziała Rit ze źle skrywaną urazą.
Z dumną miną odwróciła się i odeszła. Drzwi zamknęły się cicho. Suona pokręciła głową. Przyzwyczaiła się już, że co wieczór spierały się o to samo. Rit była o kilka lat starsza od Suony, ale wydawało się, że jest młodsza. Jedyną oznaką jej starszeństwa było niezwykłe przywiązanie do przyjętych zwyczajów. Suona położyła się i szybko zasnęła. Jej głowę wypełniło złoto, eksplodowało w niewyraźną zjawę, płonącą bestie z żywego złota. Jej umysł uwolnił się z okowo w snu jako ostatni. Kiedy odzyskała świadomość tego, co się dzieje, już stała na podłodze, trzymając miecz i nóż, na rozstawionych nogach, gotowa do szybkiej obrony lub
ataku. Gorejące, przekrwione oczy poruszyły sie, spojrzały na nią. Wilgotna paszcza uniosła się i otwarła, ukazując ostre, zabójcze zęby. Zabłysły złote ogniki. Suona miała wrażenie, że w jej skórę wbito tysiące igiełek, dreszcze, zimno, na jeżyku poczuła smak popiołu. Smok. Ożywiony symbol, powołany przez wyobraźnie czarownika, smok z zaklęcia sprzed wieków. Przerażona cofnęła się. Wiedziała, że smoki walczą tylko z mężczyznami, a jednak była przekonana, że ta złota bestia pojawiła się, by ją zabić. Potwór ryknął cicho, machnął długim, złotym ogonem, był cudowny, a równocześnie przerażający.
Nagle otworzyły się drzwi pokoju Rit Hochep i wbiegła drobna dworka, trzepocząc do połowy zapiętą suknią. Wyglądała na wyrwaną z głębokiego snu - spały zaledwie godzinę, pomyślała Suona - ale nie była przestraszona. Suona stanęła tak, by móc jej bronić, jeśli będzie trzeba.
- Co to jest, Ho-chep? - zapytała. Rit złapała ją za rękę.
- Proszę, pani, proszę się nie bać. Smok nie zrobi krzywdy kobietom. A poza tym to tylko zjawa. Obraz Jedwabnego Smoka, który strzeże Nilkir Kon-weh, smok, o którego mnie pytałaś.
Pamiętasz...
- Dlaczego? - wyszeptała Suona. Bestia cofnęła się pomrukując cicho.
- Dlaczego tutaj?
Rit potrząsnęła głową.
- Nie tylko tutaj, pani. Zjawi się u wszystkich kobiet w pałacu. Pieczęć na drzwiach grobowca została złamana.
Suona pochyliła się i podniosła swój pas.
- Straże...
- Nie - powiedziała Rit, zadziwiając Suone stanowczością.
- Wszyscy strażnicy są mężczyznami, pani. Jeśli wejdą tam teraz, zginą albo zwariują - nie jestem pewna, jakie mogą być skutki tej klątwy. Czasami bywają okrutne.
Suona milczała, zapinając pas. Lśniąca zjawa denerwowała ją. Schowała broń.
- Co mamy robić? Czy mamy tylko tak stać i pozwolić działać zaklęciom?
- Pani, jeśli pojawił się Jedwabny Smok, to znaczy, że klątwa nie działa. Potrzebna jest pomoc.
- Czary?-zapytałaSuona.
- Mag może znać sposób na zaklęcia. Oczywiście wzięłyśmy to pod uwagę. Każdą kłódkę można otworzyć, każde drzwi wyłamać, łańcuchy rozciąć, powstrzymać zaklęcia.
Wyciągnęła reke, na jej maleńkiej dłoni błyszczała srebrna gwiazda.
- Pójdziemy wszystkie, pani, pomóc smokowi.
Pośpieszyła do drzwi krokiem odpowiednim dla pałacowej sługi.
Kiedy otworzyła drzwi, Suona usłyszała przyciszone, nerwowe szepty na korytarzu.

Nie traciła czasu na ubranie się, niech myślą co chcą. Zebrała w sobie odwagę i ruszyła przez zjawę do drzwi. Potem pobiegła korytarzem, miękko jak kot, szybko, by dogonić Rit i resztę kobiet. Mówiły cicho, a ich małe dłonie ściskały delikatną broń - od maleńkich, ozdobionych klejnotami noży po srebrne strzałki z kolorowymi piórami.
Suona zerknęła za siebie. Smok podążał za nimi, dumnie i z wdziękiem.
Szła szybkim krokiem, zostawiając za sobą grupę kobiet. W dół korytarzem, w balsamicznym powietrzu nocy. Czuła zapach nocnych kwiatów, a w oddali słyszała szmer strumyka, przecinającego ogrody Shana.
Dostrzegła złocistą poświatę, złote widmo kolejnego smoka-posłańca. Podeszła do niego, pozwoliła prowadzić się do grobowca. Ściany korytarza były oblane złotym blaskiem, tysiące zaklęć tętniło, jednocząc się z Klątwą Jedwabnego Smoka, wnikały w wytężony umysł Suony, pulsując rytmicznie i dziko jak bijące serce. To wzmogło jej napięcie, powiew wiatru był jak kaskady lodowatej wody.
Smok nagle zatrzymał się i cofnął, przez złocisty blask zobaczyła jedynie jakąś niewyraźną postać i nagły srebrny błysk. Rzuciła sie na ziemie i potoczyła pod ścianę. Srebro przeszło przez złotą sylwetkę smoka, zatrzymało się. w miejscu, spadło z brzękiem na kamienną podłogę.
Sztylet. Suona podniosła go, przyjrzała mu się. Wąski nóż ze środkowej części kraju, z jednym ostrzem wyciętym w zęby jak piła. Straszna broń. Zatknęła go za pas i wyciągnęła swój sztylet.
Przeszła przez widmo smoka. Drzwi do grobowca Nilkir Kon-weha były uchylone, pieczęć smoka złamana. Wprawdzie Vardret Kovair powinien być obłąkany lub nieżywy, jednak wydawał sie dość przytomny by walczyć, usiłować zabić ją albo smoka. Przylgnęła do ściany, przesuwała się wzdłuż niej. Szuranie nóg i szepty oznajmiły przybycie kobiet z ich subtelną bronią. Pchnęła drzwi, żadnego dźwięku, pchnęła jeszcze raz, przebiegła na drugą stronę, czekając na miecz, włócznie, albo nóż. Nic. Wśliznęła się w ciemność grobowca, przenikając ją wszystkimi zmysłami. W jej nozdrza uderzył zapach pleśni i kurzu, stechła, dusząca woń śmierci. Tu kryły się małe, włochate, płochliwe stworzonka, umykając spod jej nóg. Coś okrągłego, na długich nogach, przedziwnie skacząc przeszło przez zewnętrzną komnatę grobowca, bez wahania mijając spłowiała kotarę. Bacznym wzrokiem omiotła pokój, jej oczy już przywykły do braku światła. Nie dostrzegła nic, oprócz marnych resztek bogactwa Chun i kurzu.
Suona podeszła bezszelestnie do zasłony, wydobyła miecz, zacisnęła dłoń na ozdobnej rękojeści. Stojąc w bezpiecznej odległości dotknęła kotary.
Miecz Vardreta Kovaira przeciął tkaninę, szukając serca. Suona jednym ciosem zdarła zasłonę. Kovair zniknął w głębi grobowca. Już go mam, pomyślała, mogę go rozbroić, nie czyniąc mu zbytniej krzywdy.
Kovair był innego zdania. Uciekał dalej, kryjąc się, rzucając ozdoby, dzbany i rzeźby pod nogi Suonie, zmuszając ją do odparowywania nagłych ciosów miecza. Suona nie chciała uderzać w gniewie, jej broń przeznaczona była do prostych ciosów i pchnięć, nie do siekania i ciecia na prawo i lewo.
Wreszcie udało jej się przyprzeć go do muru. Zmierzył ją wściekłym wzrokiem.
- Rzuć miecz. Shan obejdzie się z tobą łaskawie - powiedziała Suona.
Kovair nie spuszczał z niej oczu. Zlany potem, na granicy wyczerpania, sapał jak tłuścioch po długim biegu.
- Doprawdy? Raczej zabija swych wrogów niż darzy ich swą łaską.
- To kraj łagodności - powiedziała. - Każą ci go opuścić. Natychmiast wyrzuć miecz.
Za nią rozległy się szepty.
- Nie - krzyknął Kovair.
Uderzył. Odparowała cios i uchyliła się. Zapomniał jak uczono go posługiwać się mieczem, wywijał ostrzem jak dzikus, ryczał rzucając się do ataku.
Cofnęła się, broniąc się rozpaczliwie, próbowała znaleźć jakąś osłonę, nie odwracając od niego oczu. Gdyby stracił równowagę albo gdyby udało jej się zranić go w nogę i przewrócić... ... i przewróciła się sama, zaplątana w jeden z arrasów, który Kovair rzucił na podłogę. Klnąc upadła na plecy, odsunęła się, unikając ciernistego ostrza, wpadła na zasłonę, przetoczyła sie przez próg, zerwała się na nogi. Kovair skoczył za nią, rozrywając zasłonę, upadł zanim zdążyła podnieść miecz, wstał z mieczem uniesionym do ciosu.
Coś srebrnego przemknęło ze świstem, wrzynając się w jego ramie. Krew, barwa najwyższej godności, barwa życia i barwa śmierci. Jego miecz uderzył w kamienną ścianę, o dłoń od Suony. Rozległy się podniecone szepty.
Kovair odwrócił się, chwytając się za ramie, szarpnął. Krew pociekła strumieniem, gdy wyciągnął z rany gwiazdę Rit Ho-chep. Rzucił nią w Suone. Odskoczyła. Teraz stała przed nim trzymając przed sobą miecz.
- Poddaj się - powiedziała. - Teraz. Albo giń.
Głosy nagle ucichły. Zaszurały kroki i weszły kobiety, zbite w małą grupkę, ich broń lśniła.
W grobowcu wybuchło złoto. Suona spostrzegła kamienną trumnę, w której spoczywało od wieków ciało Nilkir Kon-weh. Kovair upuścił miecz. Jedwabny Smok ożył.
Suona odwróciła się przerażona. Czerwone oczy smoka spojrzały na nią, na Vardreta Kovaira. Złote szczeki rozwarły się w cichym, wściekłym ryku. Kovair błagał.
Jedwabny Smok uniósł się i ruszył na niego. Równocześnie Suona odwróciła się i pchnęła mieczem w szyje Kovaira. Zginął zanim smok zdążył go tknąć. Litość dla skazańca.
Smok klapnął paszczą, chwytając ciało Vardreta. Gardło poruszyło mu się tylko raz. Kobiety stały jak oniemiałe.
Jedwabny Smok znowu otworzył paszcze. Vardret Kovair zniknął, połknięty w całości, wciągnięty do jakiegoś innego świata, przepadł na zawsze. Bestia odsunęła się, ciężka, najedzona. Wielkie, koliste oczy lśniły czerwonym blaskiem. Powoli smok skłonił głowę, jakby prosząc o pochwałę. Pomiędzy złotymi łuskami błyszczała nitka. Suona podeszła, podniosła miecz i przecięła ją. A Jedwabny Smok bezgłośnie opadł na podłogę, kurcząc się, jego ciało stało sie: płaskie...
... i po chwili tylko jedwabny arras leżał na podłodze grobowca.



- Gdybyś pozwoliła mi nosić moje ubranie, nie trzeba by było tego teraz robić - powiedziała Suona.
Rit opatrywała rany i zadrapania, które Vardret Kovair zostawił jej na pamiątkę. Milczała.
- Ale przynajmniej przekonałam się, że do walki lepiej nie stawać nago. Te skaleczenia są okropnie nieprzyjemne.
- Oczywiście, pani - powiedziała Rit, przemywając długie draśnięcie na udzie Suony.
Suona zaklęła, nie dbając o to, że znajdują się w grobowcu. Było jej w tym momencie wszystko jedno czy są tu, czy w knajpie w najgorszej części Kal-Menelon.
- Czy nie możesz tego robić powoli? Przecież masz być delikatna, a wygląda na to, że chcesz mnie obedrzeć ze skóry.
- Tak, pani - powiedziała Rit, nie przerywając ani na chwile. Suona zrezygnowała. Rit był zła na nią. Damy to słodkie kwiaty, przechadzające się po ogrodach i komnatach pałacu. Nie biegają nago, nie toczą walk z szaleńcami w grobowcach królów, niezależnie od tego jak dawno ci królowie nie żyją. Szczególnie wtedy, kiedy z intruzem mogą rozprawić się zaklęcia i kiedy są wezwane przez smoka kobiety, które mogą to zrobić subtelniej. Teraz Rit Ho-chep miała poważne zmartwienie, bo ta kobieta była jej podopieczną. Grzeczność nie pozwalała jej gwałtowniej okazać swego gniewu.
- Myślę, że zabiłam Vardreta Kovaira - powiedziała Suona - zanim smok zabrał się do niego.
- Tak, pani. Suona westchnęła.
- Mała Rit Ho-chep, nie jesteś dobrą przyjaciółką.
- Tak, pani.
Zabrała się do opatrywania następnego skaleczenia. Suona doszła do wniosku, że będzie musiała nosić suknie po prostu po to, by ukryć te ślady.
- Wiec jak? - zapytała. - Co się stało?
- Smok wziął jego ciało i jego dusze, mimo że ty go zabiłaś. Kupiec stał się posiłkiem w Nigdy.
- Och.
Suona rozejrzała się dokoła. Maleńka armia kobiet wezwana przez smoka porządkowała grobowiec, ustawiając przewrócone przedmioty, zmiatając skorupy.
Rit skończyła i usiadła, patrząc z wściekłością na swą podopieczną.
- No i co? - powiedziała Suona.
- Już nie jesteś damą, pani.
- Nigdy nie byłam, moja mała, chociaż miałam nadzieje, że uda mi się ocalić tego kupca.
Rit pokręciła głową.
- Nie pani, tego nie mogła pani zrobić, bez względu na pokrewieństwo ze smokiem. Los kupca był przesądzony. Ci, którzy obrażą smoka nie mogą uniknąć kary. My byśmy go zabiły, gdybyś nie zaprowadziła go do smoka w grobowcu.
- Hm - powiedziała Suona. - Wystarczy. Twoje słowa sprawiają, że chciałabym być w domu, w śniegu, albo z mężczyzną.
- Brrr - Rit uśmiechnęła się.
- Brrr, do diabła - powiedziała Suona. - Powinnaś zamarznąć, ty mała krwiożercza czarownico.
Roześmiała się, wstała, rozprostowując kości. Ruszyła do wyjścia, zatrzymała się i odwróciła, by spojrzeć ostatni raz na arras, który ułożono z powrotem na trumnie Nilkir Kon-weh, arras z Jedwabnym Smokiem, który ożył, by rozprawić się z Vardretem Kovairem.
Może jej się tylko wydawało, ale smok wyglądał na najedzonego...

Przełożyła **Anna Miklińska**

Opętanie

(Dragon Touched)

Butny smok będzie zmuszony się ukorzyć
Albowiem wszystko znajduje w końcu swój kres
I Ching, Pierwszy Heksagram, Wiersz Szósty

Dave Smeds

Szałas stał nad samym brzegiem Smoczego Morza, na, plaży, porośniętej gdzieniegdzie tylko kępkami trawy, odpornej na działanie soli morskiej. Widoczne na północy wzgórza, otaczającej ujście rzeki i zatokę, pokrywało swym liszajem miasto T'jet, cuchnące gnijącymi rybami i motłochem ludzkim. Od strony miasta zbliżało się. ku chacie dwóch mężczyzn i kobieta. Wyrwawszy sie z portowego zgiełku z rozkoszą stąpali po nagim piasku i wypełniali płuca powiewami dmącego od morza wiatru.
Na progu szałasu siedział kościsty, wysoki mężczyzna o pooranej zmarszczkami twarzy. Naprawiał sieć i rzucał co chwila zatroskane spojrzenie na gromadzące się na horyzoncie chmury. Wyglądał jak jakiś dziwny morski stwór, zakonserwowany wieloletnim działaniem wiatru, wody i soli. Nie przerywając pracy poświęcił nadchodzącym jedno baczne spojrzenie, po czym znowu spuścił wzrok. Jeden z przybyłych wysunął się przed towarzyszy i przemówił.
- Ty jesteś Darel? - spytał.
Mieszkaniec szałasu splótł następny węzeł i spojrzał na pytającego. Dostrzegł skórzaną tunikę, przypominającą ubiór żołnierza, przyozdobioną srebrem, jak szaty noszone przez członków rodziny królewskiej, oraz wyraźne oznaki podeszłego wieku pod pozorną maską młodości i siły.
- A kto pyta?
- Jestem Alemar - odparł mężczyzna. Darel wzruszył ramionami.
- Nigdy nie słyszałem tego imienia.
Mężczyzna odwrócił się i pełnym irytacji gestem wskazał na towarzyszącą mu kobietą. Była niemal jego bliźniaczką - niska, ciemnowłosa, z twarzą poznaczona kilkoma nieznacznymi zmarszczkami.
- To może znasz Lady Mirandę, moją siostrę? - spytał Alemair.
Darel uniósł brew.

- A tak - mruknął. - Znam panią magii. Co was do mnie sprowadza?
- Potrzebny mi człowiek znający Smocze Morze, który popłynąłby ze mną jako pilot. Pomyśleliśmy sobie, że to może cie zainteresować.
Darel splunął czymś gęstym i brunatnym do trzymanej miedzy stopami miski.
- Takie rzeczy kosztują.
- Wymień cenę.
Darel zamrugał powiekami, przełknął ślinę, i w jego zachowaniu nastąpiła pewna zmiana.
- No dobrze - powiedział wstając. - To nie miejsce na prowadzenie targów. - Przeciągnął się, aż trzasnęło mu w krzyżach i odsunął szmatę zasłaniającą wejście do szałasu.- Wejdźcie, wejdźcie.
Alemar wkroczył wolno do mrocznej izby. Pod jedną ścianą stara kobieta o obwisłym biuście mieszała nad paleniskiem podejrzanie wyglądającą strawę, pod' drugą siedział chudy, ośliniony mężczyzna, wpatrzony tępo w przestrzeń. Starucha została obdarzona jednym spojrzeniem, idiota trzema. Alemar przystanął i czekał na pozostałych. Ostatni wszedł do izby Darel, schylając głowę, aby nie uderzyć o framugę.
- Siadajcie - powiedział Darel z prostacką uprzejmością, kierując sie do szafki, z której wyciągnął gliniany dzban i cztery wyszczerbione pucharki.
Jedynym miejscem, na którym mogli usiąść było ubite klepisko. Trójka gości nie przejawiała jednak ochoty do skorzystania z zaproszenia. Darel wzruszył ramionami i napełnił pucharki mętnym, ciemnoczerwonym winem.
- Za sławną lady i jej brata - wzniósł toast - i za...?
- Nazywam się Polk - powiedział trzeci przybyły - wysoki, rudowłosy, tryskający zdrowiem nastolatek.
- Ho! ho! - zaśmiał się Darel. - Uważaj, młodzieńcze, żeby ten specjał nie wypalił ci twoich niezwyczajnych trzewi. - Widząc rumieniec oblewający twarz Polka, żeglarz roześmiał się jeszcze głośniej. Wychylił jednym haustem zawartość pucharka, oblizał usta i powiedział:
- Wybaczcie moją szczerość, ale zanim przejdziemy do interesów, chciałbym obejrzeć kolor waszego srebra.
Alemar odpiął od pasa trzos i podał go Darelowi. Marynarz wysypał z niego na dłoń kilka srebrnych monet. Podniósł jedną do światła sączącego się do wnętrza szałasu przez szparę w ścianie.
- Pieniądz z Moin. Z daleka przybywacie.
- Jesteśmy emisariuszami rady starszych tego kraju - powiedział Alemar. - Jestem jednym z jej członków.
Darel spojrzał z powątpiewaniem na stosunkowo młode rysy twarzy Alemara, ale napotykając jego zimny wzrok skłonił usłużnie głowę.
- Czy dwanaście lejtów tygodniowo z zadatkiem na pięć tygodni z góry będzie wystarczającą zapłatą? - spytał Alemar.
Darel zakrztusił się przełykaną właśnie śliną.
- To... - zakaszlał - ... wystarczy, mój panie... - z jego tonu wynikało, że zgodziłby się na znacznie mniejszą sumę. Po chwili dodał jednak ostrożnie. - A może powinienem się dowiedzieć w co sie pakuje...?
- Płyniemy do Utraconych Wysp.
- Co? - wykrztusił Darel, szybko kreśląc w powietrzu znak przeciw urokowi. Idiota w kącie izby przestał nagle mamrotać do siebie i przeraźliwie wrzasnął. Był to krótki, zduszony krzyk, po którym nieszczęśnik zaczął dygotać.
- Co mu jest? - spytał Polk.
- Zostawcie Yonniego w spokoju - krzyknął Darel. - Nie wolno wam w tym domu nawet wspominać nazwy tego miejsca. To kraina smoków. Nie wybiera się tam żaden człowiek.
- Chyba że udaje się tam po to - odparł spokojnie Alemar - żeby zgładzić smoki.
Darel cofnął się o krok, zdając się wahać miedzy rzuceniem sie na gości, a czmychnięciem na zewnątrz. Po chwili odprężył się z głośnym westchnieniem, spuścił oczy i wskazał palcem na idiotę.
- Yonni widział smoka.
Yonni, ukrywszy twarz w dłoniach wydawał ciche pomiaukiwania i dygotał na całym ciele. Darel przyglądał się z niepokojem, jak Alemar podchodzi wolno do idioty, bierze go pod brodę, delikatnie unosi w górę jego twarz i szepcze kilka słów zbyt jednak cicho, aby usłyszeli je pozostali.
- Wara od niego! - ostrzegł Darel zaciskając pieści, ale nie ruszając się z miejsca. Uwagę starego żeglarza przykuły oczy Yonniego, wpatrzone w Alemara i tracące z wolna wyraz bezmyślności. Przez te oczy przesuwała się teraz cała gama emocji strach, ciekawość, wreszcie uspokojenie. Było to ciche porozumienie, niepojęte dla innych, obecnych w izbie, dzielone tylko z Alemarem. Po kilku minutach, które wydawały się trwać wieki, idiota oderwał wzrok od oczu Alemara i opadł bezsilnie na swój słomiany barłóg. Spojrzał na Darela i wypowiedział trzy wyraźne słowa:
- Jedź z nimi.
Oczy Darela rozszerzyły się. Po drugiej stronie izby starucha chlipała cicho, przyciskając do piersi chochle. Darel nie był już nieustępliwy. Jego nastawienie do Alemara przeszło teraz w szczery szacunek.

- Czarownik! - powiedział cicho. Alemar skinął głową, dodając po prostu:
- Wyruszamy za trzy dni. Spotkamy się o świcie przy Długim Nabrzeżu. - Tu wskazał na Yonniego - Chce, żeby on też z nami popłynął.
Polk penetrował nowy dlań i fascynujący świat. Podniósł głowę, aby ujrzeć nad sobą ławice małych rybek, kłębiących się wokół odpadków, które ktoś wyrzucił za burtę. Ich srebrzyste brzuszki
- szybkie błyskawice światła - wcale nie przypominały małych, ciemnych kształtów, obserwowanych sponad powierzchni. Kamuflaż ochronny, jak wiele innych rzeczy w tym nowym środowisku, świadczył o zupełnie innych regułach i prawach rządzących tutaj życiem. Woda była ciepła, rozkoszna. Jej pieszczota przypominała mu obcowanie z kobietą. Takie samo poczucie bezpieczeństwa, połączone z podnieceniem. Płynął, rozgarniając głębiny oceanu ramionami o nie w pełni jeszcze rozwiniętych mięśniach, czerpiąc rozkosz z tej próby sił.
Twarz zakrywała mu przezroczysta membrana, rozpięta na ramce ze złotego drutu. Tylko lekkie trzepotanie błony świadczyło, że nie oddycha morską wodą.
Woda była kryształowo czysta. Widział dno, pokryte nieprzebraną obfitością korali. Nawet tutaj, daleko od brzegu, morze było płytkie. Podpłynął do statku - dużego, szybkiego szkunera - i uchwycił się klamer przymocowanych do podwodnej części kadłuba. Poczuł szarpniecie - a wiec znowu powiał wiatr. Z żalem uświadomił sobie, że musi się wynurzyć, bo pozostanie w tyle, gdy żagle wypełnią się podmuchami bryzy. Uczepił się zwisającej z pokładu sznurowej drabinki i wspiął się po niej na górę. Gdy wynurzył głowę, woda pokryła maskę kroplami, zamazując widok. Ściągnął ją z twarzy i wspinał się dalej. Wyciągnęła się ku niemu czyjaś ręka. Schwycił ją automatycznie i skorzystał z jej pomocy przy przełażeniu przez reling.
- Wciąż nie mogę w to uwierzyć - powiedział Darel, puszczając dłoń Polka i poklepując maskę do oddychania pod wodą.
- Sam powinieneś spróbować - odparł przyjaźnie Polk. - Alemar nalega, abyśmy wszyscy nauczyli się korzystać ze sztucznych płuc.
- Lubił starego żeglarza pomimo posępnego nastroju, jaki go nie opuszczał od chwili wejścia na pokład, czyli od dwóch dni. Darel ujął go swym zamiłowaniem do żeglugi. Już pierwszego dnia nowy pilot wyrobił sobie autorytet u całej załogi - z logicznym wyjątkiem Alemara i jego siostry - i to nie apodyktycznością, ale zwykłym wykazaniem się znajomością swego fachu.
- O nie - powiedział Darel. - Gdyby człowiek umiał pływać jak ryba, miałby skrzela.
- Ależ my je mamy - powiedział Polk wskazując na maskę. Po wyjęciu z wody wyglądała jak delikatna ramka z cienkiego drutu. Młodzieniec zanurzył ją ostrożnie w naczyniu ze słoną wodą, żeby błona nie wyschła i nie popękała. - Dzięki pomysłowi Mirandy.
Darel włożył palec do naczynia, w którym pływało więcej takich masek - po jednej dla każdego członka załogi.
- To czary. Zostawmy je lepiej smokom. To nie doprowadzi do niczego dobrego.
- Czyż cie to nie zdumiewa? Czy możliwość oddychania w nieskończoność pod wodą nie wydaje ci się cudowna?
- Człowiekowi nie jest przeznaczone żyć tam, w dole. To nie jego świat.
- Wprost przeciwnie. To jest celem naszej wyprawy - zaprzeczył Polk.
- Jesteś z Tjet. Musiałeś słyszeć o domu pod wodami zatoki, w którym mieszka Miranda.
Darel wzruszył ramionami.
- Słyszałem o nim. To dom ze szkła, wytopionego z var-piasku. Zbudowała go przed wielu laty. - Było oczywiste, że rozmyślnie unikał wizyty w tym domu. Polka zastanawiało czasem, że mimo całej swej nieufności do magii, większość prostych ludzi pragnęło być najczęściej świadkami jej cudów.
- Alemar jest przekonany, że tak właśnie można budować całe miasta - całkowicie pod wodą, byle morze było na tyle płytkiej aby przepuszczało dostateczną ilość promieni słonecznych i miało muliste dno, nadające się na budulec. Obydwa warunki są spełnione przy brzegach Utraconych Wysp.
- Wiem - powiedział Darel. - Wiedzą to również smoki. Byłbym ostrożny co do planów tego człowieka. Jest trochę zbyt pewny siebie.
- To samo myśli mój dziadek - przytaknął Polk. Z przerwy, jaka nastąpiła, Darel domyślił się, iż Polk wolałby, żeby było inaczej. Jednak pod przykrywką tego młodzieńczego entuzjazmu czaiły sie też pewne wątpliwości. Darel złagodził ton swego głosu i po raz pierwszy od początku tej podróży okazał gotowość do słuchania.
- Kim jest twój dziadek?
- To Bartel. Najstarszy z Moin. On i inni członkowie rady nie ufają lordowi Alemarowi. Projekt udzielenia wsparcia tej wyprawie poddano pod głosowanie. Rada zdawała sobie sprawę, że nie ma wyboru. Od czasu upadku Numaronu barbarzyńcy otoczyli niemal cały nasz kraj. Łatwo nas oblegać, bo nie mamy żadnego portu. Potrzebujemy azylu, a Alemar zaproponował objecie w posiadanie Utraconych Wysp i pobudowanie tam miast zarówno ponad, jak i pod powierzchnią morza.
Darel potrząsnął z niedowierzaniem głową.
- To szaleństwo. Słyszałem o sytuacji w Moin... ale... dziwi mnie, że wasza starszyzna przystała na taki plan.
Polk wzruszył ramionami.

- Zanim zjawiły się smoki, Utracone Wyspy były jednym z najpiękniejszych i najbogatszych miejsc. A Alemar potrafi przekonywać.
Darel śledził przez chwile igraszki unoszących się nad falami mew.
- Zauważyłem to - powiedział w zadumie. Podniósł wzrok i spojrzał Półkowi w oczy. - Powiedz mi, co myślisz o lordzie Alemarze?
Polk spuścił oczy i zaczął spacerować po pokładzie, wciąż jeszcze stąpając z ostrożnością człowieka, który po raz pierwszy podróżuje morzem.
- Ja... - zaczął i oblizał wargi. -Ja nie zgadzam się z moim dziadkiem. Alemar jest wielkim człowiekiem i... pójdę za nim wszędzie. Był dla mnie dobry. Ale zdarzają się chwile, kiedy jest... jakiś... dziwny.
Darel spostrzegł, że ta rozmowa sprawia Półkowi przykrość. Westchnął głośno, zacisnął węzeł i powiedział:
- Ciekaw jestem co wasza rada wie o Farocu i Triss?
- Tylko te smoki stoją nam na przeszkodzie. Alemar twierdzi, że potrafi oba uśmiercić. Jeśli mu się to uda, rada udzieli poparcia jego planowi.
- Tak, tak - mruknął Darel. - Sądzę, że za zabójcą smoków, o ile w ogóle można te bestie zabić, poszedłby każdy.
- To się już zdarzało.
- W zamierzchłych czasach, w legendach.
- Ale się zdarzało - obstawał przy swoim Polk.
- Może... ale uwierzę, dopiero wtedy, gdy ujrzę, to na własne oczy. Jeśli dożyje..
Polk był ciekaw, co Darel chciał przez to powiedzieć. Czyżby uważał, że ta wyprawa się nie uda i że smoki ich zniszczą?
- Zabije je smoczy jad - odpowiedział optymistycznie.
- Żeby użyć trucizny, musisz najpierw zbliżyć się do ofiary.
- Jeśli tak czarno to widzisz, czemu z nami płyniesz?
Darel uderzył dłonią w fał i przeniósł wzrok na kabinę, w której zniknęli Alemar i Miranda.
- Ponieważ - powiedział wolno - smoki są mi coś winne, a mam przeczucie, że ten człowiek pomoże mi odebrać mój dług.



Miranda obudziła się w koi. Kabina tonęła w półmroku - która to godzina? I natychmiast zaczęła myśleć w kategoriach żeglarskich: wachty, statek, morze. Podświadomie wiedziała, że do świtu jeszcze daleko.
Usiadła. Pod ścianą, przedzieleni małym drewnianym stołem, siedzieli naprzeciw siebie Alemar i Yonni. Wsparłszy łokcie o blat dotykali sie koniuszkami palców i patrzyli sobie w oczy. Yonni był wykończony. Co chwila z ust skapywała mu na kolana wyświechtanych spodni kropla śliny. Alemar siedział wyprostowany, ale w jego oczach przebłyskiwały te same iskierki znużenia. Trwali w pozycji, w której widziała ich Miranda przed zaśnięciem.
Nie przeszkadzając bratu wyślizgnęła się cicho do kuchni i wzięła stamtąd porcje mięsa i trochę świeżych owoców. Po przerwaniu kontaktu z opętanym przez smoka Alemar będzie wściekle głodny.
Wróciła do kajuty i czekała. Yonni skamlał teraz, a po jego twarzy płynęły łzy, ale ani on, ani Alemar nie odrywali od siebie wzroku. Alemar drżał i Miranda nie pamiętała brata w takim stanie. Był z tych, którymi niełatwo wstrząsnąć. Pogrążyła się w myślach. Ich wspólne nadzieje szybko zbliżały się ku spełnieniu łub ku ruinie. Powiedzą o tym nadchodzące tygodnie, a im bardziej zbliżali sie do Utraconych Wysp, tym niepewność stawała się większa. Nawet znaczna moc czarnoksiężska Mirandy nie pozwalała na przewidzenie wyniku wyprawy.
Yonni zaczął łkać i nagle spadł ze swego zydla. Leżał na podłodze, dygocząc gwałtownie i z trudem łapiąc powietrze. Alemar odetchnął głęboko i opuszczając ręce na blat stołu zamknął oczy. Miranda usiadła przy nim, ale nie odzywała się. Po dłuższej chwili Alemar otworzył oczy.
- Przerażające - powiedział cicho.
- Co przerażające? - spytała Wzdrygnął się.
- Strzępy myśli, wyrywkowe wspomnienia, a ponad wszystko jego strach, zmieszany z wesołością smoka. Ta bestia, znęcając sie nad nim, dobrze się bawiła. Nie spieszyła się. Od początku nie spodziewałem się znaleźć w nim odrobiny logiki.
- Nie?
- On nie jest już człowiekiem. Nic nie jest już w nim takie, jakie być powinno, a jego emocje są pobudzane przez powracające uparcie obrazy. Niektóre z nich są tak dziwaczne, że ich pochodzenie nie może być ludzkie.
- Co takiego!?
- Chodzi o to, że smok sięgnął w niego tak głęboko, że pozostawił w jego duszy ślady swego własnego umysłu i nie jest w ludzkiej mocy pozbyć się ich i sprawić, by on stał się znowu sobą. Na tym polega ich magia - podczas gdy ludzie używają do czarów przedmiotów, talizmanów i innych magicznych akcesoriów, smoki pracują swym umysłem.
- Wiedzieliśmy już o tym.
- Tak - powiedział cicho - ale nie sądziłem, że mogą być tak potężne. Te smoki są mistrzami. Ich moc rośnie z wiekiem, a Faroc i Triss są w jej posiadaniu od tysiącleci. Nie wolno mi dopuścić do tego, aby uzyskały nade mną przewagę...
Miranda nie odpowiedziała. Zerknęła na Yonniego, który leżał jęcząc na podłodze.
- Co z nim zrobimy?
- Odeślemy go z powrotem bratu, chociaż wydaje mi się, ze on sam wolałby się już przenieść na tamten świat.



Stojąc obok wspierającego się na kole sterowym Darela, Polk wyczuwał wśród krzątającej się po pokładzie załogi jakieś napięcie. Rozwiała sie gdzieś atmosfera wesołości z pierwszych kilku dni podróży, kiedy to niedoświadczeni żeglarze wymieniali miedzy sobą żarty na temat morskiej choroby, a radość z przeżywanej przygody przesłaniała grożące im, ale jeszcze odległe niebezpieczeństwo. Teraz, po wielu dniach żeglugi, rzucali raz po raz zalęknione spojrzenia na północny horyzont i wstrzymywali oddech, gdy w oddali pojawiła się duża mewa.
- Żółte wodorosty - mruknął Darel wskazując na kłębiącą się za rufą wodę.
- Co to znaczy? - spytał Polk.
- Rosną tylko w pobliżu Utraconych Wysp. Kiedy zobaczą je marynarze, żeglujący po tych wodach, natychmiast zmieniają kurs.
Polk pokiwał w zadumie głową.
- Tam, w szałasie - powiedział ostrożnie - mówiłeś, że twój brat widział smoka. Czy ty także go widziałeś?
- Taak - powiedział cicho Darel. - Widziałem Triss... z tak bliska, że ubranie trzepotało na mnie od jej oddechu. Odnosząc Yonniego wylądowała na mym progu.
- Odniosła go? Nie rozumiem. Darel splunął znowu.
- Takie są... zwyczaje smoków.
Polk zacisnął usta, nie chcąc nakłaniać przyjaciela do zwierzeń, które najwyraźniej sprawiały mu przykrość, ale Darel nabrał nagle ochoty do rozmowy.
- O każdym smoku na świecie można powiedzieć na pewno dwie rzeczy: lubią się chełpić i nie przebierając w środkach strzegą swego terytorium. Jeśli na ich wody wpływa statek, palą go. Oszczędzają przy tym z reguły jednego człowieka, odnoszą go z powrotem na ląd i zostawiają tam, aby opowiadał swoją historie. Ale nie zawsze pozostawiają go całego i zdrowego...
Obaj mężczyźni spojrzeli odruchowo w dół, gdzie pod pokładem, patrząc w ścianę i mamrocząc chaotyczne frazy, leżał w swym hamaku Yonni. Polk, zmieszany okazaniem współczucia, podniósł wzrok.
- Od dnia, kiedy odniosła go smoczyca do chwili pojawienia sie tego czarownika nie wymówił normalnego słowa.- Darel tak silnie zacisnął dłonie na kole sterowym, że Półkowi wydawało się, iż rozkruszy je w palcach.
- A wiec... to jest ten dług, który chcesz spłacić smokom. Darel zagryzł wargę i spojrzał na Polka.
- Myślisz, że popłynąłem z wami tylko po to, aby się zemścić, tak?
- Ja... - Polk wzruszył ramionami.
- Nie mylisz się - ogorzała twarz Darela poczerwieniała jeszcze bardziej. - Ale chce, żebyś wiedział, że popłynąłem też dla Yonniego. On chciał płynąć. Wydaje mi się, że ten czarownik o tym wiedział. Przypuszczam, że właśnie dlatego zwrócili się do mnie, chociaż mogli sobie znaleźć innego pilota. To było jedyne życzenie, jakie wyraził przez sześć lat. Nie mogłem ot, tak sobie go zignorować i nie mogłem ot, tak sobie zostawić go samego. Czy nie mam racji? To dla Yonniego płynę z Alemarem i z tą wiedźmą z T'jet.
- Z wiedźmą? - spytał dziwnym głosem Polk.
- Tak ją nazywają w mieście - odparł Darel. - To kobieta, która sie nigdy nie starzeje. - Dostrzegł chmurę przesuwającą się przez czoło towarzysza i nagle jego głos nabrał ostrości, takiej samej, jakiej używał do wydawania komend załodze. - Wybij sobie z głowy te kobietę. Ona nie jest stworzona dla zwykłego śmiertelnika.
Polk cofnął się o krok. Wyczuł, że Darel mówi zupełnie poważnie i czyni to w trosce o niego.
- Ale... - urwał. „Ale ona jest taka piękna", chciał powiedzieć. Cisza, jaka zapadła stawała się coraz bardziej przykra. Polk zmienił temat.
- Będąc dzieckiem, dziwiłem się zawsze, czemu smoki, skoro są takie potężne, nie uśmierciły dotąd wszystkich ludzi na świecie i nie objęły w posiadanie wszystkich lądów. Co je przed tym powstrzymuje?
- Wydaje mi się - odpowiedział Darel wzruszając ramionami że jest ich za mało. Nie współpracują ze sobą. Zabijają się wzajemnie. Do tego lubią przebywać blisko wody, bo tam dorastają. Faroc iTriss są wyjątkiem. Dzielą miedzy siebie swoje terytorium
- Faroc ma cześć południową, Triss północną. Stanowią jedyną, znaną w naszych czasach, smoczą parę. U smoków nawet samce i samice walczą miedzy sobą.
- O ile mi wiadomo są one w ogóle jedynymi żyjącymi smokami;
- Hmmm. Gdzieś tam są i inne. Na Północy albo na Zachodzie. Jest jeszcze dużo miejsc, których nikt oprócz barbarzyńców nie widział na oczy. Trzeba jednak przyznać, że w granicach Imperium Calinin od wieków nie widziano żadnego smoka.
- Drzwi kabiny rozwarły się nagle na oścież i na pokład wyszedł Alemar. Przeszywał Darela wzrokiem.

- Zboczyłeś z kursu - odezwał się bezbarwnym głosem. Do uszu Polka dotarło ciche przekleństwo pilota.
- Tak, panie, ale tam, gdzie kazał mi pan płynąć, jest rafa - wskazał na morze za prawą burtą.
- Czyż nie mówiłem wczoraj wyraźnie? Od tej chwili masz sie trzymać dokładnie kursu wytyczonego przeze mnie.
- Ale...
- Jeśli zachowasz ostrożność, przejdziemy przez te rafę. Zbocz o pół stopnia, a zginiemy na pewno. - Alemar wyprostował się, ale i tak był znacznie niższy od Darela. - Zrozumiano?
Darel przełknął głośno ślinę.
- Wybaczcie, panie - wymamrotał, a do załogi krzyknął: - Przygotować się do zwrotu na wiatr.
Alemar obserwował przez chwile krzątaninę załogi, sprawdził wskazanie kompasu, po czym zniknął pod pokładem.
- Skąd wiedział, że zszedłeś z kursu? - spytał Polk. - Nie spojrzał nawet na kompas.
- Jest przecież czarownikiem - odparł Darel. - Kto wie, jak pracują ich mózgi? Mógłbym to zrozumieć, gdybym zrobił zwrot, ale ja tylko trochę dłużej niż mi kazał, płynąłem starym kursem. Nie mogliśmy zejść z wytyczonej trasy o więcej niż sto kroków.
- Coś musi się za tym kryć, coś bardzo ważnego, bo inaczej nie wytyczyłby tak dokładnie trasy. Po co, według ciebie, to robi? Darel strzelił palcami.
- Hmmm... Nic z tego nie rozumiem. Mapa każe mi robić zwroty w najmniej spodziewanych momentach. Najpierw przez całą wachtę żeglujemy prosto jak strzelił, potem zmieniamy kurs z każdą nadchodzącą falą. Powiem ci tylko, że to nie ma nic wspólnego z wiatrem ani z prądami. Tyle z tego rozumiem, co i z tej dekoracji.
Darel wskazał na dziwaczne wyposażenie, w które Alemar zaopatrzył statek jeszcze w porcie. Był to szereg metalowych uchwytów do pochodni, okalających cały pokład. Co pięć kroków do kadłuba przyśrubowany był gładki metalowy pręt, sięgający ramienia, na którym znajdował się wypełniony olejem zbiornik, czekający na rozpalenie. Było to urządzenie zbyt proste, aby służyć za ozdobę, a statek miał już latarnie pozycyjne.
- Prędzej czy później dowiemy się, do czego to służy - powiedział Polk.



Wczesnym popołudniem statek dotarł do skał kilku postrzępionych, kamiennych iglic sterczących z morza - pierwszych zwiastunów bliskości Utraconych Wysp. Gdy znajdowali się o kilka strzałów z łuku od wysepek, Alemar polecił niespodziewanie zwinąć żagle i rzucić kotwice. Ludzie patrzyli ze zdziwieniem na czarownika i nie spieszyli się z wykonaniem jego rozkazów. - Tutaj? - spytał Polk. - Przecież nic tu nie widzę. Mamy czekać, aż smok sam do nas przyjdzie?
- Smok siedzi na najwyższej skale - powiedziała Miranda. Rozpętało się piekło. Ludzie rzucili się do łuków i strzał, które sobie zawczasu przygotowali.
- Przynieść naczynia z fellitem i umoczyć w nim strzały - rozkazał Alemar nie odrywając oczu od skały. - Trucizna musi być świeża, aby dobrze spełniła swoje zadanie.
Jeden z marynarzy zniknął pod pokładem i po chwili wynurzył sie stamtąd z naczyniami pełnymi kleistej mazi, z którymi obchodził się z najwyższą ostrożnością. Smoczy jad może mieć wiele lat, a jeszcze, przy najlżejszym zadrapaniu, zabije człowieka. Przygotowawszy swój kołczan, Polk uczynił to samo z kołczanem czarownika i znowu stanął u boku Alemara.
- Zapalić pochodnie - rozkazał Alemar. W chwile później statek otoczony został pierścieniem małych płomyczków.
- Co zrobimy? Czy jest tylko jeden? - spytał Polk. Miranda chwyciła go za ramie.
- On nie słucha. Koncentruje się teraz tylko na tej bestii. Bądź cicho, patrz i trzymaj łuk w pogotowiu.
Alemar wyszedł na sam środek pokładu. Polk nigdy dotąd nie widział bardziej imponującego mężczyzny, a w tym momencie cały efekt był bardziej wymowny niż kiedykolwiek. Wtem czarownik przemówił:
- Smoku! Jestem Alemar z Moin!
- Jak ten potwór może go usłyszeć? - spytał Polk. - Mówi przecież normalnym głosem.
I wtedy wydało mu się, że pęka mu głowa. Zamglonym z bólu wzrokiem spostrzegł, że inni, z wyjątkiem Alemara i Mirandy, obejmują dłońmi swe czaszki. Polk słyszał słowa - ryk rozbrzmiewający w środku głowy, oszałamiający go tak, że jego znaczenie dotarło doń dopiero po dłuższej chwili.
- *Jestem Faroc. Naruszyliście granice mego terytorium.*
- Przybyłem w poszukiwaniu ciebie - odparł Alemar.

- *Żaden człowiek nie szuka Faroca. Po co przybyliście?*
- Żeby cie zniszczyć.
Polka ogarnęło niezwykłe uczucie rozbawienia, ponieważ w jego umyśle wybuchła pełnym blaskiem niepohamowana wesołość. Chociaż zdołał stłumić w sobie smoczą mowę, nie potrafił zapanować nad drżeniem mięśni. Szczyt skały rozpostarł nagle skrzydła i Faroc wzbił się w powietrze.
Ludzie wstrzymali oddechy. Rozpostarte skrzydła smoka miały rozpiętość pięciu dorosłych mężczyzn. Za nimi wlókł się wężowaty ogon, z przodu sterczał wąski, spiczasty łeb, o paszczy pełnej zębów, z parą fosforyzujących, wyłupiastych ślepi. Podczas lotu dwie pary nóg zwisały bezwładnie, prezentując straszliwe szpony. Mimo swych rozmiarów smok był bardzo szybki. Nurkując gwałtownie, w jednej chwili znalazł się nad statkiem bluzgając z gardzieli wąskim strumieniem ognia. Kilku ludzi przypadło do pokładu i nie widziało, jak płomień rozpryskuje się raptem w tysiące ognistych palców. Statek otoczyła momentalnie skorupa ognia. Płomień znikł tak nagle, jak się był pojawił i miniaturowymi słońcami rozbłysnęły znowu pochodnie. Marynarze skulili się instynktownie, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, że pochodnie nie emitują żadnego ciepła.
- Pozostać na stanowiskach i trzymać broń w pogotowiu! krzyknęła Miranda. - Mój brat potrafi powstrzymać ogień, ale nie samego smoka! Nie ruszać sie!
Faroc krążył wysoko w powietrzu, zdumiony tak samo, jak załoga niepowodzeniem swojego ataku. Polk zerkał to na potwora, to na Alemara, który stał bez ruchu, trzymając się masztu. Po twarzy spływał mu pot.
Wydawszy ryk, na dźwięk którego ugięły się nogi wszystkich marynarzy, Faroc znowu znurkował pionowo w dół, wysyłając przed siebie płomienną strzałę daleko grubszą niż pierwsza i trwającą trzy razy dłużej. Kiedy uderzyła w barierę roztoczoną przez czarownika, pochodnie buchnęły wyższym płomieniem, a cały statek wciśnięty został głębiej w morze. Gdy się wynurzyli, Polk zdołał na tyle odzyskać jasność umysłu, że wypuścił strzałę, ale szalona szybkość smoka uczyniła ten odwet śmiesznym i bezowocnym.
- Bardzo dobrze - pochwaliła go stojąca obok Miranda. Odwrócił sie ku niej i zauważył, że również strzeliła. - Próbuj dalej. Polk dostrzegł, że Alemar drży.
- Nie możesz mu pomóc? Przecież ty też jesteś czarownicą.
- Nie śmiem.
- Ale...
- Smok nie ma w sobie więcej niż pięć, sześć wytrysków. Jeśli Alemar nie zdoła powstrzymać ich sam, jesteśmy zgubieni. Głos miała spokojny, ale Polk zauważył, że jej twarz jest kredowobiała.
Faroc nie tracił czasu. Zbliżał się już w wielkim pędzie do prawej burty. Ten wytrysk ognia był niemal tak samo potężny, jak poprzedni. Roztoczona przez Alemara bariera ochronna przejęła go, statek przechylił się na lewą burtę. Ryk smoka sparaliżował większość łuczników. Zatoczywszy ciasny krąg, Faroc zanurkował jeszcze raz i jeszcze raz. Bluzgający z jego paszczy płomień był za każdym kolejnym nalotem coraz słabszy. Po ostatnim ataku Alemar osunął się na kolana, ale wciąż z napięciem w oczach obserwował Faroca.
Smok zaskrzeczał i ponownie runął na statek. Tym razem jednak nie bluznął płomieniem.
- Łucznicy! - krzyknęła Miranda.
W kierunku potwora poszybowała chmura strzał. Polk zwlekał ze zwolnieniem cięciwy do ostatniej chwili, po czym obserwował, jak jego pocisk mknie prosto ku gardłu smoka. Wtem, kilka cali od celu, stalowy grot zatrzymał się, zawisł na chwile w powietrzu, potem spadł do morza. Faroc skręcił jednak w prawo, rozpętując swymi skrzydłami wicher na pokładzie. Alemar wstał z wysiłkiem i słaniając się na nogach ujął w dłonie swój łuk.
Faroc nie dał się sprowokować. Wrócił' na swoją skałę i wydal przeciągły ryk.
Alemar chwytał łapczywie powietrze, wciągając je pełnymi haustami w nłuca. Pierś wznosiła mu się i opadała miarowo. Przemówił, skoro tylko zdołał zapanować nad głosem:
- Smoku! Co się stało?
- *Moje uznanie, człowieku. Jedna rozpiętość skrzydeł bliżej korala i mógłbym nie odparować tych strzał. Czuję fellit. Jesteś sprytny i silny.*
- Wystarczająco silny, aby cie zniszczyć.
- *Nie sądzę.*
- Przekonasz się.
- *Jestem dumny, o człowieku, ale nie jestem na tyle dumny, aby szyderstwa przytępiły mi rozum. Nie, nie dam się ugodzić strzałą nasyconą trującym fellitem. Zostanę tutaj. Chociaż nie mogę cie stąd dosięgnąć, ty też nie możesz dosięgnąć tu mnie. Prędzej czy później będziesz zmuszony •odpłynąć, bo umrzesz z głodu. A odpływając, prędzej czy później zmuszony będziesz porzucić osłonę korala trijish chroniącego cie przed moją magią. Wtedy, jeśli nie wcześniej, będę cie miał.*
Alemar nie odpowiedział. Po paru chwilach Faroc zerwał się ze swego leża. Ludzie ujrzeli, że miedzy przednimi łapami trzyma ogromny odłam skalny. Puścił go znalazłszy się dokładnie nad statkiem, daleko poza zasięgiem strzału z łuku. Alemar uniósł w obronnym geście ramiona, a dwóch żeglarzy wyskoczyło za burtę. Wokół statku rozbłysnął pęcherz zielonej poświaty, wyznaczający granice osłony wykorzystywanej uprzednio do powstrzymywania ognia. Z dłoni Alemara płynęły wciąż świetliste promienie, wzmacniające osłonę w miejscu, w którym miała uderzyć skała. Głaz odbił się od bariery, rozłupał na kilka dużych

kawałów, które jak kamienny deszcz spadły do oceanu tuż za rufą statku. Wstrząs był tak potężny, że zwalił z nóg wszystkich obecnych na pokładzie. Bryzgi wody przemoczyły ich do suchej nitki. Faroc zaryczał z radości.
I po to, abyś ani na chwilę nie mógł osłabić swej osłony, będę to robił coraz częściej. - Wracając na swe legowisko, opisał w powietrzu tryumfalne salto.
- Niech go diabli porwą - wyszeptał Alemar stając niepewnie na nogi.
Tymczasem z morza wyłowiono dwóch żeglarzy, którzy wyskoczyli za burtę. Ociekając wodą stali ze spuszczonymi głowami, rzucając zalęknione spojrzenia to na czarownika, to na smoka. Otrząsnąwszy się z chwilowego oszołomienia, Alemar ruszył ku nim.
- Durnie! Powinienem sprawić, aby ta skała spadła na was! Przesunął przed nimi dłonią. Z koszul dwójki dezerterów buchnęły kłęby pary. Jeden z nich krzyknął. Twarze poczerwieniały im z gorąca. - Opuścicie jeszcze raz swe posterunki, a nie smoka będziecie się lękać!
Polk dostrzegł skrzywienie ust Mirandy i nadmiernie jasny błysk w źrenicach Alemara i poczuł ucisk w żołądku. Dwaj ukarani mężczyźni skulili się, wymamrotali słowa przeprosin i szybko, zginając się co chwila w ukłonach, umknęli przed gniewem Alemara. Czarownik odzyskiwał powoli panowanie nad sobą. Wrócił pod maszt i usiadł ciężko, opierając się oń plecami. Wzrok miał cały czas utkwiony w swym przeciwniku. Po chwili podeszła do niego Miranda. Stanęła obok brata i czekała. Chociaż nie odezwała się ani słowem, Polk widział w jej myślach nieme pytanie i chociaż Alemar nie drgnął nawet, Polk widział potwierdzenie malujące się na twarzy czarownika. W końcu Alemar przemówił:
- Czuje się dobrze.
Polk dostrzegł, jak mięśnie na szyi Mirandy się rozluźniają.
- Był silniejszy niż sądziłem, ale mam jeszcze dość siły, by dokonać tego, czego dokonać musze.
Miranda dotknęła lekko brata i odeszła na rufę, pozostawiając Alemara ze wzrokiem utkwionym w smoku. Polk podążył za kobietą i kiedy był już pewien, że czarownik ich nie usłyszy, zagadnął:
- Co teraz?
- Zaczekamy do zmroku.
W jej głosie brzmiała fatalistyczna nutka, która zaniepokoiła Polka. Podszedł bliżej.
- Nie pojmuje, dlaczego nie możesz mu pomóc podczas ataku.
Wyciągnęła reke i położyła dłoń na ramieniu chłopca. Uczyniła to po raz pierwszy. Poczuł mrowienie skóry na karku.
- Ponieważ - odparła - smoki walczą samotnie.



Stojąc niepewnie na skalnej półce, Alemar koncentrował całą swą uwagę na przesuwającej sie mu miedzy palcami linie. Przemawiał do niej zaklęciami dawno zapomnianymi przez wszystkich z wyjątkiem czarowników z Acalonu, powodującymi, że samorzutnie pięła się cal po calu w górę, ku sterczącemu nad jego głową skalnemu występowi. Gdyby zdołał zmusić linę do owinięcia się wokół tego występu, mógłby wreszcie wspiąć się na szczyt. Ale zanim węzeł zacisnął się, Alemar rozproszył swoją uwagę i lina w luźnych zwojach spadła mu do stóp.
Zaklął w duchu i zrobił przerwę przed następną próbą. Olbrzymie ilości energii, jaką był zmuszony wydatkować tego dnia osłabiły jego zdolność koncentracji. Wciąż czuł zawroty głowy. Oparzenie tych dwóch głupców było błędem. Potrzebował każdej cząstki swej mocy. Zgiął ręce w łokciach - były obolałe. Czarownik mógł się wspiąć na taką jak ta skałę cztery razy szybciej niż zwykły człowiek, ale nie znaczyło to wcale, że wspinaczka taka nie sprawiała mu żadnych trudności. Alemar nie był już taki młody.
Słyszał niedawno łoskot spadającego na osłonę głazu i, na szczęście, zaraz potem plusk wpadających do morza odłamków. Głuche tąpniecie, które przed chwilą dotarło do jego uszu ze szczytu skały powiedziało mu, że Faroc wylądował tam znowu. Szczęście nadal mu sprzyjało. Miranda dobrze podtrzymywała magiczną osłonę statku, a smok nie wkładał w swe sporadyczne ataki wszystkich sił ani, okrążając skałę, nie przeleciał dostatecznie blisko niej, aby dostrzec małą, zamaskowaną figurkę wspinającą się po pionowej ścianie.
Najważniejsze było zaskoczenie. Na nim właśnie opierał się przygotowywany przez wiele lat plan Alemara. W walce ze smokiem nie można kierować się samą tylko odwagą i uczciwością. Pomimo wszystko czarownik obawiał się, że kiedy już dotrze do szczytu, tak teraz bliskiego, zastanie tam smoka uśmiechającego sie doń z góry.
Na dole, w niewielkim rozlewisku, pozostałym u stóp skały po odpływie zostawił sztuczne płuca, dzięki którym podpłynął tu niezauważony przez Faroca, wiedzącego, że człowiek nie może przepłynąć całego dystansu pod wodą bez zaczerpnięcia tchu. Na pokładzie zostawił Mirandę, odzianą w swoją opończe, z ukrytymi pod kapturem włosami. Opuścił się do wody po niewidocznej ze skały burcie kadłuba i wypłynął na powierzchnie po niewidocznej ze statku stronie skalnej wysepki. Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem. Przeliczył się tylko w ocenie mocy smoczego płomienia. Gdyby był on chociaż odrobinę silniejszy, nie obyłoby się bez pomocy Mirandy i wszystko byłoby stracone. Powodzenie planu zależało od utwierdzenia smoka w przekonaniu, iż na pokładzie znajduje się tylko jeden
czarownik. Takie założenie było typowe dla charakteru smoka. Smoki toczą swe bitwy samotnie. Farocowi nie przyszłoby nawet na myśl, aby teraz, gdy walka już trwała, prosić o pomoc Triss nie pozwoliłaby mu na to jego buta. Na to liczył Alemar. Istniało jedynie niewielkie ryzyko, że w momencie przybycia ludzi Faroc i Triss będą razem.
Tym razem szybko udało mu się zmusić linę do owinięcia sie wokół skalnego występu. Wytarł pot z dłoni, wziął głęboki oddech i pokonał ostatni, dzielący go od szczytu odcinek ściany. Teraz musiał zachować bezwzględną cisze. Szczyt skały był stosunkowo płaski i miał średnice równą kilku długościom smoka. Alemar wysunął ostrożnie głowę ponad krawędź. Faroc, wpatrzony w statek, leżał nieruchomo po przeciwległej stronie małego płaskowyżu.
Alemar wpełzł na górę i cicho wyplątał się z uprzęży łączącej go z liną. Serce waliło mu jak młotem. Jest jeszcze szansa, jest jeszcze szansa. Uniósł łuk i napiąwszy go ocenił sytuacje. Będzie musiał podejść bliżej. Niezbyt przyjemna perspektywa. Czuł przytłaczający z tej odległości, mdły odór smoka. Gdyby Faroc usłyszał go teraz, mógłby zmieść go do morza jednym machnięciem swego straszliwego ogona.
Nie było czasu na rozpamiętywanie grozy sytuacji. Długimi susami, z szybkością, która pozwalała mu pozostać niezauważonym, przemierzył przestrzeń dzielącą go od środka płaskowyżu. Zatrzymał się. Wydobył z kołczana specjalnie na ten moment przygotowaną strzałę. Z grota sterczały ostre jak brzytwa zadziory, drzewce było idealnie proste, wytoczone specjalnie dla Alemara przez mistrza łuczniczego z Lealin. Wzdłuż drzewca ciągnęły sie precyzyjnie wyryte runy. Wyrzeźbienie każdego z nich trwało godziny. Ta właśnie strzała była najważniejszym rekwizytem w planie Alemara.
Pomimo ostrego grotu nigdy nie przebiłaby skory smoka. W tej chwili Farocowi, ukrytemu za swą osłoną, nie mogła wyrządzić najmniejszej krzywdy żadna zwykła broń. W locie, podczas ataku, smok mógł czasem zaniechać stosowania swych środków obrony, ponieważ ich utrzymanie wymagało znacznej koncentracji, ale tutaj, na skale, nic nie rozpraszało jego uwagi. Jej rozproszenie mogłoby doprowadzić do wykrycia przez Faroca obecności Alemara. Alemar spędził wiele dni na wykonywaniu i zaklinaniu strzał zdolnych do przeniknięcia przez osłonę Faroca. Jeśli był wystarczająco potężnym magiem, jeśli użył prawidłowych zaklęć, jeśli Faroc nie spostrzeże jego obecności i nie wzmocni swej osłony celem uchronienia określonego obszaru swego cielska, wtedy strzała powinna osiągnąć swój cel. Miał to być bezkompromisowy test potęgi magii Alemara. Wypuścił strzałę.
Faroc zaskrzeczał straszliwie. Odwrócił łeb i zatopił zęby w sterczącej z jego zadu strzale. Nie wbiła się głęboko, ale to wystarczyło. Błyszczące ślepia bestii poszukiwały napastnika, ale Alemar, skryty za głazem, nie zdradził swej obecności. Po chwili smokiem zaczęły wstrząsać drgawki.
- *Podstęp!* - wrzeszczał jego umysł falami telepatycznej wściekłości. Zgrzytały kamienie, uderzane raz po raz wijącym się spazmatycznie ogonem. Z paszczy potwora buchnął w niebo słup ognia.
- *Alemarze! Twoje imię jest przeklęte na wieki! Aż do ostatniego pokolenia! Strzeż się mego nasienia!*
Alemara ogarniało coraz większe oszołomienie. Jak przez mgłę widział smoka, balansującego w konwulsjach na krawędzi urwiska i spadającego ku śmiertelnemu zderzeniu z najeżoną głazami plażą. Dotarł doń ostatni wrzask umysłu zdychającego potwora:
- *TRIIIIISSSSSSSSSS!!!!!!*
Niezdolny do otrząśnięcia się z zawrotu głowy, jaki pozostawiła po sobie smocza mowa, Alemar wyciągnął się jak długi na kamienistym podłożu. Dzwonienie w uszach pozbawiło go satysfakcji usłyszenia łomotu roztrzaskującego się u podnóża skały Faroca. Zwymiotował.
- *Ból, ból, ból*- powtarzał jego umysł, odbierając strzępy ostatnich świadomych doznań Faroca, i ten ból wędrował coraz niżej - do karku, do pleców, do kolan. Przeciwstawiał mu się, musiał działać dalej. Nagle ogarnęło go przerażenie. On wzywał Triss.
Alemar nigdy nie słyszał, żeby smoki potrafiły wysyłać swe myśli na odległość wielu mil, o jakie była oddalona cześć wyspy należąca do Triss, ale obolały od okrutnych, przedśmiertnych myśli Faroca wiedział już, że taka możliwość istnieje i że właśnie została wykorzystana. Triss tu przybędzie.
Podźwignął się z wysiłkiem na nogi i powlókł się ostrożnie ku krawędzi urwiska. W kierunku statku rozchodziły się po wodzie ciemne, rozkołysane fale wywołane ostatnimi śmiertelnymi drgawkami Faroca. Osłona Mirandy zamortyzowała pierwszy impet uderzenia, ale marynarze, którzy powinni teraz wiwatować na cześć odniesionego zwycięstwa, leżeli rozciągnięci jak dłudzy na pokładach i byli tak samo oszołomieni jak Alemar. Nagle upadła również Miranda i osłona zniknęła. Statek zakołysał się niebezpiecznie, ale szybko odzyskał równowagę. Faroc już znieruchomiał. Fellit był trucizną skuteczną i szybko działającą. Oszołomienie Alemara powoli ustępowało. Musiał wracać na statek. Ruszył biegiem w kierunku liny. Na tle jasnej tarczy Macierzystego Świata przesunął się jakiś cień. Nic żywego nie mogło poruszać się z taką szybkością. Ale Triss mogła. Serce w piersiach Alemara przestało bić. Na nocnym niebie majaczyła coraz większa sylwetka smoczycy. Nie mogła tak szybko przebyć tak dużej odległości - musiała być już w drodze, gdy dotarło do niej przedśmiertne wołanie Faroca. Zwyczajny pech.



Smoczyca zatoczyła nad skałą szerokie koło, dostrzegając statek wraz z załogą, ciało Faroca ną skałach i Alemara na szczycie. Gdy ryknęła, z jej gardzieli buchnął płomień. Nawet z tej odległości było widać, że jest większa od Faroca. Wielkość jest u smoków związana z wiekiem, a im starszy smok, tym większa jest potęga jego magii. Alemar uświadomił sobie teraz, że na pierwszy cel ataku obrał niefortunnie słabszego z dwóch potworów. Po wykonaniu dwóch okrążeń podjęła decyzje. Spłynęła lotem nurkowym wprost na szczyt skały, sadzając swą ogromną, wyjącą, dymiącą masę przed Alemarem. Zniżyła łeb, żeby przyjrzeć mu się z bliska i Alemar cofnął się instynktownie.
- *Jestem Triss.*
Smocza mowa tak boleśnie targnęła jego mózgiem, że niemal stracił przytomność. Nie powiedziała więcej - implikacje, kryjące sie za tymi dwoma słowami, były bardziej niż wystarczającą formą przedstawienia się. Alemar przyjął wyzwanie z podniesionym czołem i odezwał się śmiało:
- Jestem Alemar, zabójca Faroca.
- *Doprawdy?*
Alemar stał jak sparaliżowany, gdy Triss zadziwiająco delikatnie ujęła go w swe szpony i uniosła sobie do ślepi.
- *Tak potężny, zgładzony przez tak małego. Jak tego dokonałeś?*
Alemar nie odpowiedział. Nie z uporu, ale ze strachu, który sparaliżował mu struny głosowe.
- *Czuję w tobie magię.* - Triss rozpostarła skrzydła i lekko postawiła Alemara na ziemi. - *Ale najpierw zajmę się płotkami.* Kiedy go puściła, osunął się na kolana, a potem, pod naporem wichru wznieconego przez jej skrzydła, na brzuch. Oszołomiony, krwawiąc z rozciętej szczeki, podniósł się akurat, aby ujrzeć nurkującą na statek Triss. Na widok wiązki purpurowego płomienia uderzającego w śródokręcie poczuł skurcz w gardle. Statek eksplodował, rozrywając się na płonące kawałki. W kilka chwil pochłonęło je morze.
Triss zatoczyła szeroki łuk i powróciła, aby zawisnąć tuż nad powierzchnią oceanu. Bluznęła szerokim strumieniem ognia, który pokrywając wielką połać oceanu przekształcił obszar wokół miejsca, w którym jeszcze niedawno znajdował się statek w istne piekło, grożące natychmiastową śmiercią każdemu wynurzającemu się człowiekowi. Morze zaczęło parować. Smoczyca przypalała powierzchnie, dopóki starczyło jej płomienia, a trwało to wiele minut.
Przez pierwszą minutę Alemar był w szoku. W następnej przyszedł trochę do siebie i zdał sobie sprawę, że nie może się poddać. Ujrzał przed sobą ostatnią, desperacką szanse. Szybko ściągnął z pleców kołczan i położył go na kamieniu obok miejsca, w którym wspiął się na szczyt. Wyjął zeń dwie strzały, obie opisane runami. W sumie wykonał ich pięć. Jedna tkwiła już w cielsku Faroca, dwie zostały na statku. Mógł sobie wyrzucać, że zrobił ich tak mało, ale nie spodziewał się przecież, że odda więcej niż po jednym strzale do każdego smoka. Do jednej ze strzał przywiązał koniec liny i przerzucił ją przez krawędź. Spadła na płyciznę u podnóża skały. Drugą założył na cięciwę łuku i zabrawszy jeszcze kilka zwykłych strzał, wielkimi susami wrócił na miejsce, gdzie jeszcze niedawno czaił się Faroc. Tam postanowił zaczekać na Triss.
Dokończywszy swego przerażającego dzieła zanurkowała, aby wyłowić z morza jeden z trupów. Trzymając go w szponach poszybowała ku szczytowi skały. Gdy się zbliżyła, Alemar wypuścił w jej kierunku magiczną strzałę. Tak jak się spodziewał, smoczyca wzmocniła swoją osłonę i jego drogocenny pocisk rozłupał się na niej w drzazgi. Nałożył na cięciwę jedną z pozostałych strzał, zamoczoną jedynie w smoczym jadzie i wziął smoczyce na cel. Zanim zdążył ją wypuścić, Triss była już przy nim i jednym machnięciem skrzydeł obaliła go na ziemie. Padając, wypuścił z dłoni łuk, który poszybował w powietrzu i zniknął poza krawędzią urwiska.
Smoczyca wylądowała z gracją na trzech łapach, trzymając w czwartej trupa. Był to Darel. Na oczach Alemara zaczęła go rozdzierać na strzępy wielkości dłoni, które następnie powoli przeżuwała. Mężczyzna widział już wiele w swym życiu, ale ten widok był najstraszniejszy. Zamknął oczy, aby tylko słyszeć ohydny trzask pękających kości i czuć zbryzgującą go krew. Kiedy uniósł powieki, zobaczył jeszcze twarz Darela, trupio bladą w poświacie Macierzystego Świata, znikającą w gardzieli Triss.
- *Nie zemścił się na smokach* - pomyślał Alemar.
Triss skończyła przekąskę i z czymś, co musiało być smoczym uśmiechem oznajmiła:
- *No - teraz zaczniemy.*
Zerwał się z ziemi i usiłował się cofnąć, ale była to próba beznadziejna. Triss z niezmąconym spokojem pochwyciła go w swe szpony, ale tym razem nie uniosła go w górę. W ubranie Alemara zaczęła wsiąkać posoka, która pozostała po posiłku na pazurach Triss, ale najgorszy był ten zupełnie delikatny chwyt, jaki zastosowała.
Mógł tylko drżeć, a wiec drżał.
Zrazu wydawało się, że Triss nic nie robi i Alemar pomyślał sobie, iż smoczyca zwleka celowo, aby dłużej znosił jej radość. Ale po chwili zaczął sobie stopniowo zdawać sprawę, że już zaczęła - zauważył u siebie senność, która, jak wiedział, była fałszywa. Czuł postępujące powoli przytępienie wszystkich zmysłów.
Uwaga falowała jak we śnie i z trudem skupiał się dłużej na jakiejkolwiek myśli. Jedyną stałą była wgryzająca się weń, ale pozostająca w cieniu obecność kogoś drugiego. Co myślał Alemar, myślał i tamten, co czuł, czuł też tamten. 1 w końcu ten Drugi przejął nad nim całkowitą kontrole, wiodąc jego umysł tam, gdzie sobie zażyczył...
„Krew spływająca z czoła małego Alemara niemal go oślepiała, ale uszy były w dobrym stanie i słyszały to, czego słuchały już wiele razy: śmiech. Pomimo bólu dygotał cały z wściekłości pięciolatka. Zerknął spode łba mniej bolącym okiem - był tam tyran Occar i inni chłopcy. Rzucali w niego, pogardzanego cudzoziemca, kamieniami. Śmiali się i bez przerwy wykrzykiwali to przezwisko: Malutki, Malutki, Malutki... Najgłośniej wrzeszczał Occar. Pewnego dnia, powiedziało małe serce Alemara, odpłacę wam za to”.
Ten Drugi zainteresował się. Nie samym incydentem, ale emocjonalną reakcją chłopca: „Odpłacę im”. Ten Drugi to pochwalił. Pojawiły się kolejne wspomnienia...
„Wyglądała w ciemnościach jak jedzą, była smukłą blondynką i miała jedenaście lat, ale w oczach ośmioletniego Alemara uchodziła za dorosłą.
- Pokaże ci jedną sztuczkę - powiedziała figlarnie. Wyjęła z kieszeni zaciśniętą pięść i powoli rozwarła palce. Na dłoni spoczywał kamień, zupełnie zwyczajny, gdyby nie to, że jarzył się, oświetlając jasnym światłem rozwarte w zachwycie usta Alemara.
- *Co to jest?* - spytał.
- *Czary. Mogę cie tego nauczyć”.*
I następne, nie proszone przez niego wspomnienia, wydarte z ich miejsca spoczynku. Żadnego rozróżnienia miedzy tymi, które były nienaruszalne, a tymi, którymi chętnie by się podzielił. Triss pozna je wszystkie bez pytania o zezwolenie. Szła ich tropem przeskakując od wczesnej młodości do wieku dojrzałego i z powrotem, kierując się niezgłębioną smoczą logiką. Niektóre powtarzały się - tylko z tego faktu Alemar wywnioskował, że jego opór na nic się nie zda.
„Ojciec, człowiek myślący zawsze kategoriami społecznymi, był zły. Jego syn nigdy nie będzie zdolny do zmieszania się z tłumem, jak chciał tego stary, aby zatrzeć tło ich obcego pochodzenia. Mieszkali teraz w Serthe, w samym sercu wielkiego Imperium Calinin, a jej mieszkańcy nie darzyli zbytnią sympatią nikogo zNaith. Brutalnie uderzył syna w twarz, mówiąc:
- *Niech cie diabli porwą! Nic z ciebie nie będzie!*
I trzynastoletni Alemar, który słyszał te słowa z tego samego źródła tyle już razy, że potem nie mógł sobie przypomnieć rzeczywistej przyczyny incydentu, uczynił wtedy cos, co na zasadzie kontrastu odcisnęło się na zawsze w jego pamięci: uniósł wyprostowany palec wskazujący, wypowiedział jedno słowo i sparzył ojcu nos. Mężczyzna, wrzeszcząc z bólu, złapał się za twarz i runął plecami na meble. Przez jedną, przerażającą chwile Alemar stal nieruchomo, ledwie sobie uświadamiając, że oto odkrył sposób posługiwania się swą mocą do karcenia człowieka, którego zawsze się bał. Była to lekcja, której nigdy nie zapomniał. Potem uciekł”.

Niepohamowany śmiech smoka to wznosił się, to opadał... *„Kiedy Alemar wślizgiwał się do mrocznej izby, stary Lorathura bawił się swoją ulubioną zabawką - kryształową kulą, która mogła mu pokazać, co dzieje się w odległych krainach. Lorathura podniósł wzrok, ale się nie zaniepokoił. Alemar był jego uczniem, pilnie i sumiennie zgłębiającym od czterdziestu lat tajniki sztuki, która uczyniła Lorathure jednym z największych magów stulecia, lorathura darzył Alemara tak bezgranicznym zaufaniem, że wtajemniczał jego i jego siostrę w swoje sekrety, które przyniosły mu przydomek Starego i młodszy czarownik był chętnie widziany/n gościem w tajemnym sanktuarium Lorathury. Uśmiechając się i pozdrawiając swego mistrza, Alemar zbliżył sie doń i ukradkiem wydobył zza pazuchy drewniany nóż - broń tak zwyczajną, że niewielu tylko czarowników zawracało sobie głowę magicznym przeciwko niej zabezpieczeniem - i ugodził Lorathure w serce.*

Zaskoczony starzec jęknął i spoglądając na sterczącą z jego piersi rękojeść wykrztusił: „Ty sukinsynu”. Potem wyzionął ducha, a kryształowe bawidełko wraz z innymi skarbami i księgami wiedzy tajemnej należało do Alemara”.
Triss zrozumiała teraz skąd ta ludzka istota zdobyła tyle mocy czarnoksięskiej, aby pokonać Faroca - rozciągnęła lata swego życia, a tego nie podejrzewałby nawet smok. Oczarowała ją poezja tego podstępu. Sięgnęła głębiej...
„Idąc wzdłuż marmurowych kolumn, otaczających sale rady Lealin, stolicy Moin, Alemar powtarzał Mirandzie:
- To nie wystarczy.
Skinęła głową, w zasadzie się z nim zgadzając. Miała jednak pytania.
- I tak zajmujesz już wysokie stanowisko w radzie. Za kilka lat Moin będzie twoje.
- Moin to mały kraj, oblegany z trzech stron. Nie jest warte zachodu. Ja chce imperium, siostro, imperium, które rywalizowałoby z potęgą królestwa Calinin.
- Czemu nie zaczniesz tutaj? - spytała.
- To nie jest kraj dla mnie - mruknął - / sądzę, że znajdę lepsze miejsce.
Miranda zdradziła swą ciekawość lekkim uśmieszkiem.
- Żeby zbudować imperium, trzeba miecza sobą tłumy zwolenników. Jak zamierzasz ich sobie pozyskać?

- *Cóż może bardziej podziałać na wyobraźnię ludzką - powiedział cicho - niż zabicie dwóch smoków?"*



Polk znalazł oparcie dla stóp na wypolerowanym głazie i z pomocą Collera wgramolił się na brzeg u podnóża skały. Stojący tam już Rand i Miranda ożywili się, widząc łuk ściskany przez Polka w reku.
- A wiec znalazłeś! - powiedziała uśmiechając się Miranda.
Znużonym ruchem ściągnął z twarzy maskę i wrzucił ją do rozlewiska, w którym pływały już maski pozostałych. Tak samo jak pozostała trójka był pokiereszowany i czerwony od oparzeń. Z całej załogi statku ocaleli tylko oni. Spojrzał w oczy Mirandzie. W bieliźnie wydała mu się mała i zagubiona - wyskakując za burtę zrzuciła z siebie opończe Alemara, żeby nie przeszkadzała jej w pływaniu. Była uosobieniem bezbronnej kobiety i Polk wiedział, że tylko dlatego nie załamał sie, kiedy kilka godzin temu, na wpół utopieni, wygramolili się na te skały. Zginęło dwunastu ludzi... Wręczył jej łuk.
- Wydaje mi się, że to broń Alemara. Wszystkie inne musiały spłonąć wraz ze statkiem.
Biorąc od niego łuk zmarszczyła brwi.
- Gdzie go znalazłeś? - zerknęła lękliwie w górę.
- Wśród szczątków, jakie zebrały się u stóp skały. Przy...smoku. Polk zdawał sobie sprawę, że pozostali widzą ogarniającą go fale mdłości. Miranda dostrzegła wyraz jego twarzy.
- No i?
- I widziałem ciało Yonniego...
Zagryzła wargi, potem pochyliła się lekko w przód. Gdy składała na jego policzku delikatny pocałunek, nie mógł już powstrzymać szlochu. Opuścił głowę, zawstydzony okazaniem przed innymi swej słabości, ale kiedy znowu podniósł wzrok, nikt się nie śmiał.
- On... - wykrztusił ze ściśniętym gardłem.
- Znalazł wreszcie spokój - dokończyła za niego Miranda. Schyliła się i podniosła zwój liny leżący dotąd u jej stóp. Trzymała za strzałę przywiązaną do jej końca. Znaleźli ją w pobliskim rozlewisku. Popatrzyła na Collera, na Randa, potem na Polka.
- Wchodzimy. Mamy dług do spłacenia.



Gdy Alemar otworzył oczy, ból w jego głowie był nie do zniesienia. Nadal znajdował się w uścisku Triss. Świt odbarwiał już horyzont. Triss nie poruszała się. Kontakt umysłów uległ przerwaniu, ale jemu pozostało niepokojące poczucie dwoistości. Trudno mu było stwierdzić, które myśli są jego własnymi, a które myślami smoczycy. Wiedział, że jeszcze nie skończyła. Wciąż szukała w jego umyśle miejsca, które podda się jej na zawsze.
Zadarłszy głowę patrzył na tego potwora, który stał się teraz jego najbliższym powiernikiem i drżał. Do jego mózgu przeniknęły też strzępy jej świadomości i zrozumiał, że w ślepiach, którymi mu się przyglądała nie ma już nienawiści, lecz coś na kształt... rozpoznania.
- *Powinieneś być smokiem* - odezwała się.



Na wspinaczce upłynął im cały poranek. Ze szczytu skały nie dochodził żaden dźwięk, tak, że zastanawiali się nawet, czy smok w ogóle jeszcze tam jest. Były to najdłuższe godziny w życiu Polka. Ściana była stroma i zdradliwa. Gdyby nie zaklinana przez Mirandę lina, wspinaczka trwałaby dwa razy dłużej, o ile w ogóle byłaby możliwa. Odpoczywali często, popijając oszczędnie świeżą wodę z jedynej flaszki. Polk pierwszy przelazł przez krawędź.
Cielsko smoczycy majaczyło po przeciwległej stronie płaskowyżu. Trzymała w szponach Alemara. Wstrząsające nim od czasu do czasu dreszcze świadczyły, że jeszcze żyje. Stanęli ostrożnie na skalnej płaszczyźnie świadomi, że są widoczni, nie przejawiając ochoty do zbliżenia się do zwalistego cielska. Podczas gdy mężczyźni wymieniali nerwowe spojrzenia, Miranda wpatrywała się w smoczyce, a zmarszczenie brwi świadczyło o jej koncentracji.
- Ona wchodzi w jego umysł - szeptała po chwili do ucha Polka.
Polk wyczuł w jej głosie rozpacz.
- Co zrobimy? Jeśli ją zabijemy, zmiażdży go w swym uścisku.
- Gorzej - odparła. - Jeśli zabijemy ją, gdy ich umysły są jednym... - nie dokończyła.
- Cóż wiec robić?
- Zastrzel ją. Jeśli tego nie zrobimy, dokończy swego dzieła wręczyła Półkowi strzałę i łuk. - Postaraj się strzelić celnie.
- Ale...
- Nie ma wyboru.
Popchnęła go lekko. Poszedł. Jeden krok, drugi. Gdy stawiał trzeci, kolana leuwo utrzymywały ciężar jego ciała. Zawahał się. Krótki oddech, suchość w ustach. Mógłby strzelać stąd. Głupio byłoby chybić z tej odległości, pomyślał. I nagle postąpił kilka dużych kroków do przodu i znalazł się na długość ciała od Triss. Wiedział, że stojąca za nim Miranda, jeśli tylko waży się zakłócić panującą cisze, krzyknie zaraz, żeby wracał. Ale ani lepsza, ani gorsza okazja już się nie nadarzy. Nałożył strzałę na cięciwę, napiął łuk i wycelował w serce smoczycy. Wypuścił strzałę. Nie natrafiając na żadną przeszkodę pomknęła do swego celu i utkwiła w nim aż po bełt. Polk, spodziewając sie gwałtownej reakcji, odskoczył do tyłu i ukrył się za tym samym głazem, który służył za osłonę Alemarowi. Słyszał stąd ciężkie oddechy towarzyszy.
Ale jedyną oznaką tego, że Triss poczuła wnikającą w jej cielsko strzałę, było trzepotanie wielowarstwowych błon jej cielska. Przez kilka pełnych napięcia chwil pozostawała w bezruchu, potem, ku zdziwieniu wszystkich obserwatorów podniosła Alemara do pyska, pocałowała go i puściła. Alemar, jak szmaciana kukła, spadł z głuchym łoskotem na kamienie, a Triss po prostu zamknęła ślepia i zwiotczała tam, gdzie leżała. Z jej nozdrzy wyrwał się głośny podmuch ostatniego tchnienia. Zebrawszy się na odwagę Polk opuścił swą kryjówkę. Po cielsku Triss przebiegały malutkie zmarszczki dreszczy. Niepokoiły Polka, ale zdołał wreszcie odciągnąć bezwładne ciało Alemara od smoczycy.
Czarownik był blady i miał wygląd o dziesięciolecia starszego niż poprzedniego dnia. Z ledwością można w nim było rozpoznać człowieka, który niedawno nakłonił Polka do tej wielomilowej morskiej wyprawy, wpędzając go niemal w objęcia śmierci. Alemar nie reagował na szturchańce Polka, ale jego pierś unosiła sie i opadała regularnie. Podbiegła do nich Miranda.
- Żyje - oznajmił Pok.
Podczas gdy siostra udzielała bratu pierwszej pomocy, Polk i pozostali dwaj mężczyźni wpatrywali się ze zgrozą w ścierwo smoka, wciąż nie mogąc pojąc, co widzą.
- Co z nim zrobisz? - spytał Rand ocierając pot z twarzy.
Polk nie wiedział. Niemal całą następną godzinę spędził patrząc tępo na morze, na szczątki statku tłukące o ścierwo Faroca i na Mirandę, która pogrążona w zadumie siedziała nieruchomo, ułożywszy sobie głowę brata na kolanach.
- Pani...?
- Tak - odparła ledwo dosłyszalnie.
- Co teraz? Jak się stąd wydostaniemy? Nie podnosząc wzroku powiedziała:
- Widzisz te wyspę na horyzoncie? Stare mapy mówią, że to jedna z największych Wysp. Tam znajdziemy żywność i wodę.



Nie opuściła go. Starając się wstać przy pomocy Mirandy Alemar usiłował jednocześnie wyrzucić Ją ze swego umysłu. Ale Ona trzymała się kurczowo, pozostawiając go z podwójną percepcją otaczających go ludzi, szczytu skały i woni morskiego powietrza. Zadawano mu jakieś pytania, ale nie pamiętał, czy kiedykolwiek słyszał jeżyk, w jakim były wypowiadane. Za trzecim razem zrozumiał.
-Alemarze! Co ona ci zrobiła?
Miranda. Tak, znał Mirandę. To siostra, przyjaciółka. Podtrzymywany pod obydwa ramiona podźwignął się na nogi i stał chwiejąc się z osłabienia.
- Co ona ci zrobiła? - powtórzyła Miranda.
Triss mogła go ze sobą zabrać. Czuł jak fellit rozpływa się po jej ciele, jak gdyby było to jego własne i wraz z nią przeżywał nieuchronne zbliżanie się śmierci. Zdecydowała się pozostawić go przy życiu. Przeczuwał intuicyjnie, że od tej chwili stanie sie jej narzędziem.
Jej pazurem, jej kukłą. Nie pozbędzie się jej nigdy. Zataczając się i potykając o kamienie, Alemar ruszył przed siebie tam, gdzie spoczywała ogromna bryła trupa Triss i wpił się rękoma w jej ciało, aż paznokcie przebiły skórę potwora. Zwisł u jej ciała z rękoma nad głową i wisiał tak przez długie chwile, a pozostali obserwowali go w milczeniu. Wtem zachichotał, zrazu powoli, potem histerycznie. Polk, Coller i Rand odstąpili krok do tyłu, a Miranda wzdrygnęła się.
W końcu Alemar wstał i podszedł do krawędzi urwiska. Patrzył na północ, na wyspę, na zbawczy ląd.
- Zabrała mnie w przeszłość i pokazała mi przyszłość. Zacznę tam i zanim skonam, stworzę imperium, jakiego nie widziało jeszcze Tangaran. Nazwę je... Elandris.
Zwrócił się znowu twarzą do smoka.
- A moje królestwo i moja dynastia trwać będą, chociaż imiona Faroca i Triss dawno już pokryje mgła zapomnienia - krzyknął. Rzucił dziwne, zalęknione spojrzenie ku wschodowi, na otwarty ocean. - Ile byś swego pomiotu nie wysłał przeciwko mnie. Imperium może zbudować tylko człowiek czynu. Takiego samego człowieka wymagać też będą dorastające smoki, aby kiedy nadejdzie czas, sprawdzać na nim swe możliwości.
Stał przy smoku do zachodu słońca. Kiedy zapadł zmrok, zostawił Triss i dołączył do grupki towarzyszy. Teraz wyglądał już prawie normalnie i tylko dzikość i władczość jego oczu zdradzały, że siedzi w nim coś niezupełnie ludzkiego.
- Wyruszamy o świcie - oznajmił.

Przełożył **Jacek Manicki**

Roger Zelazny

Jerzy i smok

(The George Business)





Dart spał głęboko w swej jamie, owinąwszy długie, zielono-złote ciało wokół niewielkiego stadka owiec. W niespokojnym śnie widział ciąg identycznych, uzbrojonych napastników. Ponieważ sny smoków zawsze się sprawdzają, obudził się i wstrząsnął. Chrząknął tak, że zrobiło się dostatecznie jasno, by mógł sprawdzić stan swoich skarbów. Przeciągnął się, ziewnął i podreptał korytarzem, by ocenić siłę przeciwnika. Gdyby było ich zbyt wielu, postanowił, że po prostu ucieknie. Do diabła ze stadem, to już nie pierwszy raz.
Wyjrzawszy z jaskini dostrzegł wyłaniającego się zza zakrętu jednego rycerza w źle dopasowanej zbroi, na grzbiecie szarego, zmęczonego konia. Rycerz nawet nie pochylił kopii - nadal była skierowana w niebo.
Upewniwszy się, że człowiek jest sam, Dart ryknął i wyskoczył na drogę.
- Stój - krzyknął gromkim głosem - ty, którego koniec jest bliski.
Rycerz ukłonił się.
- Właśnie ciebie szukam - powiedział. - Nie mam...
- Dlaczego chcesz zacząć wszystko od początku? - zapytał Dart. Czy wiesz ile czasu minęło od kiedy rycerz i smok ostami raz stoczyli bitwę?
- Tak, wiem. Sporo. Ale ja...
- Niemalże w każdym przypadku kończyło się to fatalnie dla jednej ze stron. Zwykle dla tej, którą ty reprezentujesz.
- Jakbym tego nie wiedział. Posłuchaj, źle mnie zrozumiałeś...
- Śnił mi się smoczy sen o młodym człowieku o imieniu Jerzy, z którym musiałem stoczyć walkę. Jesteś do niego niezwykle podobny.
- Zaraz to wyjaśnię. Sprawa nie jest aż tak poważna. Rozumiesz...
- Czy masz na imię Jerzy?
- Tak. Ale nie przejmuj się...
- Właśnie, że się przejmuje. Dlaczego chcesz mi odebrać moje nędzne stadko? Pieniądze, które byś za nie dostał nie starczyłyby ci nawet na miesiąc picia. Nie warto ryzykować.
- Nie chodzi mi o twoje owce.
- Od wieków nie porwałem żadnej dziewicy. Zwykle są stare i twarde, nie mówiąc już o tym, jak trudno je znaleźć.
- Nikt cie nie posądza...
- A co do krów, to zawsze latam po nie daleko. Zmieniłem swoje zwyczaje, można powiedzieć, by nie wyrobić sobie złej opinii na własnym terenie.
- Ja wiem, że tutaj nikomu nie szkodzisz. Zebrałem dokładne informacje.
- I myślisz, że ta zbroja coś ci pomoże, kiedy zionę na ciebie moim najmocniejszym, najgorętszym ogniem?
- O rany, nie! Nie rób tego, dobrze? Jeśli...
- A twoja kopia... Nawet nie trzymasz jej tak, jak trzeba. Jerzy pochylił lance.
- Masz racje - powiedział - ale tak się składa, że na jej grocie jest najsilniejsza trucizna znana Hermanowi Aptekarzowi.
- O la la! To nie po sportowemu!
- Wiem. Ale jeśli mnie spalisz, przysięgam, że zdążę cie zranić zanim wyzionę ducha.
- To bez sensu, żebyśmy tak ginęli obydwaj, prawda? - zauważył Dart, odsuwając się na bezpieczną odległość. - Nikomu nie przyniosłoby to żadnej korzyści.
- Zupełnie się z tobą zgadzam.
- To dlaczego mamy walczyć?
- Nie mam najmniejszego zamiaru z tobą walczyć!
- Obawiam się, że nic z tego nie rozumiem. Powiedziałeś, że masz na imię Jerzy i ten mój sen...
- Zaraz wszystko wyjaśnię.
- Ale zatruta kopia...
- To tak na wszelki wypadek, żeby cie powstrzymać zanim nie przedstawię ci mojej propozycji.
Dart lekko zmrużył oczy.
- Jakiej propozycji?
- Chce cie wynająć.
- Wynająć mnie? A po co? I ile zapłacisz?
- Pozwolisz, że na chwile odłożę kopie? Bez żadnych sztuczek?
- Dobra. Złoto to gwarancja bezpieczeństwa.
Jerzy oparł kopie i wyciągnął zza pasa sakiewkę. Włożył do niej reke i wydobył garść lśniących monet. Potrząsnął nimi lekko, tak że zadzwoniły i zabłysły w świetle poranka.
- Słucham cie uważnie. Masz tam sporą sumkę.
- Oszczędności mojego życia. Wszystko będzie twoje w zamian za pewną przysługę.
- Jaką?
Jerzy schował monety do sakiewki i wskazał ręką.
- Widzisz tam w oddali zamek, za dwoma wzgórzami?
- Wiele razy nad nim przelatywałem.
- W zachodniej wieży znajdują się komnaty Rozalindy, córki barona Maurycego. Jest ona bardzo droga jego sercu, a ja chce ją poślubić.
- I masz z tym kłopoty?
- Tak. Nie jestem w jej typie... Podobają jej się potężni i muskularni. Krótko mówiąc, nie chce mnie.
- To faktycznie kłopot.
- Wiec ja ci zapłacę, a ty wedrzesz się tam, porwiesz ją i uprowadzisz w jakieś ustronne, odpowiednie miejsce. Tam zaczekasz, aż ja przybędę i stoczę z tobą walkę na niby. Pokonam cie, ty odlecisz, a ja zabiorę ją do domu. Pewny jestem, że wtedy wydam jej sie dostatecznie bohaterski, żeby z szóstej awansować na pierwszą pozycje na liście jej konkurentów. Co o tym myślisz? Dart westchnął, wypuszczając długą smugę dymu.
- Człowieku, nie darze twego rodzaju sympatią - szczególnie odmiany w zbroi i z kopiami - wiec właściwie nie wiem czemu ci to mówię- Chociaż, prawdę mówiąc, wiem... Ale to nieważne. Mógłbym to dla ciebie zrobić. Ale czy zastanowiłeś się co potem, gdy już zdobędziesz reke owej dziewczyny? Wrażenie, jakie na niej zrobi twój czyn minie po pewnym czasie, a powtórki nie będzie. Już po roku, jak mi się wydaje, zobaczysz ją spacerującą w towarzystwie jednego z tych dobrze zbudowanych typów, którzy jej się tak podobają. Wtedy będziesz zmuszony albo wyzwać go do walki i zginąć, albo nosić rogi.
Jerzy roześmiał się.
- Nic mnie nie obchodzi co ona robi w wolnym czasie. Ja sam mam przyjaciółkę w mieście.
Dart otworzył szeroko oczy.
- Obawiam się, że nie rozumiem...
- Ona jest jedynym dzieckiem starego barona, któremu już niewiele życia pozostało. A jak sądzisz, dlaczego tak nieurodziwa dziewczyna ma sześciu konkurentów? I czy w innej sytuacji gotów byłbym oddać wszystkie swoje oszczędności, by pozyskać jej rękę?
- Rozumiem - powiedział Dart. - Tak, mogę zrozumieć chciwość.
- Ja to nazywam pragnieniem poczucia bezpieczeństwa.
- Słusznie. W takim razie cofam swoją naiwną rade. Dobrze, daj mi złoto, a ja zrobię co chcesz.
Dart rozciągnął jedno lśniące skrzydełko.
- Pierwsza dolina w tych górach na zachodzie jest dostatecznie daleko od mojego domu, nadaje się na miejsce naszego starcia.
- Połowę zapłacę ci teraz, a połowę przy odbiorze dziewczyny.
- Zgoda. Pamiętaj jednak, żebyś nie stracił głowy i upuścił pieniądze w czasie bójki. Wrócę po nie jak już odjedziecie. Oszukasz mnie - to powtórzę przedstawienie z innym zakończeniem.
- Zdaje sobie z tego sprawę. A teraz przećwiczmy nasze role, żeby to wyglądało autentycznie. Ruszę na ciebie z pochyloną kopią i będę celował w twój bok po przeciwnej stronie niż ona będzie stała. Ty podniesiesz skrzydło, złapiesz nim kopie i zaczniesz wrzeszczeć wniebogłosy. Ziej przy tym ogniem.
- Przed próbą chce zobaczyć jak czyścisz grot kopii.
- Oczywiście. Puszcze kopie, gdy już będziesz ją trzymał. Potem zsiądę z konia i rzucę się na ciebie z mieczem. Uderzę kilka razy na płask - też tak, żeby nie widziała. Wtedy ryknięsz znowu i odlecisz.
- A swoją drogą, czy miecz jest ostry?
- Piekielnie tępy. Należał do mego dziadka. Nikt go nie ostrzył od czasu, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem.
- I upuścisz forsę w czasie walki?
- Na pewno. No i jak ci się to podoba?
- Niezły plan. Pod skrzydło włożę sobie czerwone jagody. W odpowiedniej chwili je zgniotę.
- Świetny pomysł. Tak, zrób to. Teraz mała próba i ruszamy do dzieła.
- Tylko nie wal zbyt mocno...

Tego popołudnia Rozalinda, córka Maurycego, została porwana przez zielono-złotego smoka, który wpadł, rozwalając ścianę jej komnaty i uniósł ją w stronę zachodnich gór.
- Nie martw sie! - krzyknął do jej starego ojca, który stał na balkonie załamując ręce, przejeżdżający właśnie tamtędy przypadkiem ostatni z jej konkurentów. -Ja ją uwolnię!

I odjechał.
Przybywszy do doliny, gdzie pod skałą stała Rozalinda, strzeżona przez ziejącego ogniem złoto-zielonego potwora, Jerzy pochylił kopie.
- Uwolnij dziewczynę. Twój kres jest bliski! - krzyknął.
Dart ryknął, Jerzy ruszył na niego. Wypuścił kopie i smok padł na ziemie, plując ogniem. Coś czerwonego wypłynęło spod skrzydła syczącego stwora. Rozalinda szeroko otwartymi oczami patrzyła jak Jerzy zbliża się do smoka i zadaje mu kilka ciosów mieczem.
- ...a masz! - wrzeszczał.
Potwór wstał z trudem i uniósł się w powietrze. Zatoczył nad nimi koło i odleciał za górę.
- Och, Jerzy! - krzyknęła Rozalinda, rzucając mu się na szyje. Och, Jerzy!
Przytulił ją.
- A teraz odprowadzę cie do domu - powiedział.

Wieczorem Dart liczył swoje złoto, kiedy usłyszał tętent dwóch koni, zbliżających się do jego jamy. Pośpieszył korytarzem do otworu i wyjrzał.

W pięknej, jasnej zbroi jechał Jerzy na dumnym białym ogierze, prowadząc za uzdę drugiego konia, szarego. Nie miał jednak zadowolonej miny.
- Dobry wieczór - powiedział.
- Dobry wieczór. Co cie do mnie sprowadza tak szybko?
- Sprawy nie potoczyły się tak, jak sobie wyobrażałem.
- Wyglądasz imponująco. Powiedziałbym, że dość zamożnie.

- Och, zwróciły mi się koszty i nawet coś niecoś zarobiłem. Ale na tym koniec. Wyjeżdżam z miasta. Pomyślałem sobie, że wstąpię na chwile do ciebie i opowiem ci jakie było zakończenie. Prawdopodobnie udałoby nam się...
- Ale?
- Właśnie dziś rano, w zamkowej kaplicy, wzięła ślub z jednym z tych muskularnych nieokrzesańców. Akurat przygotowywali sie do podróży poślubnej, kiedy im przeszkodziłeś.
- Bardzo mi przykro.

- Cóż, taki los. Na domiar złego jej ojciec umarł na atak serca po twoim wystąpieniu. Mój uprzedni konkurent jest teraz nowym baronem. Dał mi w nagrodę konia, zbroje, pieniądze i kazał miejscowemu pisarzowi wypisać mi zaświadczenie, sławiące mnie jako pogromcę smoków. Potem dał mi do zrozumienia, że koń i sława mogą mnie daleko zaprowadzić. Nie podobał mu sie sposób, w jaki Rozalinda patrzyła na mnie - bohatera.

- To doprawdy okropne. Cóż, zrobiliśmy co mogliśmy.
- Tak. Wiec tylko wpadłem po drodze podziękować ci i powiedzieć jak się sprawy mają. To był dobry pomysł - gdyby nie było za późno.
- Nie mogłeś przewidzieć tak prędkich zaślubin. Wiesz, przez cały dzień myślałem o naszej walce. Bardzo dobrze nam poszło.
- O tak, bez wątpienia. Wspaniale.
- Myślałem... Czy nie miałbyś ochoty odzyskać swoich pieniędzy?
- Co masz na myśli?

- Hm... Kiedy przedtem radziłem ci, że możesz nie być szczęśliwy z tą damą, próbowałem ocenić sytuacje tak, jak to robią ludzie. Ale potem zrozumiałem twoje postępowanie. Prawdę mówiąc, myślisz w sposób właściwy smokom.
- Doprawdy?
- Tak. To zaskakujące. Otóż, biorąc pod uwagę, że twoje plany nie powiodły się tylko dlatego, że miałeś pecha, twój pomysł nadal ma poważne zalety.
- Obawiam się, że cie nie rozumiem.

- Jest pewna urocza dama mojego gatunku, której względy od dłuższego czasu staram się bezskutecznie pozyskać. Prawdę mówiąc, moja sytuacja niezwykle przypomina twoją.
- Ona ma duże stado, co?
- Olbrzymie.

- Stara?
- Wśród smoków kilka wieków w te czy w tamtą stronę nie stanowi większej różnicy. Ale ona również ma wielu wielbicieli i woli zuchwalców.
- Hm. Zaczynam rozumieć. Kiedyś dałeś mi pewną rade. Pozwolę sobie odwdzięczyć się tym samym. Są rzeczy ważniejsze od stad.
- Na przykład?
- Moje życie. Ona może sama rozprawić się ze mną, zanim zdążysz przybyć jej na ratunek.
- Nie, mała jest spokojna. A poza tym, to kwestia odpowiedniego zaplanowania. Usadowię się na pobliskim wzgórzu - pokaże ci gdzie - i dam ci znak, kiedy masz zacząć. Tym razem, oczywiście, ja musze zwyciężyć. Zrobimy tak...

Jerzy siedział na białym rumaku i spoglądał to na wejście do odległej jaskini, to na szczyt wzgórza po swojej lewej stronie. Po pewnym czasie zabłysła w powietrzu uskrzydlona sylwetka smoka. Upadł na wzgórze i po chwili uniósł jedno lśniące skrzydło.

Jerzy opuścił przyłbice, pochylił kopie i ruszył do przodu. Kiedy zbliżył się do jaskini, krzyknął.
- Wiem, że tam jesteś, Megtag! Przyjechałem zabić cie i zabrać twoje stado! Ty bezbożna bestio! Ty pożeraczko dzieci! Wybiła twoja ostatnia godzina!

Z jaskini wyłoniła się olbrzymia, połyskująca głowa o zimnych, zielonych oczach. Kilkunastometrowy płomień strzelił z wielkiej paszczy i osmalił skały. Jerzy zatrzymał się natychmiast. Potwór był dwa razy większy niż mówił Dart i wcale nie wyglądał na sędziwego. Jego łuski klekotały jak metalowe. Zaczął iść w kierunku Jerzego.

- Może przesadziłem... - zaczął Jerzy, kiedy usłyszał nad sobą łopot gigantycznych skrzydeł.
Kiedy potwór był już blisko, Jerzy poczuł, że coś chwyta go za ramiona. Został uniesiony do góry tak szybko, że wszystko na dole w oka mgnieniu skurczyło się do rozmiarów dziecinnych zabawek. Zobaczył, że jego nowy wierzchowiec umyka prędko drogą, którą przybyli.
- Co się, do diabła, stało? - wrzasnął.

- Nie zaglądałem tu od jakiegoś czasu - odparł Dart. - Nie wiedziałem, że jeden z nich wprowadził się do niej. Masz szczęście, że jestem taki szybki. To Pelladon. Ma paskudny charakter.

- Ładne rzeczy. Czy nie uważasz, że powinieneś był zbadać teren?
- Przepraszam. Myślałem, że bez zachęty będzie się zastanawiała przez dziesiątki lat. Och, co za stado! Szkoda, że go nie widziałeś.
- Leć za tym koniem. Chce go mieć z powrotem.

Siedzieli przed jaskinią Darta i popijali.
- Gdzie zdobyłeś całą beczułkę wina?
- Porwałem ją z barki na rzece. Robie to od czasu do czasu. Mam niezłe zapasy w piwnicy.

- Tak, tak. W każdym razie nic nie straciliśmy. Wypijmy za to.
- Racja, tylko tak sobie myślę. Wiesz, jesteś dobrym aktorem.
- Dziękuje. Ty też nie jesteś złym.

- Przypuśćmy - tylko przypuśćmy - że masz podróżować po świecie. Za każdym razem daleko stąd. Wybierasz wioski na kontynencie i na wyspach. Znajdujesz takie, gdzie ludzie są zamożni i gdzie brak miejscowych bohaterów...
- Tak?
- ...Pokazujesz zaświadczenie, że jesteś pogromcą smoków. Opowiadasz o swoich wyczynach. Potem wracasz z listą miast. I z mapami.
- Mów dalej.
- Wybierasz najlepsze miejsca do drobnych nieszkodliwych kradzieży i dobre miejsca do stoczenia walki...
- Nalać ci jeszcze?
- Proszę bardzo.
- Masz.
- Dziękuje. W odpowiednim momencie pojawiasz się i za skromną opłatą...

- Sześćdziesiąt procent dla mnie, czterdzieści dla ciebie.
- Tak właśnie myślałem. Tylko odwrotnie.
- Pięćdziesiąt pięć i czterdzieści pięć.
- No właśnie, wypijmy.
- Na zdrowie. Nie będziemy się targować.
- Teraz wiem dlaczego śniło mi się, że walczę z tyloma rycerzami, a każdy wyglądał tak jak ty. Zdobędziesz sławę, Jerzy.

Przełożyła **Anna Miklińska**

O autorze: patrz „Fantastyka" nr 5/83.

Anne Inez MCCAFFREY

JEŹDŹCY SMOKÓW

„Dragonrider”

przełożył **Marek Doskocz**

Anne Inez McCaffrey

urodziła się w roku 1926 w Cambridge (Massachusetts w Stanach Zjednoczonych). Ukończyła z wyróżnieniem studia językowe i literaturoznawcze. Przez wiele lat była librecistką: w USA i RFN (Dusseldorf) studiowała reżyserie operową, co zaowocowało później amerykańską premierą sztuki Carla Orffa - „Ludus de nato Infante mirificus” (1963) i wieloma innymi inscenizacjami w Delaware. W roku 1970 Annę McCaffrey opuściła Stany Zjednoczone i wyjechała na stałe do Irlandii.

Debiutowała w roku 1954 opowiadaniem „Freedom of Race” na łamach „Science Fiction Plus” Hugo Gernsbacka. Pierwszą powieść - „Restorce” napisała w roku 1967. Prawdziwym bestsellerem okazała się jednak książka „The White Dragon” opublikowana w roku 1968, wznawiana sześciokrotnie w ciągu... trzech miesięcy.

Później przyszły kolejne sukcesy „smoczej serii”: powieści „Dragonflight” (1968) – 8 wydań w USA, i „Dragonąuest” (1971) - 7 wydań. Ich tematyka pojawiła się również w utworach adresowanych do młodzieży: „Dragonsong” (1976), „Dragonsinger” (1977), „Dragondrum „ (1979)

Dziś Annę McCaffrey jest autorką 20 powieści i ponad trzydziestu opowiadań (m.in.: „Decision At Dona”, 1969; „The Ship who Sang”, 1970; które - podobnie jak „Dragonflight”- uzyskały nominacje do nagrody Hugo). Opowiadania „Weyr Search” („Analog”, 1967) i „Dragonrider” („Analog” 1968/1969) otrzymały w roku 1969 nagrodę Nebula, a w roku 1968 - Hugo Gernsbacka.

A. N.

Od redakcji

Tekst, który przedstawiamy, stanowi zwartą, przejrzystą całość. To zresztą oczywiste - jakże inaczej zasłużyłby sobie na Nebula Award. Jednocześnie jest on końcową częścią większego dzieła. Z tego względu wydało się celowe krótkie streszczenie poprzednich części, wprowadzające w fantastyczny świat zrodzony w wyobraźni autorki i ożywiony jej niewątpliwym talentem. Jeśli jednak czytelnik uzna za stosowne, może od razu zacząć lekturę od oryginalnego tekstu i wejść w cudownie kolorowy świat smoków i ich jeźdźców, stworzony przez Anne McCaffrey. Jednakże wielu wędrowców przed podróżą lubi zapoznać się z treścią przewodnika. Z myślą o nich dokonane zostało poniższe streszczenie: W świecie zwanym Pern, zamieszkujący go ludzie nie mają żadnych tradycji podróżowania, czy to po ziemi, czy w przestrzeni kosmicznej. Znana jest tam stara legenda, mówiąca o zagrożeniu, jakie tworzą Nici, które opadają na Pern w chwili, kiedy Gorąca Gwiazda zbliży się do planety. Wśród mieszkańców Pern żyje elitarna grupa ludzi jeżdżących na smokach. Szlachta i lud czują ogromny respekt przed smokami i ich jeźdźcami, choć nie są świadomi sił, jakimi oni dysponują. W majątku, zwanym Ruatha, młoda dziewczyna o imieniu Lessa przez połowę swego życia, wykorzystując wrodzone predyspozycje swego umysłu, ukrywała się przed ludźmi Faxa - krwiożerczego magnata, który w celu opanowania Ruathy wymordował całą jej rodzinę. Lessa zdołała również dzięki niewielkim, przemyślnym zabiegom zakłócić funkcjonowanie osady tak, by Fax nie uzyskał żadnych korzyści ze swego podboju.

Fax nie wiedział o jej istnieniu, natomiast F'lar - jeździec smoka, dokonujący inspekcji posiadłości Faxa w poszukiwaniu potencjalnej mieszkanki Weyr - grodu zamieszkałego przez jeźdźców i ich smoki - domyślił się, że ktoś w Ruatha posiada specyficzne predyspozycje, właściwe mieszkańcom Weyr.

Uświadomił to sobie zwłaszcza w chwili, gdy został uwikłany w pojedynek z Faxem. Po śmierci Faxa Lessa rościła sobie prawo do władania rodzinną osadą. Niestety, przed swą śmiercią Fax, doprowadzony do furii przez destrukcyjne zabiegi Lessy, zrzekł się praw do nie przynoszącego dochodów majątku na rzecz swojego nowo narodzonego syna. F'lar oświadczył Lessie, że prawo własności przyznane dziecku jest niepodważalne. Jednocześnie poinformował ją, że ona sama posiada Siłę, która pozwoliłaby jej zostać mieszkanką Weyr. Lessa zgodziła się udać się z Flarem do Weyr. W owym okresie Weyr utracił swój prestiż, głównie na skutek niekompetencji Jory, nieżyjącej już jego ostatniej władczyni. Wśród jaj, które zniosła królowa-smok Nermoth, znalazło się jedno jajo królewskie. Ponieważ owe jaja zapłodnione były przez Hatha, jego jeździec R'gul, jak nakazywała tradycja, został władcą Weyr.

Wykluta z królewskiego jaja niemowlę-królowa wybrała Lessę na swego jeźdźca, raniąc przy tym, na skutek niezdarnego jeszcze poruszania się, dwie inne kandydatki. W chwili, gdy oczy Lessy i małej królowej spotkały się, ich umysły połączyły się w radosnym porozumieniu. Lessa i złoty smok-królowa Ramoth pozostaną już sobie przeznaczone do końca życia.

Podczas gdy Ramoth dorastała, R'gul pozostawał władcą Weyr i uczył Lessę jej obowiązków. Tymczasem niewiele osad wysłało należną jeźdźcom dziesięcinę, a właściciele innych posiadłości zwali jeźdźców pasożytami, a legendarne Nici z Gorącej Gwiazdy - blagą. Za cichą namową Lessy dokonano napadów na stada bydła, będące własnością niezadowolonych właścicieli ziemskich. Wywołało to ich czynny bunt.

Zanim jednak wojska z osad wymaszerowały na Weyr, sytuacja zmieniła się radykalnie. Ramoth, która osiągnęła już wiek dwóch Obrotów, stała się w pełni dojrzała i większa nawet od spiżowego smoka Mnementha należącego do Flara. Odbyła z Mnementhem swój godowy lot. Silna więź między smokami i ich jeźdźcami sprawiła, że również F'lar i Lessa zwrócili się ku sobie z równie silną pasją. Po R'gulu nowym władcą Weyr został F'lar. Okazał się bystry i zdecydowany, bowiem natychmiast wysłał oddziały jeźdźców z zadaniem pojmania i zatrzymani! w charakterze zakładników żon zbuntowanych właścicieli posiadłości ziemskich. Zaatakowane osady okazały się praktycznie nie strzeżone, ponieważ zdążono już zapomnieć, że smoki posiadają niebywałą umiejętność latania „pomiędzy”, dzięki której potrafią niemal natychmiast przemieszczać się z jednego miejsca w inne.

Palec wskazuje
Oko krwistoczerwone,
Alarm dla Weyr
Nici będą spalone.

- Wciąż wątpisz R'gul? - zapytał F'lar nieco rozbawiony uporem starszego od siebie spiżowego jeźdźca.

R'gul, z zaciętością malującą się na twarzy, nie zareagował na szyderstwo władcy Weyr. Zacisnął jedynie mocniej zęby, jakby chciał zmiażdżyć nimi autorytet nowego przywódcy.

- Na niebie Pernu nie pojawiły się żadne Nici od ponad czterystu Obrotów. Nie ma już żadnych Nici odparł w końcu R'gul.

- Niewątpliwie należy się liczyć i z taką możliwością - zgodził się F'lar uprzejmie. W jego bursztynowych oczach nie widać było jednak najmniejszego choćby śladu tolerancji, a w zachowaniu żadnej oznaki kompromisu.

„Przypomina F'lona - swego ojca - pomyślał R'gul - aż nadto. Zawsze taki pewny siebie; zawsze odnoszący się z odrobiną pogardy do postępowania i rozumowania innych; arogancki - taki właśnie był; także impertynencki i podstępny jeśli chodzi o te młodą dziewczynę z Weyr. Przecież to on, R'gul, uczył Lesse tak, by stała się jedną z najwspanialszych kobiet w Weyr na przestrzeni wielu Obrotów. Nim zakończył nauczanie, ona już znała wszystkie Ballady Instruktażowe i Sagi.

I nagle to głupiutkie dziecko poszło za F'larem. Nie miała dość rozumu, by dostrzec zasługi starszego, bardziej doświadczonego mężczyzny. Niewątpliwie kierowała nią wdzięczność za to, że F'lar odnalazł ją i odkrył jej predyspozycje.

- Musisz chyba jednak przyznać - kontynuował F'lar - że kiedy słońce dotknie Skalnego Palca o brzasku, mamy do czynienia z zimowym przesileniem dnia z nocą?

- Każdy dureń wie do czego służy nam Skalny Palec - odburknął R'gul.

- Zatem dlaczego stary głupcze nie chcesz przyznać, że Skalne Oko zostało umieszczone na Gwiezdnym Kamieniu w ten sposób, by obejmowało Gorącą Gwiazdę na krótko przed dokonywanym przez nią Przejściem? - wykrzyknął przysłuchujący się sporowi Knet. Krew uderzyła R'gulowi do głowy. Poderwał się ze swego krzesła gotów zbesztać srodze młodzieńca za taką bezczelność.

- Knet! - głos F'lara wdarł się władczo - czy naprawdę tak bardzo lubisz wykonywać patrol Ingen, że chcesz się temu zadaniu poświecić jeszcze przez kilka tygodni?

Knet, któremu na policzki wystąpił rumieniec wywołany groźbą i upomnieniem, pośpiesznie usiadł na swym miejscu.

- Istnieją, jak wiesz R'gul, niezbite dowody na poparcie moich wniosków - F'lar z pozorną łagodnością prowadził swój wywód.

- „Palec wskazuje Oko krwistoczerwone Alarm dla Weyr Nici będą spalone".

- Nie przytaczaj tu wersów, których uczyłem cie, gdy byłeś jeszcze dzieckiem - wykrzyknął R'gul gwałtownie.

- Zatem ufaj swoim naukom - odciął się F'lar z niebezpiecznym błyskiem w swych bursztynowych oczach.

R'gul skurczył się na krześle, obezwładniony niespodziewaną ripostą.

- Nie możesz zaprzeczyć Rgul - kontynuował F'lar cichym głosem - że nie mniej niż pół godziny temu, o świcie, słonce balansowało u szczytu Skalnego Palca, a Gorąca Gwiazda była dokładnie obramowana przez Skalne Oko.

Jeźdźcy, tak spiżowi jak i brązowi, przytaknęli. Dało się jednocześnie wyczuć atmosferę niechęci do Rgula za jego nieustanne wysiłki mające na celu podważenie polityki, którą prowadził Flar jako nowy przywódca. Nawet stary Siei, niegdyś zaprzysiężony zwolennik R'gula, skłaniał się ku większości.

- Nie było żadnych Nici przez czterysta Obrotów. Nie istnieją żadne Nici - wymamrotał R'gul.

- Zatem, mój przyjacielu - odparł F'lar radośnie - wszystko to, czego uczyłeś jest fałszem. Smoki są, jak chcą wierzyć magnaci, pasożytami na gospodarce Pernu, anachronizmem. I my również! Daleki jestem od tego, by trzymać de siłą na tym miejscu wbrew nakazom twojego sumienia. Otrzymujesz wiec moje pozwolenie na opuszczenie Weyr i osiedlenie się gdziekolwiek sobie życzysz.

Ktoś parsknął śmiechem.

R'gul był zbyt oszołomiony ultimatum postawionym przez Flara, aby dostrzec ironie. Opuścić Weyr? Czy ten człowiek oszalał? A niby dokąd miałby stąd pójść? Weyr był i jest jego życiem. Jego wieź z tym miejscem kształtowała się przez całe pokolenia. Wszyscy jego przodkowie byli jeźdźcami. To prawda, że nie wszyscy byli spiżowi, ale i niemało z nich należało do tej grupy. W końcu on sam był władcą tego Weyr do chwili, gdy smok Flara - Mnementh odbył lot godowy z nową królową.

Jeźdźcy nigdy nie opuszczali swego Weyr. Owszem, zdarzało się to, gdy jeździec był na tyle nieostrożny, by utracie swego smoka. Tak było na przykład z Lytolem z majątku Ruatha. Jak jednak można porzucić Weyr razem ze smokiem?

Czegóż ten Flar od niego chciał? Czy fakt, że zajął jego miejsce przywódcy i władcy Weyr nie zaspokajał jego ambicji? Czyżby jeszcze zbyt mało satysfakcji dało mu chytre zmuszenie możnowładców Pernu do rozwiązania swojej armii, gdy ta gotowa już była do ataku na Weyr i jego jeźdźców? Czy Flar musi panować nad każdym jeźdźcem - jego ciałem i wolą? R'gul długo patrzył na niego z niedowierzaniem.

Nie wierze, że jesteśmy pasożytami - powiedział Flar, przerywając cisze miękkim, przekonywającym głosem - ani też anachronizmem. Długie przerwy miedzy atakami na Pern zdarzały się już w przeszłości. Gorąca Gwiazda nie zawsze przechodzi wystarczająco blisko Pernu, by rzucić swe Nici. To właśnie dlatego nasi pomysłowi przodkowie postanowili umieścić Skalne Oko i Skalny Palec w miejscu, gdzie znajdują się dzisiaj... wszystko po to, by zyskać pewność, kiedy dokona się Przejście. Jeszcze jedno - jego twarz przybrała wyraz głębokiego smutku - były takie czasy, kiedy cała niemal populacja smoków by wyginęła... a Pern razem z nią, z winy sceptyków takich jak ty - Flar uśmiechnął się i rozparł leniwie na swym krześle. -Ja nie chciałbym być uważany za sceptyka. A za kogo mamy uważać ciebie Rgul?

W Sali Obrad czuć było napięcie. R'gul usłyszał czyjś świszczący oddech i nagle uświadomił sobie, że oddech ten należy do niego. Spojrzał na twarz młodego przywódcy, na której malował się wyraz nieugiętości i zrozumiał, że groźba, z jaką się spotkał, nie jest rzucaniem słów na wiatr. Miał zatem do wyboru albo podporządkować się władzy Flara bez reszty, choć ustępstwo to raniło go boleśnie, albo opuścić Weyr.

Gdzież mógłby pójść, chyba do któregoś z innych Weyrów opuszczonych setki Obrotów temu. A czyż, w umyśle R'gula pojawiła się dzika myśl, nie wskazuje to na fakt, że Nici przestały im zagrażać? Pięć opuszczonych Weyrow? Oh I Na Jajo Farantha, zacznie postępować tak podstępnie jak Flar i poczeka, aż ponownie nadejdzie jego czas. Gdy cały Pern zwróci się przeciw temu aroganckiemu głupcowi, on Rgul - pojawicie, by ocalić cos z ruin.

jeździec przebywa wyłącznie w swoim Weyr - odparł R'gul z całą dumą na jaką go było stać. I akceptuje politykę panującego władcy Weyr? - ton głosu Flara przypominał bardziej rozkaz aniżeli pytanie.

R'gul, jakby chcąc ukryć przed sobą fakt krzywoprzysięstwa, szybko kiwnął głową. Flar przyglądał mu się uważnie, a R'gul zastanawiał się, czy człowiek ten potrafi czytać w jego myślach, tak jak to umiał czynić smok. Udało mu się jednak spokojnie wytrzymać baczne spojrzenie władcy. Przyjdzie i jego kolej. On, R'gul, poczeka.

Najwidoczniej akceptując kapitulacje R'gula, F'lar podniósł się z krzesła i wydając zwięzłe polecenia, zaczął przydzielać zadania patrolowe na dzień bieżący.

- Tbor, zajmiesz się obserwacją pogody. Zwróć również uwagę na transporty z dziesięciną. Czy masz już sprawozdania poranne?

- Pogoda jest dobra o świcie... w rejonie Telgar i Keroon... może tylko trochę zimno - odrzekł Tbor z kwaśną miną. - Transporty z dziesięciną poruszają się po dobrej, twardej nawierzchni i powinny tu wkrótce dotrzeć.

W oczach jego odbijało się oczekiwanie na biesiady, które odbędą się z chwilą otrzymania dziesięciny. Wystarczyło spojrzeć

na twarze mężczyzn zgromadzonych wokół stołu obrad, by zorientować się, że wszyscy czekali na ten moment z równą niecierpliwością.

F’lar podziękował za informacje skinieniem głowy.

- S’lan i D’nol, macie kontynuować Poszukiwanie odpowiednich chłopców. Powinni to być, w miarę możliwości, młodzieńcy, ale też nie przeoczcie nikogo utalentowanego. Naturalnie bardzo dobrze jest wystawić do Doboru chłopców wychowanych w zgodzie z tradycjami Weyr - F’lar uniósł kącik ust w przelotnym uśmiechu - ale jest ich za mało w Jaskiniach Niższych. My też jesteśmy opóźnieni w rozmnażaniu się. Tak czy owak, smoki osiągają swój pełny rozwój szybciej niż ich jeźdźcy. Musimy mieć więcej młodych mężczyzn, gdy Ramoth zacznie wysiadywanie jaj. Zbadajcie południowe posiadłości Ista, Nerat, Fort i Boli, gdzie dojrzewanie dokonuje się szybciej. Możecie dokonać inspekcji pod pozorem poszukiwania warzyw i przy okazji porozmawiacie z chłopcami. Zabierzcie ze sobą ogniak i wykonajcie kilka przelotów ziejąc ogniem nad tymi wzgórzami, które nie były przeszukiwane już pi zez całe lata. Smok ziejący ogniem robi wrażenie na młodych i wywołuje zazdrość.

F.lar celowo spojrzał na R’gula, żeby zobaczyć jak eks-władca Weyr zareaguje na to polecenie. W przeszłości R’gul był zdecydowanie przeciwny próbom poszukiwania nowych kandydatów na jeźdźców poza obszarem Weyr. Uzasadniając swoje stanowisko, R’gul twierdził dotychczas, że w Jaskiniach Niższych znajduje się aż osiemnastu młodzieńców, co prawda wśród nich kilku jeszcze bardzo młodych, ale nie dopuszczał myśli, że Ramoth mogłaby złożyć więcej niż dwanaście jaj, to jest tyle, ile zwykłe znosiła Nermoth.

Po wtóre, upierał się przy unikaniu jakichkolwiek przedsięwzięć, które mogłyby antagonizować możno władców.

R gul nie zaprotestował w żaden widoczny sposób i F’lar przeszedł do wydawania dalszych rozkazów.

- K’net, z powrotem do kopalni. Chcę, żebyś sprawdził rozmieszczenie brył ogniaka i oszacował zasoby złóż.

- R’gul, ćwicz z chłopcami zapamiętywanie punktów orientacyjnych. Muszą być pewni swej wiedzy. Jeśli będą nam służyć jako łącznicy i zaopatrzeniowcy może się zdarzyć, że będą musieli wykonywać zadania błyskawicznie. Wtedy nie będzie już czasu na-stawianie pytań.

- F’nor i Tsum Flar zwrócił się do brązowych jeźdźców jesteście dziś oddziałem porządkowym uśmiechnął się nieznacznie, dostrzegając ich rozczarowanie. Udacie się do ista Weyr z zadaniem oczyszczenia Jaskini Lęgowej i przygotowania odpowiedniego pomieszczenia dla jeźdźców i ich smoków w sile dwóch skrzydeł. Aha, Fnor pamiętaj, zęby nie przeoczyć żadnej z Kronik, które tam możecie znaleźć. Chce je wszystkie mice. Są warte, zachowania. To już wszystko, jeźdźcy. Udanych lotów!

Po tych słowach F’lar wstał i wyszedł z Sali Obrad, udając się wprost do legowiska królowej.

Ramoth jeszcze spała. Jej silnie błyszcząca skora była oznaką zdrowia.

Jej złocista barwa o lekko brązowym odcieniu wskazywała na ciąże. Kiedy Flar przechodził obok niej, czubek jej długiego ogona lekko drgnął.

„Wszystkie smoki ostatnio są jakieś niespokojne” - pomyślał F’lar. Kiedy jednak spytał Mnementha, czym to jest spowodowane, jego spiżowy smok nie umiał podać żadnego powodu.

Ot, budził się często ze snu i to wszystko. F’lar nie mógł mu zadać pytania sugerując odpowiedź, bowiem mijałoby się to z jego zamierzeniami. Musiał za wszelką cenę unikać myśli, że niepokój ten jest bliżej nieokreśloną, instynktowną reakcją.

F’lar nie zastał Lessy w sypialni; nie było jej również w łaźni. „Ta dziewczyna gotowa sobie zmyć całą skórę od tych częstych kąpieli” - pomyślał rozdrażniony. Naturalnie, kiedy mieszkała w Ruatha musiała w trosce o swe życie upodobnić się do nędznych i zaniedbanych mieszkańców osady, ale żeby kąpać sie aż dwa razy dziennie?

Zaczął się zastanawiać, czy Lessa nie robi tego na przekór jemu.

F’lar westchnął.

Czy ta dziewczyna nigdy nie zwróci się ku niemu z własnej woli? Czy nigdy nie obdarzy go szczerym uczuciem? Dotychczas okazywała więcej ciepła przyrodniemu bratu F’norowi i najmłodszemu spośród spiżowych jeźdźców - K’netowi, aniżeli jemu, z którym dzieliła łoże.

Zirytowany, gwałtownym szarpnięciem zasłonił kotarą wejście do izby.

Gdzież do licha podziała się właśnie dziś, kiedy po raz pierwszy od wielu tygodni zdołał wyprawić wszystkie skrzydła jeźdźców z Weyr po to, by nareszcie móc uczyć ją latania „pomiędzy”?

Ramoth wkrótce będzie za ciężka, by latać. Obiecał Lessie, że będzie ją uczył i zamierzał dotrzymać swej obietnicy.

Lessa od pewnego czasu zaczęła celowo nosić skórzany kostium do jazdy, czym stale przypominała F’larowi o niewywiązaniu się z danego przyrzeczenia. Na podstawie kilku uwag, które Lessa rzuciła, F’lar wiedział, że nie ma zamiaru zbyt długo czekać na jego pomoc. Nie mógł przecież dopuścić do tego, by rozpoczęła próbne loty na własną rękę.

F’lar ponownie przeszedł przez legowisko królowej i spojrzał w głąb korytarza wiodącego do Archiwum. Często można było zastać w nim Lesse zagłębioną w lekturę Kronik, spisanych przed laty na zbutwiałych obecnie płachtach skóry. Owe Kroniki to jeszcze jedna rzecz wymagająca pilnego przestudiowania. Fatalny stan, w jakim się znajdowały, nie sprzyjał dokładnemu poznawaniu historii. Co ciekawe - najstarsze egzemplarze zachowały się najlepiej i były czytelne. Z upływem czasu musiano postradać tajniki technik konserwacyjnych.

Oh, co za dziewczyna! Odgarnął dłonią niesforny kosmyk gęstych włosów gestem charakterystycznym dla chwil rozdrażnienia lub zmartwienia. Korytarz spowity był w mroku, a zatem nie było jej w Archiwum.

- Mnementh! - wykrzyknął stłumionym głosem, zwracając się do swego spiżowego smoka, wygrzewającego się w promieniach słońca na skalnym stopniu u wejścia do legowiska królowej - Co robi ta dziewczyna?

- Lessa - odparł Mnementh, akcentując kurtuazyjnie jej imię - rozmawia z Manorą... Jest ubrana do jazdy - dorzucił po krótkiej przerwie.

F’lar z sarkazmem w głosie podziękował spiżowemu smokowi i szybkim krokiem oddalił się korytarzem w kierunku wyjścia. Za ostatnim zakrętem niemal wpadł na Lesse.

- *Nie pytałeś mnie gdzie jest* - powiedział płaczliwie Mnementh w odpowiedzi na wściekłe spojrzenie F’lara.

Lessa zakołysała się wytrącona z równowagi nagłym spotkaniem. Spoglądając na F’lara wyzywająco, zacisnęła usta w grymasie niezadowolenia.

- Dlaczego nie dane mi było zobaczyć Gorącej Gwiazdy przez Skalne Oko? - zapytała rozdrażnionym głosem.

F’lar odrzucił z czoła kosmyk włosów. Jeszcze jedno utrapienie tego ranka!

- Zbyt wielu obserwujących. Nie było już miejsca na Szczycie - bąknął w odpowiedzi, z trudem panując nad swoimi nerwami. - Ale chyba już wierzysz?

- Tak bardzo chciałam to zobaczyć - warknęła i omijając go, ruszyła w kierunku legowiska. - Jako mieszkanka Weyr i Archiwistka powinnam była!

Chwycił ją za ramie i poczuł, że mięśnie jej ciała naprężają się. Zacisnął zęby. Nie mógł zapomnieć, że w chwili, kiedy Ramoth oderwała się od ziemi w godowym locie, Lessa też była dziewicą. Nie przyszło mu wtedy do głowy, by okiełznać swe podobne do smoczych emocje. Ich pierwsze zbliżenie było gwałtowne. Fakt, że był jej pierwszym mężczyzną, zaskoczył go zupełnie, albowiem wiedział, iż swe dziewczęce lata spędziła pracując ciężko wśród lubieżnych strażników i żołnierzy. Najwidoczniej nikt nie zadał sobie trudu, aby zajrzeć pod odrażające łachmany, których używała jako przebrania.

Od czasu ich pierwszego zbliżenia stał się rozważnym i łagodnym kochankiem, ale gdyby nie fakt, że zwrócili się ku sobie za sprawą Ramoth i Mnementha, ten pierwszy raz można by śmiało nazwać gwałtem.

F’lar wiedział jednak, że za jakiś czas i w jakiś sposób nakłoni ją do tego, by oddawała mu się całym sercem. Był dumny ze swych miłosnych umiejętności i, co ważne, był również wytrwały. Zaczerpnął głęboko powietrza w płuca i powoli uwolnił jej

ramie z uścisku.

- Dobrze się składa, że masz na sobie kostium do jazdy. Jak tylko wszystkie oddziały jeźdźców wylecą z Weyr i Ramoth obudzi się, nauczę cie latać „pomiędzy".

Nawet w mrocznym korytarzu, gdzie stali, F'lar dostrzegł wyraźny błysk podniecenia w jej oczach. Usłyszał jej przyśpieszony oddech.

- Nie możemy tego odkładać na później, gdyż lada dzień Ramoth nie będzie już w stanie w ogóle latać - ciągnął przymilnym tonem.

- Mówisz poważnie? - spytała miękkim, pełnym emocji głosem, w którym tym razem nie wyczuł jej zwykłej szorstkości. - Będziesz nas dziś uczył?

F'łar żałował, że nie widzi jej twarzy wyraźnie.

Raz czy dwa razy spostrzegł na niej wyraz miłości i łagodności. Dużo by za to dał, żeby patrzyła w ten sposób właśnie na niego. Co prawda, przyznał się w duchu, powinien być zadowolony, że takim spojrzeniem obdarzała wyłącznie Ramoth, a nie innego mężczyznę.

- Tak, moja droga Lesso. Mówię zupełnie poważnie. Zamierzam uczyć cie dziś latania „pomiędzy". Chociażby po to - tu zgiął się przed nią w dworskim ukłonie - żeby powstrzymać cie od samowolnych prób. -Jej śmiech upewnił go, że ostatnia uwaga była trafna. - Na razie jednak - powiedział, wskazując dłonią drogę do izby - mógłbym coś zjeść.

Weszli do jasno oświetlonego pomieszczenia i F'lar nie mógł nie zauważyć kąśliwego spojrzenia, które posłała mu przez ramie. Niełatwo przebaczy mu, że tego ranka nie znalazło się dla niej miejsce na Skalnym Palcu. A już na pewno nie uda się jej przekupić zezwoleniem na rozpoczęcie lotów „pomiędzy".

Jakże zmieniła się ta izba od czasu, kiedy Lessa została władczynią Weyr. Flar popadł w zadumę, podczas gdy Lessa przywołała windę służącą do transportu posiłków. W czasach nieudolnego panowania Jory pomieszczenie sypialne zwykle pełne było rozmaitych rupieci, brudnych rzeczy i nie umytych naczyń.

Za opłakany stan Weyr i ograniczoną ilość smoków odpowiedzialność ponosił nie tylko R'gul, ale i Jora, bowiem to za jej sprawą w Weyr zapanowały gnuśność, niedbalstwo i obżarstwo.

Gdyby tak on - F'lar - był choć o kilka lat starszy w dniu, kiedy zmarł jego ojciec F'lon... Co prawda Jora była odrażająca, ale związałby się z nią, nie bacząc na jej przywary, jeśliby tylko smoki dzięki temu mogły wznosić się bez przeszkód w lotach godowych.

Lessa zdjęła z platformy windy tace z chlebem, serem i kubkami orzeźwiającego klah i zręcznie obsłużyła ich oboje.

- Ty też jeszcze nie jadłaś? - zapytał.

Potrząsnęła pośpiesznie głową, aż sploty jej grubych, ciemnych włosów zakołysały się na ramionach. Uczesanie to nadawało jej wąskiej twarzy zbyt surowy wygląd, ale nie pozbawiło, o ile było to jej zamiarem, kobiecości, ani też oryginalnej, subtelnej urody. Po raz któryś już F'lar nie mógł się nadziwić, że w tej delikatnej postaci zawierało się tyle inteligencji, pomysłowości i... sprytu. Tak, spryt - to było właściwe określenie. F'lar nie popełnił, tak jak zrobili to inni, błędu polegającego na niedocenianiu tych cech Lessy.

- Manora wezwała mnie, żebym była świadkiem narodzin dziecka Kylary.

Twarz F'lara zachowała wyraz uprzejmego zainteresowania. Wiedział, że Lessa podejrzewała, iż to jego dziecko. Co prawda nie mógł tej możliwości całkowicie wykluczyć, ale mocno w to wątpił.

Kylara była jedną z dziesięciu kandydatek, wśród których była i Lessa, przywiezionych do Weyr trzy lata temu z Poszukiwań. Podobnie jak inne, które przeżyły proces doboru, Kylara znalazła w Weyr możliwości samorealizacji odpowiadające jej temperamentowi. Uwodziła jednego jeźdźca po drugim. Uwiodła i Flara - szczerze mówiąc, nie całkiem wbrew jego woli. Z chwilą jednak, gdy Flar przejął władze w Weyr, uznał za stosowne ignorować jej ustawiczne próby podtrzymania zażyłości. Kylare przejął T'bor - i trzeba przyznać, że miał pełne ręce roboty aż do chwili, gdy wysłał ją, w mocno już zaawansowanej ciąży, do Jaskiń Niższych.

Niezależnie do swoich miłosnych skłonności, czym przypominała zachowanie zielonych smoków, Kylara była obrotna i ambitna. Te cechy czyniły z niej odpowiednią kandydatkę na władczynie Weyr. Z tego powodu F'lar zlecił Lessie i Manorze zadanie zaszczepienia jej tej myśli. Jako władczyni Weyr... innego Weyr... jej zdolności mogłyby być wykorzystane dla dobra Pernu.

Kylara nie odebrała, tak jak Lessa, surowych lekcji opanowania i cierpliwości. Nie była też tak przebiegła. Na szczęście dla niego, czuła wobec Lessy duży respekt. F'lar nie miał nic przeciw temu, by Lessa okazywała zainteresowanie Kylara. Śliczny syn - relacjonowała Lessa.

Flar sączył swój klan. Najwyraźniej nie zamierzała go obciążać żadną odpowiedzialnością za macierzyństwo Kylary.

- Dała mu na imię T'kil - dorzuciła po dłuższej chwili.

Flar siłą powstymał się od uśmiechu na myśl, że Lessie nie udało się zmusić go do zdradzenia swych uczuć.

- Bardzo roztropnie - rzucił Flar.

- Hm?

- Tak - wywodził - gdyby wzięła drugą cześć swego imienia, jak to jest w zwyczaju, to Tiar brzmiałoby trochę niezręcznie. T'kil natomiast wskazuje tak na ojca jak i na matkę.

- Czekając na zakończenie obrad - powiedziała - skontrolowałyśmy z Manorą jaskinie z zapasami. Transporty z dziesięciną, które osady łaskawie nam wysłały - w jej głosie brzmiała ironia - będą tu za tydzień. Nareszcie będziemy mieli chleb nadający się do jedzenia - dodała marszcząc nosek na widok kruszącego się, szarego w kolorze ciasta, które usiłowała posmarować serem.

- Miła odmiana - zgodził się Flar. Przez moment zapanowała cisza.

- Gorąca Gwiazda zachowuje się tak jak przypuszczałeś? Flar przytaknął.

- I wątpliwości R'gu!a rozwiały się w jej oślepiających promieniach?

- Ani trochę - uśmiechnął się do niej, nie zwracając uwagi na jej sarkazm. - Ani trochę, ale nie będzie więcej otwarcie występował z krytyką.

Lessa szybko przełknęła jedzenie, by móc się odezwać.

- Dobrze byś zrobił kończąc definitywnie z jego krytycyzmem - odparła, wymachując trzymanym w dłoni nożem tak, jakby zadawała nim cios w serce. - On nigdy dobrowolnie nie uzna twej wyższości.

- Potrzebny jest nam każdy spiżowy jeździec... wiesz, że mamy tylko siedmiu - skarcił ją ostro. - R'gul jest dobrym dowódcą skrzydła. Uspokoi się, gdy spadną Nici. Potrzebuje dowodów, żeby pozbyć sie wątpliwości.

- A Gorąca Gwiazda w polu Skalnego Oka to nie dowód? - rzedła Lessa, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

Flar w głębi duszy był tego samego zdania co ona. Na pewno byłoby lepiej zdecydowanie przełamać upór R'gula. Nie mógł jednak pozbyć się dowódcy skrzydła, kiedy każdy smok i każdy jeździec byli na wagę złota.

- Nie ufam mu - dodała ponuro. Popijała drobnymi łyczkami gorący napój, spoglądając na niego sponad krawędzi kubka swymi ciemnoszarymi oczami. „Tak jakby i mnie nie ufała" - pomyślał.

Rzeczywiście, nie ufała mu - od tamtej pierwszej nocy. Dawała mi to wyraźnie do zrozumienia i szczerze mówiąc, nie mógł jej tego mieć za złe. Zgadzała się na wszystko co przedsiębrał... dla zabezpieczenia i zachowania rodzaju smoczego i społeczności Weyr, co w konsekwencji oznaczało bezpieczeństwo i ochronę życia całego Pernu. Żeby osiągnąć swój cel, Flar potrzebował pełnej współpracy Lessy. Kiedy przedmiotem dysputy były sprawy Weyr i problemy dotyczące smoków, powstrzymywała swą antypatie do niego. W czasie konferencji udzielała mu pełnego poparcia, używając swego daru przekonywania, ale Flar zawsze przypuszczał, że jej komentarze mogą być bronią obosieczną, w czym utwierdzało go jej podejrzliwe spojrzenie.

F'lar jednak potrzebował nie tylko tolerancji z jej strony; potrzebował jej emocjonalnego zaangażowania.

- Powiedz mi - zapytała Lessa po długim milczeniu - czy słońce zrównało się ze Skalnym Palcem przed tym, jak Gorąca Gwiazda znalazła się w polu Skalnego Oka, czy później?

- Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, bo sam tego nie widziałem... Moment zbieżności jest niezwykle krótki... ale wiem, że oba zjawiska mają być jednoczesne.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Kogo posłałeś do obserwacji? R'gula? - była poruszona. Rozdrażnionym spojrzeniem omiotła całe pomieszczenie, unikając jednocześnie jego wzroku.

- To jaj jestem władcą Weyr - wtrącił ostro F'lar. „Zachowuje się nierozsądnie" - pomyślał.

Posłała mu długie, nieprzyjazne spojrzenie, po czym pochyliła się nad stołem, by skończyć jedzenie. Lessa jadła niewiele i szybko.

Flar skończył śniadanie i postawił puste kubki na wolnej tacy. Lessa wstała bezszelestnie i usunęła naczynia ze stołu.

- Jak tylko jeźdźcy opuszczą Weyr, pójdziemy - zwrócił się do niej.

- Dobrze - wskazała ruchem głowy śpiącą królową widoczną przez łuk otworu wejściowego do legowiska. - Musimy jednak poczekać na Ramoth.

- Chyba się budzi. Już od godziny rusza ogonem.

- Zawsze to robi o tej porze dnia.

Flar pochylił się głęboko nad stołem i marszcząc brwi w zamyśleniu, obserwował jak zakończony złocistą strzałką koniec ogona królowej drga spazmatycznie.

- Mnementh także. I zawsze o świcie, i wczesnym rankiem. Tak jakby ta pora kojarzyła im się z jakimś niebezpieczeństwem.

- Albo ze wschodem Gorącej Gwiazdy? - wpadła mu w słowa Lessa.

Delikatna zmiana tonu jej głosu kazała mu szybko spojrzeć na nią. To już nie była złość wywołana niemożnością zobaczenia porannego zjawiska. Patrzyła niewidzącym wzrokiem przed siebie. Jej pięknie zarysowane brwi zmarszczyły się nagle pod wpływem jakiegoś nieokreślonego niepokoju.

- O świcie... wtedy pojawiają się wszystkie ostrzeżenia - wymamrotała.

- Jakie ostrzeżenia? - zapytał z cichą zachętą w głosie.

- To było tego ranka... kilka dni wcześniej... zanim ty i Fax przybyliście do Ruathy. Coś mnie wytrąciło ze snu... Uczucie, jakby coś mnie silnie przytłaczało... Przeczucie nadchodzącego jakiegoś strasznego niebezpieczeństwa... Właśnie wtedy wschodziła Gorąca Gwiazda. - Nerwowo prostowała i kurczyła palce lewej dłoni. Jej ciałem wstrząsnął konwulsyjny dreszcz. Popatrzyła ponownie na Flara.

- Ty i Fax przyszliście z północnego wschodu od Crom - wyrzuciła z siebie, ignorując jednocześnie fakt - jak zauważył Flar - że Gorąca Gwiazda wschodzi także na północ od właściwego wschodu

- To prawda - uśmiechnął się do niej, mając w pamięci żywy obraz tamtego dnia. - Mimo to - dodał, gestykulując szeroko rękoma dla podkreślenia tego, co mówił - chciałbym wierzyć, że służyłem ci znakomicie tego dnia... czy wspominasz to niechętnie?

Spojrzała na niego jakoś chłodno.

- Niebezpieczeństwo przybiera różną postać.

- Zgadzam się - odrzekł pojednawczo, nie dając się sprowokować. - Zdarzały ci się jeszcze podobne, nieprzyjemne przebudzenia? - zapytał lżejszym tonem, by rozładować powstałe napięcie.

- W dniu inwazji Faxa na Ruatha - mówiła ledwie dosłyszalnym szeptem. Oczy miała szeroko otwarte, a obie dłonie zacisnęły się kurczowo na brzegu stołu. Umilkła i nie odzywała się tak długo, że F'lar sie zaniepokoił. Jej reakcja na tak zwykłe, wydawałoby się, pytanie była nieoczekiwanie gwałtowna.

- Opowiedz mi o tym - poprosił miękko.

Odpowiedziała bezbarwnym, obojętnym głosem, jakby recytowała Balladę o Tradycji, albo opowiadała coś, co zdarzyło się zupełnie innej osobie.

- Byłam dzieckiem. Miałam dopiero jedenaście lat. Obudziłam się o świcie... - mówiła powoli. Z zawieszonym w próżni wzrokiem przypominała sobie scenę, która miała miejsce dawno temu. F'lar poczuł nieodpartą chęć pocieszenia jej. Nigdy nie przypuszczał, że Lessa może tak silnie zareagować na wspomnienie przerażających, ale przecież tak dawnych wydarzeń.

Mnementh ostrym tonem upomniał swego jeźdźca, że stanowczo zbyt długo już ją meczy. Jej umysłowa udręka wybiła Ramoth ze snu. Łagodniejszym już tonem Mnementh poinformował Flara, że R'gul wraz ze swoimi uczniami w końcu opuścił Weyr, a jego smok Hath był silnie zdezorientowany wobec nie najlepszego stanu umysłu swego jeźdźca. Czy F'lar musi wytrącać z równowagi każdego mieszkańca Weyr...?

- Och, bądź cicho - odciął się F'lar.

- Dlaczego? - spytała Lessa normalnym głosem.

- Nie mówiłem do ciebie najdroższa - zapewnił ją, uśmiechając się swobodnie, zupełnie jakby przed chwilą nie była w głębokim transie, który go tak poruszył. - Mnementh ostatnio stale mi dogaduje.

- Jaki jeździec, taki smok! - odparła zgryźliwie.

Ramoth ziewnęła przeciągle. Lessa poderwała się w mgnieniu oka i pobiegła do swego smoka. Jej szczupłe ciało nagle jakby zmalało na tle dwumetrowej głowy królowej.

Na jej twarzy pojawił się wyraz łagodności i uwielbienia, gdy spojrzała w błyszczące, opalizujące ślepia Ramoth.

F'lar zacisnął zęby, zazdroszcząc smokowi uczucia, jakim obdarzała go Lessa.

W jego umyśle odbił się dalekim echem śmiech Mnementha.

- Jest głodna - poinformowała F'lara Lessa.

W jej głosie brzmiała jeszcze nuta miłości dla swego smoka, a oczy jej przybrały tak rzadki u niej łagodny wyraz.

- Ona jest zawsze głodna - zauważył F'lar i wyszedł za nimi na zewnątrz.

Mnementh unosił się w powietrzu tuż za skalnym stopniem, u wejścia do jaskini i szarmancko czekał, aż Lessa i Ramoth wzbiją się w powietrze. Poszybowali ślizgiem nad owalną Doliną, mijając po drodze spowite we mgle jezioro, w kierunku pastwiska, znajdującego się na przeciwległym krańcu terenu - u podnóża Benden Weyr.

W stromych skalnych ścianach Weyr widać było pojedyncze czarne otwory wejściowe do poszczególnych mieszkań. U wejść znajdowały się szerokie skalne progi, na których jeszcze niedawno leżały smoki, grzejąc się w promieniach zimowego słońca. Kiedy Flar wskakując na grzbiet Mnementha, przylgnął do jego gładkiego spiżowego karku, pomyślał o Ramoth. Miał nadzieje, że najbliższy wylęg będzie wspaniały i zatrze w pamięci niedawne haniebne czasy, kiedy to Nermoth była w stanie znieść jednorazowo nie więcej niż dwanaście jaj.

Po wspaniałym locie godowym królowej z jego Mnementhem, F'lar nie wątpił, że Ramoth spisze sie znacznie lepiej. Spiżowy smok dał mu do zrozumienia, że podziela jego opinie i obaj jednocześnie spojrzeli czule na królową, która właśnie składała skrzydła, podchodząc do lądowania. Była dwukrotnie większa do Nermoth. Jej skrzydła były półtora raza dłuższe od skrzydeł Mnementha, który nie miał sobie równych wielkością wśród spiżowych smoków-samców. F'lar miał nadzieje, że dzięki Ramoth będzie można zapełnić jej potomstwem pięć pustych Weyrów; pragnął również zaszczepić jeźdźcom durne i wiarę, że są niezbędni dla istnienia całego Pernu. Chciał jedynie wierzyć, że zostało mu wystarczająco dużo czasu dla zrealizowania tych przedsięwzięć. Gorąca Gwiazda znalazła się w polu Skalnego Oka. Wkrótce na Pern opadną Nici. Gdzieś, w jakiejś Kronice któregoś z pozostałych Weyrów musi znajdować sie informacja o tym, kiedy dokładnie to się stanie.

Mnementh wylądował. F'lar zeskoczył z jego wygiętej szyi i stanął obok Lessy. Cała trójka obserwowała jak Ramoth schwyciwszy w obie przednie łapy po jednym byku odleciała i usiadła na sklanym występie, na którym smoki zwykły się posilać.

- Czy jej apetyt nigdy się nie zmniejszy? - spytała z udanym przerażeniem Lessa.

Kiedy Ramoth była młodziutka jadła dużo, by rosnąć. Teraz, po osiągnięciu dorosłości musiała jeść w dwójnasób, żeby wykarmić potomstwo, które w sobie nosiła.

F'lar zachichotał i przykucnął w pozycji charakterystycznej dla czatującego myśliwego. Podniósł kilka płaskich kamieni i jak mały chłopiec zaczął puszczać „kaczki" po równej, zeschłej ziemi, licząc kolejne obłoczki kurzu, wznoszące się przy kontakcie kamyków z ziemią.

- Przyjdzie czas, gdy nie będzie zjadała wszystkiego, co tylko

znajdzie się w polu widzenia - zapewnił Lesse. - Na razie jest jeszcze młoda...

- ... i potrzebuje siły - wtrąciła Lessa umiejętnie naśladując pedantyczny styl mówienia R'gula. F'lar spojrzał na nią, mrużąc oczy przed oślepiającym blaskiem zimowego słońca.

- Jest wspaniale rozwiniętym zwierzęciem, zwłaszcza w porównaniu z Nermoth. Na dobrą sprawę, nie ma w ogóle porównania - prychnął pogardliwie.

- Dobra! Spójrz teraz tutaj - zarządził stanowczo.

Uklepał i wygładził piach przed sobą i Lessa dostrzegła, że jego, jak się zdawało, bezcelowe ruchy miały istotny sens. Za pomocą płaskiego kamyka szybkimi ruchami nakreślił na piachu jakiś projekt.

- Żeby polecieć na smoku „pomiędzy", oboje musicie wiedzieć dokąd chcecie się udać - ukazał zęby w uśmiechu, widząc zaskoczenie i złość Lessy po tym pozornie banalnym stwierdzeniu. - Trzeba ci jednak wiedzieć, że konsekwencje źle wykonanego skoku mogą być poważne. Skutkiem niedokładnego wyobrażenia sobie punktów odniesienia bywa nierzadko uwięzienie „pomiędzy" - tu F'lar urwał złowieszczo, a Lessa, jeszcze przez chwile rozdrażniona jego słowami, przyjęła skupiony wyraz twarzy. Istnieją pewne punkty odniesienia, których przyszli jeźdźcy muszą się nauczyć. To jest - wskazał najpierw na narysowany na piasku, a później na prawdziwy Gwiezdny Kamień w sąsiedztwie Skalnego Oka i Skalnego Palca na szczycie góry Benden - pierwszy punkt odniesienia, jakiego uczy się kandydat na jeźdźca. Kiedy wzlecimy w powietrze i osiągniemy wysokość odrobinę większą od tej, na której znajduje się Gwiezdny Kamień, będziesz mogła dostrzec otwór w Skalnym Oku. Obraz ten musi na stałe wryć ci się w pamięć. Gdy przekażesz go Ramoth zdołacie zawsze szczęśliwie wrócić do domu.

- Rozumiem, ale jak mam nauczyć się punktów odniesienia miejsc, których nigdy nie widziałam?

F'lar uśmiechnął się wyrozumiale.

- Poprzez stałe ćwiczenia. Najpierw ćwiczysz teoretycznie ze swoim instruktorem - tu F'lar wskazał na siebie - a następnie nakazujesz swojemu smokowi, by przejął wyobrażenie żądanego miejsca od swojego instruktora - wskazał na Mnementha - i wtedy udajecie się tam. - Po tych słowach spiżowy smok pochylił nisko swój trójkątny łeb. Spoglądając na swego jeźdźca i jego partnerkę wydał z głębi swej piersi głęboki, pełen zadowolenia pomruk.

Widząc to Lessa zaśmiała się serdecznie i z zaskakującą czułością poklepała jego aksamitne chrapy.

F'lar chrząknął zdumiony. Zdawał sobie sprawę z tego, że Mnementh okazywał nadzwyczajną słabość dla władczyni Weyr, ale nie podejrzewał Lessy o równie emocjonalny stosunek do smoka. Drażniło go to nieco.

- Młodzi jeźdźcy - jego własny głos wydał mu się nienaturalny - stale trenują przemieszczanie sie miedzy głównymi punktami odniesienia na terenie całego Pernu, miedzy wszystkimi Osadami, po to, by dobrze im się przyjrzeć i utrwalić w pamięci ich obraz. Kiedy jeździec osiągnie biegłość w dostrzeganiu i zapamiętywaniu charakterystycznych cech terenu, otrzymuje dodatkowe informacje od pozostałych jeźdźców. Zatem, żeby poruszać się „pomiędzy", należy w zasadzie spełnić tylko jeden warunek: umieć przywołać w wyobraźni dokładny obraz miejsca, do którego zamierzasz się udać. No i oczywiście trzeba mieć smoka! - uśmiechnął się do niej. - Należy również zawsze tak wyobrazić sobie miejsce, do którego zdążasz, aby pojawić się tam w powietrzu nad punktem odniesienia.

Lessa uniosła brwi pytająco.

- Lepiej zawisnąć w powietrzu - F'lar uniósł rękę nad głowę - niż wylądować pod ziemią - uderzył otwartą dłonią w piach. Obłoczek pyłu wzbił się w powietrze ostrzegawczo.

- Ale przecież w dniu, w którym przybyli do Weyr magnaci z Osad, oddziały jeźdźców wystartowały bezpośrednio z jaskiń - przypomniała Lessa.

F'lar odpowiedział na ten argument śmiechem.

- To prawda, ale byli to najbardziej doświadczeni jeźdźcy. Któregoś razu natrafiliśmy na jeźdźca i smoka uwięzionych w skale. Oni... byli... bardzo młodzi - zadumał się.

- Rozumiem - zapewniła go Lessa z powagą. - To już jej piąty byk - zmieniła temat, wskazując na Ramoth, która niosła swą ostatnią zdobycz na zakrwawiony występ skalny.

- Zapewniam cie, że przy tym co ją dziś czeka, strawi je doszczętnie - zauważył F'lar. Podniósł się z ziemi i energicznymi uderzeniami jeździeckich rękawic otrzepał kolana z kurzu. - Sprawdź w jakim jest nastroju.

- *Najadłaś się?*- przesłała myśl Lessa i uśmiechnęła się czując, że Ramoth z oburzeniem odrzuca przesłaną jej sugestie.

Królowa odbiła się od skały i runęła na pastwisko, dopadając dużego, tłustego ptaka, po czym w kłębowisku szarych, brązowych i białych piór. wzbiła się ponownie w powietrze.

- Wcale nie jest tak głodna jak udaje, przewrotna bestia - zaśmiał się F'lar i widząc zniecierpliwienie Lessy domyślił się, że i ona jest podobnego zdania.

- Kiedy już pochłoniesz tego ptaka, Ramoth, będziemy uczyć się latania „pomiędzy" - powiedziała Lessa na głos, by F'lar to słyszał - zanim nasz łaskawy władca zmieni zdanie.

Ramoth podniosła oczy znad swojej ofiary i odwróciła łeb w kierunku obojga jeźdźców, stojących na krawędzi skalnej półki, na której się posilała. Jej ślepia ciskały gromy. Ponownie pochyliła się nad ptakiem, ale Lessa czuła, że tym razem smok jest gotów jej usłuchać.

W powietrzu było zimno. Lessa cieszyła się z futrzanej podszewki w jej jeździeckim kombinezonie i z kontaktu z gorącą, wspaniale złotą szyją smoka, którego dosiadała. Postanowiła nie myśleć o absolutnym zimnie „pomiędzy", którego doświadczyła dotychczas tylko raz. Rzuciła okiem w prawo, gdzie nieco niżej zawisł w powietrzu spiżowy Mnementh i pochwyciła jego rozbawioną myśl.

- *Flar, który nie wie, że potrafisz odebrać moje myśli, mówi mi, żebym powiedział Ramoth, żeby ona przekazała ci żebyś mocno utrwaliła w swojej pamięci obraz płaskiego Gwiezdnego Kamienia jako ekwiwalentu naszego domu. Następnie* - kontynuował uprzejmie Mnementh - *polecimy nad jezioro. Wrócicie z „pomiędzy" dokładnie w tym punkcie. Czy rozumiesz zadanie?*

Lessa złapała się na tym, że uśmiecha się idiotycznie pod wpływem emocji i gwałtownie przytaknęła. Ileż czasu zyskiwała dzięki umiejętności porozumiewania się ze smokami za pomocą telepatycznego przesyłania myśli. Z głębi piersi Ramoth dobiegł pomruk niezadowolenia. Lessa poklepała ją uspokajająco.

- Czy masz już w umyśle odpowiedni obraz, najdroższa? - spytała, a Ramoth ponownie zamruczała, tym razem z mniejszą już irytacją, bowiem udzielało się jej podniecenie Lessy.

Mnementh wzburzył zimne powietrze skrzydłami, które w promieniach słonecznych nabrały zielonkawo-brązowej barwy, i z gracją odleciał w kierunku płaskowyżu u stóp Benden Weyr. Kurs jaki przyjął prowadził tuż nad krawędzią masywu skalnego Weyr. Z miejsca, z którego obserwowała go Lessa wyglądało to tak, jakby lada chwila miał zawadzić o skaty. Ramoth ruszyła w ślad za nim. Widok postrzępionych głazów przemykających tuż pod skrzydłami Ramoth zaparł jej dech w piersiach.

Podniecenie Ramoth, które Lessa odczuła i które się jej udzieliło, dodało jej animuszu.

Mnementh zatrzymał się nad przeciwległym brzegiem jeziora i w chwile później dołączyła do niego Ramoth.

Mnementh przesłał Lessie myśl, przypominającą jej, że powinna szczegółowo wyobrazić sobie miejsce, do którego chciała się przenieść, a następnie skierować tam Ramoth.

Lessa zgodziła się. W ułamku sekundy ogarnął je przerażający, przeszywający do szpiku kości chłód „pomiędzy". Zanim jednak do świadomości Lessy i Ramoth dotarło wrażenie przenikliwego zimna i absolutnych ciemności, znalazły się już nad Gwiezdnym Kamieniem.

Z ust Lessy wyrwał się okrzyk pełnego triumfu.

- *To jest niezwykle proste* - Ramoth wydawała się być bardzo rozczarowana. Nieco wyżej, obok nich pojawił się Mnementh.

- *Macie wrócić tą samą trasą nad jezioro* - polecił i zanim jego myśl wygasła, Ramoth już wystartowała.

Mnementh z F'larem znaleźli się nad jeziorem tuż obok nich. Szaleli z wściekłości.

- *Nie przywołałyście obrazu do wyobraźni przed transferem. Niech wam się nie wydaje, że po pierwszym udanym skoku jesteście już doskonale. Nie macie żadnego wyobrażenia o niebez-*

pieczeństwach właściwych „pomiędzy". Nigdy nie rezygnujcie z wywołania obrazu miejsca, do którego wracacie.

Lessa spojrzała na Flara. Mimo odległości równej dwóm skrzydłom, jaka ich dzieliła, mogła dostrzec złość na jego twarzy. Jednak jeszcze gorszy od gniewnego wyrazu twarzy był jego wzrok, w którym dostrzegła głęboki strach o jej bezpieczeństwo. „Bezpieczeństwo jej, czy Ramoth" - zastanowiła się gorzko.

- *Macie podążać za nami* - przekazał myśl Mnementh - *powtarzając w pamięci obrazy tych dwóch punktów odniesienia, których się dziś nauczyłyście. Wykonamy skoki miedzy nimi i stopniowo będziemy uczyli się innych punktów na obszarze Benden.*

Tak też zrobili. Przemieszczali się latając aż do odległej Osady Benden, leżącej w Dolinie Benden u podnóża masywu skalnego, w którego jaskiniach zamieszkiwali; następnie do Szczytu Weyr, rysującego sie niewyraźnie na tle oświetlonego południowym słońcem nieba. Lessa za każdym razem nie zaniedbywała wyraźnego i szczegółowego wyobrażania sobie punktów odniesienia.

Lessa przyznała się Ramoth, że ich loty były dla niej szalenie ekscytujące. Ramoth odparła, że niewątpliwie w porównaniu z czasochłonnymi metodami poruszania się stosowanymi przez innych ludzi, latanie „pomiędzy" było znacznie korzystniejsze, ale wcale nie uważa, że latanie „pomiędzy" od Benden Weyr do Osady Benden i z powrotem jest aż tak ekscytujące. To jest nudne!

Ponownie spotkali się z Mnementhem na Gwiezdnym Kamieniu. Spiżowy smok przesłał Lessie wiadomość, że jak na początek, trening należy uważać za bardzo udany. Następnego dnia poćwiczą skoki na dalsze odległości.

‚Jutro - pomyślała ponuro Lessa - zajdą jakieś nagłe i nieprzewidziane okoliczności i nasz zapracowany Władca Weyr uzna, że odbycie lotów w dniu dzisiejszym stanowi zadowalające spełnienie jego obietnicy i na tym się skończy."

Istniała możliwość wykonania pewnego skoku „pomiędzy" do miejsca, którego obraz umiała odtworzyć w pamięci tak szczegółowo, jak żadnego innego w Pernie - na tyle precyzyjnie, by nie chybić celu.

Przekazała Ramoth obraz Ruathy widzianej ze szczytów wzgórz wokół osady... z powietrza, tak jak tego wymagał od niej F'lar. Żeby punkt odniesienia odmalować z nadzwyczajną skrupulatnością - dokonała projekcji dołów ogniowych na zalesionych wzgórzach. Przed najazdem Faxa, po którym musiała swymi zabiegami doprowadzić te posiadłość do ruiny ekonomicznej, Ruatha była taką śliczną i bogatą doliną. Poprosiła Ramoth, żeby wykonała skok „pomiędzy".

Ogarnął je niezwykle przenikliwy chłód i wydawał się trwać przez wiele uderzeń serca. Kiedy Lessa zaczęła już bać się, że zabłądziły gdzieś „pomiędzy" - wypadły znienacka w powietrze nad osadą. Rozparła ją duma z siebie. „No proszę, ciekawe co by na to powiedział F'lar ze swoją nadmierną ostrożnością! Razem z Ramoth mogły się przenieść wszędzie! Proszę bardzo - oto wyraźnie widać wypalone doły ogniowe." Lada chwila miał nastąpić świt. Na tle rozjaśniającego się nieba rysowały się dwa czarne stożki Przełęczy Piersiowej łącząc Ruathe z Crom. Przelotnie zauważyła nieobecność na niebie Gorącej Gwiazdy, która przecież ostatnio pojawiła się nad Pernem. W powietrzu także poczuła jakąś różnice Było chłodne, owszem, ale nie zimowe... jakby chłód wilgoci wczesnej wiosny.

Przestraszona spojrzała w dół, zastanawiając się gorączkowo, czy przy całej skrupulatności nie popełniła jakiegoś błędu. Ale nie - przecież to była Osada Ruatha. Wieża, wewnętrzny Dziedziniec, widok alei wiodącej do kwartału rzemieślników - wszystko wyglądało tak jak powinno. Smugi dymu wydobywającego się z odległych kominów wskazywały na to, że mieszkańcy szykowali się do rozpoczęcia kolejnego dnia.

Ramoth poczuła niepewność swego jeźdźca i zaczęła domagać się wyjaśnień.

- *To jest Ruatha* - odparła Lessa zdecydowanie. - *Nie może być inaczej. Obleć wzgórza. Widzisz, są tu te liczne doły ogniowe, których obraz ci przekazałam...*

Spojrzała na ziemie i struchlała.

Pod nimi, w wolno rozjaśniającym się mroku, dostrzegła postacie wielu mężczyzn mozolnie przekraczających jedno ze wzniesień od strony wzgórz za osadą. Poruszali się ukradkiem - jak złoczyńcy.

Poleciła Ramoth, żeby zachowywała się możliwie jak najciszej i nie zwróciła na siebie ich uwagi. Smok zaciekawiony był nową sytuacją, ale zachował posłuszeństwo.

„Kto zamierza zaatakować Ruathe?". Wydawało się to nie do wiary. Przecież Lytol był kiedyś jeźdźcem i niedawno odparł już jeden atak, dokonując rzezi agresorów. „Czy to możliwe, by któryś z magnatów zdecydował się napaść na inną posiadłość teraz, gdy panem Weyr został F'lar; który z nich byłby na tyle nierozsądny, aby prowadzić wojnę terytorialną w zimie?"

Ale teraz - powietrze było najwyraźniej wiosenne.

Mężczyźni posuwali się ostrożnie przez gęstwinę leśną w kierunku szczytu wzgórz. Nagle Lessa ujrzała, że opuszczają po stromych zboczach wzniesień drabiny linowe, kierując je w pobliże otwartych okiennic Pałacu.

Kurczowo objęła szyje Ramoth, rozumiejąc już to co widziała.

To był agresor - Fax, nieżyjący już prawie od trzech Obrotów - Fax i jego ludzie w chwili, gdy rozpoczynali swój atak na Ruathe niemal trzynaście Obrotów temu.

Tak, widziała strażnika na wieży, białą plamę jego twarzy zwróconą ku urwisku. Został przekupiony, żeby nie podnosił alarmu tego ranka.

„Dlaczego jednak A-lert, szkolony do ogłaszania alarmu w przypadku jakiegokolwiek ataku, nie zareagował? Dlaczego był cicho?"

- *Ponieważ* - Ramoth rozumowała z chłodną logiką - *on czuje twoją i moją obecność, a zatem cóż może zagrażać osadzie?*

- *Oh, nie, nie!* - jęknęła Lessa. - *Co mam teraz zrobić? Jak mogę ich obudzić? Gdzie jest ta dziewczynka, którą byłam? Spałam i nagłe obudziłam się. Pamiętam. Wybiegłam z pokoju. Taksie bałam. Zbiegłam ze schodów i prawie upadłam. Wiedziałam, że musze biec rynsztokiem, gdzie mieszkał A-lert... wiedziałam...*

Sceny sprzed lat na nowo odżyły w pamięci Lessy, która z całych sił przycisnęła się do szyi Ramoth, szukając w niej oparcia. To jej obecność na smoku ostrzegła małą Lesse przed niebezpieczeństwem, podobnie jak jej obecność powstrzymała A-lerta przed ogłoszeniem alarmu. Oszołomiona, bez słowa obserwowała drobną, odzianą w szarą koszule figurkę dziewczynki, która nie mogła być nikim innym jak nią samą, trzynaście Obrotów młodszą, jak wybiega przez drzwi pałacu na dziedziniec i niknie w cuchnącej norze A-lerta. Do jej uszu dobiegł żałosny odgłos łkania. W czasie, gdy Lessa-dziewczynka dobiegła do rynsztoku, najeźdźcy Faxa wpadli do Pałacu przez otwarte okna i rozpoczęli okrutne dzieło mordowania całej jej śpiącej rodziny.

- Wracamy! Wracamy do Gwiezdnego Kamienia - krzyknęła Lessa. Przed swymi szeroko otwartymi oczami wywołała obraz skał będących przewodnikiem dla Ramoth, a dla niej jedynym ratunkiem przed obłędem.

Przejmujące zimno przywróciło jej równowagę. Wystrzeliły nad cichym, spokojnym, spowitym zimowym chłodem Weyr, tak jakby nigdy nie odwiedziły Ruathy.

F'lara i Mnementha nie było nigdzie widać.

Wszystko co zaszło nie zrobiło na Ramoth większego wrażenia. Poleciała tam, gdzie jej kazano i nie bardzo mogła pojąć, czemu ten fakt wstrząsnął Lessą. Powiedziała Lessie, że Mnementh prawdopodobnie udał się za nimi do Ruathy i jeśli tylko Lessa zdoła podać jej właściwe dane, zabierze ją tam. Rozsądek Ramoth przynosił Lessie ulgę.

Lessa starannie nakreśliła dla Ramoth obraz Ruathy, już nie tej dawnej, idyllicznej, ale takiej jaką widziała ją ostatnio - szarej, posępnej, o świcie z Gorącą Gwiazdą pulsującą na horyzoncie.

Były tam znowu, zawieszone w powietrzu nad doliną, w której po prawej stronie leżała osada.

Dawno nie koszona trawa pokrywała wypalone na stokach wzgórz doły ogniowe i fragmenty zaczętych, a nie skończonych murów. To za jej sprawą posiadłość ta była dziś w tak opłakanym stanie; to ona swymi wysiłkami pozbawiła Faxa korzyści, które miał mu przynieść podbój Ruathy.

Obserwowała osadę z lekkim niepokojem; zobaczyła jak z kuchni wychodzi jakaś odziana w łachmany postać, a ku niej, na

ile pozwala mu łańcuch, wybiega z legowiska A-lert.

Widziała jak osoba ta wchodzi na Wieże i obserwuje najpierw kierunek wschodni, a następnie północno-wschodni.

„To znowu nie jest Ruatha z dnia dzisiejszego l” Lessa zamyśliła się zdezorientowana. Tym razem przybyła tu „do siebie z wizytą” w okresie sprzed trzech Obrotów, by ujrzeć jak brudna, ciężko harująca Lessa planuje zemstę na Faxie.

Ponownie poczuła absolutne zimno „pomiędzy” i Ramoth wyniosła ją na Gwiezdny Kamień. Lessa drżała na całym ciele, jej oczy panicznie ogarniały Dolinę Weyr w nadziei, że tym razem już nie dokonała skoku w przeszłość. Znienacka w powietrzu o kilka długości skrzydeł pod nimi pojawił się Mnementh. Lessa powitała go okrzykiem ogromnej ulgi.

- *Natychmiast do domu!* - wrzasnął z nieukrywaną furią.

Będącej u kresu wytrzymałości nerwowej Lessie nie pozostało nic innego, jak natychmiast podporządkować się poleceniu. Ramoth niezwłocznie wylądowała na skalnej półce przed jaskinią, natychmiast usuwając się w bok, żeby zrobić miejsce do lądowania dla Mnementha.

Widok wściekłości na twarzy F’lara, który zeskoczył z Mnementha i zbliżył się do Lessy, przywrócił jej gwałtownie przytomność umysłu. Stała nieruchomo, a F’lar chwycił ją za ramiona i potrząsnął nią gwałtownie.

- Jakim prawem ryzykujesz życiem swoim i Ramoth? Dlaczego zawsze musisz robić mi na przekór? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co stałoby się z całym Pernem, gdybyśmy stracili Ramoth? Gdzie cie poniosło?! - parskał z wściekłości, akcentując każde swoje pytanie tak silnym potrząśnieciem jej ramion, że niemal urywał jej głowę.

- Do Ruathy - zdołała powiedzieć, próbując utrzymać wyprostowaną postawę. Wyciągnęła ręce, by chwycić go za ramiona, ale on potrząsnął nią ponownie.

- Do Ruathy? Byliśmy tam. Nie było was. Dokąd poleciałyście?

- Do Ruathy! - krzyknęła głośniej, chwytając szaleńczo jego ramiona, gdyż szarpiąc nią wytrącał ją stale z równowagi. Miotana na lewo i prawo nie mogła zebrać myśli.

- *Ona była w Ruatha* - oświadczył Mnementh zdecydowanie.

- *Byłyśmy tam dwukrotnie* - dorzuciła Ramoth.

Spokojne słowa smoków ostudziły furie F’lara, który przestał w końcu potrząsać Lessą. Zawisła bezwładnie w jego uchwycie, z dłońmi bezsilnie zaciśniętymi na jego ramionach, z poszarzałą twarzą i zamkniętymi oczami. Wziął ją na ręce i szybkim krokiem wniósł do legowiska królowej. Smoki poszły za nimi. Położył ją na kanapie, otulając futrzaną kapą. Opuścił windę kuchenną, żeby dyżurny kucharz przysłał gorący klah.

- No już dobrze. Co się wam przydarzyło? - zapytał.

Nie patrzyła na niego, ale F’lar dostrzegł jej przestraszone oczy. Zamrugała niespokojnie, jakby chciała za wszelką cenę wymazać obraz, który niedawno widziała. W końcu zdołała się trochę opanować i powiedziała cichym, zmęczonym głosem:

- Naprawdę poleciałam do Ruathy. Z tym, że... wstecz do Ruathy.

- Wstecz do Ruathy? - F’lar powtórzył bezmyślnie jej słowa, nie pojmując jeszcze ich znaczenia.

- *Oczywiście* - zgodził się Mnementh i dokonał projekcji dwóch scen z pamięci Ramoth na umysł F’lara.

Oszołomiony znaczeniem tych obrazów F’lar z wolna przysiadł na krawędzi posłania.

- Poleciałaś „pomiędzy” czasem?

Lessa potaknęła niespiesznie. Dotychczasowy strach zaczął ją opuszczać.

- „Pomiędzy” czasem - wymamrotał F’lar. - Zastanawiam się czy...

Zaczął gwałtownie rozważać w myśli różne możliwości. Ten fakt mógłby przecież wpłynąć na zwiększenie szans przeżycia mieszkańców Weyr. Nie potrafił jeszcze co prawda dokładnie powiedzieć, jak można by wykorzystać te niezwykłą umiejętność, ale z całą pewnością byłby to jakiś dodatkowy atut w rekach jeźdźców. Zadudniła kuchenna winda. Uniósł dzban z platformy i nalał dwa kubki klah.

Dłonie Lessy drżały tak silnie, że nie potrafiła utrzymać naczynia przy ustach. F’lar przytrzymał jej kubek, zastanawiając się, czy poruszanie się „pomiędzy” czasem zawsze będzie wiązać się z podobnym jak u Lessy szokiem. Jeśli tak, to korzyść byłaby wątpliwa. Jeśli strach, którego dziś doświadczyła okaże sie wystarczająco silny, może już więcej nie będzie tak pogardliwie odnosiła się do jego poleceń. Byłoby to wygodne dla niego.

Stojący na zewnątrz izby Mnementh wyraził swą dezaprobatę dla tej ostatniej myśli. F’lar zignorował go.

Lessa dostała gwałtownych dreszczy. F’lar otoczył ją ramieniem, otulając dokładnie jej szczupłą figurę futrem. Uniósł kubek do jej ust, zmuszając ją do picia. Czuł jak drżenie jej ciała słabnie. Miedzy kolejnymi tykami płynu wciągała głęboko powietrze do płuc, chcąc opanować słabość swego organizmu. Flar puścił ją w chwili, gdy poczuł, że jej mięśnie nabierają naturalnej prężności. Zastanawiał się, czy w jej życiu istniał ktokolwiek, kogo mogła pokochać. Z pewnością od czasu najazdu Faxa, nie. Miała wtedy dopiero jedenaście lat - była dzieckiem. Czy nienawiść i żądza zemsty byty jedynymi uczuciami, jakich doświadczyła? Lessa odjęła kubek od ust, ujmując go delikatnie obiema dłońmi, jakby stał się dla niej nagle przedmiotem o niebywałym znaczeniu.

- Teraz opowiadaj - polecił F’lar łagodnie.

Wzięła głęboki, długi oddech i zaciskając dłonie wokół kubka, zaczęła mówić. Jej wewnętrzna trwoga wcale nie zmalała; została jedynie opanowana.

- Znudziły nam się ćwiczenia przewidziane dla początkujących jeźdźców - przyznała się otwarcie. F’lar posępnie zauważył, że o ile jej ostatnia przygoda niewątpliwie nauczyła ją większej ostrożności,

z pewnością nie zmusi jej do posłuszeństwa wobec niego. Zaczął wątpić, czy cokolwiek mogłoby ją do tego skłonić.

- Przekazałam Ramoth obraz Ruathy, abyśmy mogły dokonać skoku „pomiędzy”.

Jej profil wyraźnie odcinał się na tle ciemnego, futrzanego pledu. Mówiła nie patrząc na F’lara.

- Przypadkiem przeniosłam się w czasie do dnia, w którym Fax dokonał inwazji. Flar pojął nareszcie, co było właściwą przyczyną jej szoku.

- I wtedy... - podsunął Flar ostrożnie.

- I wtedy zobaczyłam siebie - głos jej się załamał. Z trudem mówiła dalej. - Przekazałam Ramoth obraz dołów w gęstwinie leśnej i osady pod takim kątem, jak to widać, jeśli się patrzy od strony tych dołów na Wewnętrzny Dziedziniec. Tam też się pojawiłyśmy. Właśnie świtało - nerwowo zacisnęła usta - i na niebie nie było Gorącej Gwiazdy - rzuciła mu szybkie, spłoszone spojrzenie, jakby oczekiwała, że zechce skomentować ten szczegół.

- Wtedy zobaczyłam ludzi idących w dół leśnymi przecinkami, opuszczających drabiny linowe w kierunku okien najwyższego pietra Pałacu. Widziałam, jak strażnik na Wieży przygląda się im. Po prostu przygląda się - zacisnęła zęby na myśl o tej podłej zdradzie, oczy jej błysnęły złowrogo.

- I zobaczyłam siebie samą, jak biegnę z Pałacu do legowiska A-lerta. I czy wiesz - jej głos przeszedł w szept pełen goryczy - dlaczego A-lert nie wszczął alarmu?

- Dlaczego?

- Ponieważ na niebie widać było smoka i mnie, Lesse z Ruathy, na jego grzbiecie - odrzuciła gwałtownym ruchem kubek, jakby chciała jednocześnie odepchnąć świadomość owego zajścia.

- Ponieważ smoka dosiadałam ja - którą łączyły więzy krwi z właścicielami posiadłości, A-lert nie zaalarmował mieszkańców osady myśląc, że nic im nie grozi ze strony nadciągających ludzi.

- A zatem to ja - zesztywniała i zacisnęła mocno dłonie, aż kostki jej drobnych piąstek zbielały od napięcia - to ja byłam przyczyną masakry mojej rodziny. Nie Fax! Gdybym dziś nie zachowała się jak skończona idiotka, nie byłabym tam z Ramoth, a A-lert... z pewnością...

W jej rozhisteryzowanym głosie zabrzmiała pretensja do siebie. F’lar spoliczkował ją ostro i ponownie złapał ją jak popadło, by nią potrząsnąć.

Oszołomione spojrzenie jej oczu i obraz tragedii, malujący się na jej twarzy przeraziły go. Jego pierwotne oburzenie zniknęło. Jej niezwykła niezależność umysłu i ducha przyciągały go rów-

nie mocno, jak jej niepospolita uroda.

Mimo że jej krnąbrność była wyjątkowo irytująca, stanowiła integralną część jej osobowości. Nie był w stanie tego zmienić. Jej nieugięta wola doznała dziś straszliwego szoku. I lepiej będzie, jeśli szybko odzyska wiarę w siebie.

- Przeciwnie - powiedział F'lar surowo. - Fax i tak wymordowałby twoją rodzinę. Zaplanował to bardzo szczegółowo, czego dowodzi fakt, że zaatakował w dniu, w którym służbę strażniczą pełnił właśnie ten człowiek, którego udało mu się przekupić. Musisz też pamiętać, że najazd miał miejsce o świcie, a A-lert, prowadzący' nocny tryb życia i ślepnący w świetle dnia, jest zwolniony z odpowiedzialności za niedopatrzenie.

Twoja obecność tam, jak ci się wydaje - godna potępienia, nie mogła mieć w całym zajściu decydującego znaczenia. Natomiast, i chciałbym zwrócić twą uwagę na ten niezwykle istotny fakt, ostrzegając małą Lesse ocaliłaś swoje własne życie. Czy tego nie dostrzegasz?

- Mogłam zawołać - wymamrotała, ale obraz szaleństwa zniknął już z jej oczu, a usta z wolna zaczęły nabierać naturalnej barwy.

- Jeśli masz ochotę pokutować za swą winę, okładając się pejczem, to śmiało, proszę uprzejmie powiedział z zamierzonym brakiem litości.

Ramoth wtrąciła myśl, że skoro przybyły tam razem z Lessą w chwili, gdy judzie Faxa przygotowali sie już do ataku i dokonali najazdu, to jakimże sposobem można by zmienić bieg przeszłych wypadków Napad ten był nieuchronny, tak z punktu widzenia tamtego, jak i dzisiejszego dnia, bo jak inaczej Lessa mogłaby żyć i przybyć do Weyr i dobrać się w parę z Ramoth tuż po jej wykluciu?

Mnementh skrupulatnie przekazał argumenty Ramoth, imitując nawet egocentryczne akcenty jej wypowiedzi. F'lar zerknął kątem oka na Lesse, by zobaczyć jaki efekt wywarły na nie] uspokajające uwagi Ramoth.

- Ramoth musi zawsze mieć ostatnie słowo - odparła Lessa z odcieniem swego zwykłego ciętego humoru.

F'lar poczuł, jak mięśnie jego karku i ramion rozluźniają się. „Nic jej nie będzie, pomyślał, ale należy skłonić ją do opowiedzenia wszystkiego jeszcze raz, żeby mogła zrzucić z siebie ten ciężar i żeby mogła ujrzeć całe zdarzenie we właściwej perspektywie".

- Powiadasz, że byłaś tam dwukrotnie? - wyciągnął się na posłaniu, obserwując ją uważnie. - Kiedy był ten drugi raz?

- Nie możesz odgadnąć? - spytała sarkastycznie.

- Nie - skłamał.

- To było wówczas, kiedy zbudziłam się o świcie czując, że Gorąca Gwiazda mi zagraża?.. Trzy dni przed tym, jak ty i Fax nadeszliście z północnego wschodu.

- Można by rzec - zauważył sucho - że dwukrotnie ostrzegłaś sama siebie. Przytaknęła.

- Czy kiedykolwiek jeszcze miałaś takie przeczucia... czy raczej ostrzeżenia? Wzdrygnęła się, ale odparła z charakterystyczną dla niej pewnością siebie.

- Nie, ale jeśli mi się zdarzy, to tym razem ty polecisz. Ja nie chce. F'lar uśmiechnął się złośliwie.

- Niemniej jednak - dodała - chciałabym wiedzieć dlaczego i jak się to zdarzyło?

- Nigdy nie trafiłem na żadną wzmiankę o lataniu „pomiędzy" czasem - wyznał otwarcie F'lar. Oczywiście jeśli tylko tego dokonałaś, a niewątpliwie tak było - zapewnił pośpiesznie, widząc jak oburzona Lessa chce zaprotestować - to zapewne wszyscy możemy to zrobić. Powiadasz, że wyobraziłaś sobie Ruathe, ale taką jaką była tamtego szczególnego dnia. Nic dziwnego, że ten obraz tak mocno utrwalił się w twojej pamięci. Wyobrażałaś sobie wiosnę, porę dnia przed świtaniem, bez Gorącej Gwiazdy na niebie - tak, pamiętam, że o tym wspomniałaś - a zatem, aby powrócić „pomiędzy" czasem w przeszłość, należy zapamiętać cechy charakterystyczne dla danego minionego dnia.

Lessa przytaknęła z wolna w zamyśleniu.

- Za drugim razem użyłaś tej samej metody, aby powrócić do Ruathy sprzed trzech Obrotów. Oczywiście i tym razem była wiosna. - Zatarł dłonie, a następnie uderzywszy nimi wymownie kolana powstał z łóżka.

- Zaraz wrócę - rzucił krótko i ignorując jej protest wybiegł z komnaty.

Przechodząc ujrzał, jak Ramoth wierciła się na swym legowisku. Pomimo wyczerpujących ćwiczeń, które wykonała tego ranka, kolor jej skóry wskazywał na doskonałe samopoczucie. Spojrzała na niego oczami przypominającymi wielokrotnie oszlifowany klejnot, przysłoniętymi w tej chwili przejrzystymi wewnętrznymi powiekami.

Mnementh oczekiwał już na swego jeźdźca na skalnej półce przed wejściem do jaskini i w chwili gdy ten wskoczył na jego grzbiet, wystartował. Nabierał wysokości, kołując nad Gwiezdnym Kamieniem.

- *Zamierzasz spróbować sztuczki Lessy?* - spytał Mnementh, nie zaniepokojony perspektywą eksperymentu.

Flar poklepał czule ogromną, wygiętą szyje.

- *Chyba zrozumiałeś jak Lessie i Ramoth udało się to zrobić?*

- *Każdy by zrozumiał* - odparł Mnementh i wykonał ruch podobny do człowieka wzruszającego ramionami. - *W jaki punkt czasu polecimy?*

Do chwili, gdy padło to pytanie F'lar nie miał jeszcze żadnego pomysłu. Teraz jego myśl pobiegła w kierunku letniego dnia, w którym spiżowy Hath R'gula wzniósł się w godowym locie z groteskowo wyglądającą Nermoth, a R'gul został władcą Weyr w miejsce zmarłego ojca F'lara - F'lona.

Jedynie uczucie chłodu, tak charakterystyczne dla lotów „pomiędzy", wskazywało na przejście przez czas. Nadal kołowali ponad Gwiezdnym Kamieniem. F'lar zastanawiał się, czy przypadkiem nie zapomniał o jakimś niezbędnym elemencie koniecznym dla wykonania przejścia w czasie. Wtedy uświadomił sobie, że słońce stoi wysoko na niebie, a powietrze jest ciepłe i przesycone słodkim zapachem lata. Weyr był opustoszały. Nie dostrzegał ani leżących w słońcu na skalnych półkach smoków, ani też pracujących w dolinie kobiet. Do jego uszu dobiegł charczący śmiech zmieszany z wrzaskami i okrzykami a na tle całej tej wrzawy usłyszał ciche zawodzenie.

Wtedy z pomieszczeń zamieszkiwanych przez młodzież, w Jaskiniach Niższych, wyłoniły się dwie postacie - młodzieniec i młody spiżowy smok. Chłopak wyciągniętym ramieniem obejmował szyje smoka. Z ich zachowania przebijało silne przygnębienie. Zatrzymali się nad jeziorem. Chłopiec długo spoglądał w przejrzystą, błękitną otchłań wody, po czym uniósł głowę i patrzył w kierunku legowiska królowej.

Flar wiedział, że tym młodzieńcem jest on sam i serce jego zalała fala współczucia. Gdyby tak mógł zapewnić tego chłopca przepojonego w tej chwili żalem i nienawiścią, że nadejdzie dzień, w którym zostanie władcą Weyr.

Spłoszony własnymi myślami, F'lar polecił Mnementhowi dokonać transferu z powrotem. Niezwykły chłód „pomiędzy" trwał krótko, jak uderzenie w policzek i zamienił się w chłód zimowego powietrza, gdy tylko wypadli z „pomiędzy".

Mnementh poszybował powoli w kierunku legowiska królowej. Obydwaj - jeździec i smok - znajdowali się pod silnym wrażeniem tego co ujrzeli.

Spiżowe i złote
Wzlećcie wysoko w chwale,
Ratujcie Pern,
Unosząc jeźdźców wytrwale!
Odliczcie trzy miesiące,
Niech biegną upalne tygodnie.
Wkrótce nadejdzie dzień chwały
A po nim, za miesiąc - kto wie?
Srebrne pasmo na niebie,
Przeszywa puszyste obłoki,
Wiosna wszystko przyspiesza -
Stańcie do walki epoki!

- Zupełnie nie rozumiem dlaczego zaparłeś się, żeby F'nor odszukał i przyniósł te wszystkie śmiechu warte dokumenty z Ista Weyr - wykrzyknęła Lessa. - Zawierają same nieistotne informa-

cje, mówiące ilu miar ziarna używano do codziennego wypieku chleba.

F'lar, pochylony nad zapisanymi przed laty płachtami skór, podniósł na nią wzrok. Westchnął i odchylając się na krześle, przeciągnął się aż zatrzeszczały mu stawy.

- A ja myślałam - powiedziała Lessa, a na jej żywej, wąskiej twarzy odmalował się smutek - że te sędziwe kroniki będą stanowić całkowitą sumę wiedzy o smokach i ludzkiej mądrości. W każdym razie ktoś skłonił mnie do tej wiary.

F'lar zaśmiał się lekko.

- I stanowią, tylko należy e rozszyfrować. Lessa zmarszczyła nos.

- Phi! Cuchną jakbyśmy je... Jedyną rozsądną rzeczą byłoby je ponownie zakopać.

- Oto jest kolejna informacja, którą mam nadzieje znaleźć. Stara technika konserwacyjna, dzięki której nie sztywniały i nie psuły się.

- A w ogóle głupotą jest używać skór do pisania. Powinno się znaleźć coś lepszego. Mój miły władco, jesteśmy bardzo zacofani.

F'lar zaśmiał się głośno, a Lessa patrzyła nań niecierpliwie. Nagle poderwała się na równe nogi i powiedziała pośpiesznie:

- Tam niczego nie znajdziesz! Nie znajdziesz faktów, których szukasz. Ja wiem czego ty naprawdę szukasz, ale to nie jest nigdzie zapisane!

- Mów jaśniej!

- Najwyższy już czas, żebyśmy przestali ukrywać przed sobą te brutalną prawdę.

- To znaczy?

- Nasze wspólne przekonanie, że Gorąca Gwiazda stanowi zagrożenie i że Nici opadną! To jesz wytwór naszej próżności. Wymyśliwszy owo zagrożenie cofnęliśmy się w czasie do przełomowych dni w naszym życiu i natchnęliśmy siebie samych, odpowiednio młodszych, wiarą w to zjawisko. W twoim przypadku stało się to wtedy, gdy poczułeś swe przeznaczenie i zacząłeś wierzyć - jej głos przepełniony był szyderstwem - że pewnego dnia zostaniesz Władcą Weyr.

- A może jednak - kontynuowała z pogardą - nasz ultrakonserwatywny R'gul ma racje, że skoro w ostatnich czterystu Obrotach nie było Nici, to znaczy, że one już nie istnieją? I fakt, że mamy tak niewiele smoków spowodowany jest tym, że one same instynktownie czują, że nie są już potrzebne Pernowi? I my rzeczywiście jesteśmy anachronizmem i pasożytami?

- Wszystko jest możliwe, Lesso - F'lar usłyszał swoją spokojną odpowiedź. - Włączając w to nieprawdopodobny fakt, że jedenastoletnie dziecko, śmiertelnie przerażone, było w stanie zaplanować zemstę na mordercy swej rodziny i, mimo piętrzących się przed nim trudności, dokonało jej.

Zaskoczona jego ripostą, Lessa mimowolnie postąpiła krok do przodu. Słuchała go z uwagą.

- Wole myśleć - kontynuował uparcie - że sens życia polega na czymś więcej niż na hodowaniu smoków i odbywaniu wiosennych zawodów sportowych. To mi nie wystarcza. Udało mi się również skłonić innych, by widzieli coś więcej niż czubek własnego nosa i nie myśleli tylko o swojej wygodzie. Dałem im cel w życiu i wprowadziłem dyscyplinę. Wszyscy mają z tego korzyść - i smoki, i jeźdźcy.

Nie studiuje tych Kronik, by znaleźć usprawiedliwienie dla swych postępków. Szukam konkretnych faktów. Mogę udowodnić, moja droga, że Nici istniały. Mogę udowodnić, że w przerwach miedzy kolejnymi napadami Nici Weyry chyliły się ku upadkowi. Mogę też udowodnić, że gdy Gorąca Gwiazda wejdzie dokładnie w pole Skalnego Oka w okresie zimowego przesilenia dnia i nocy, oznacza to, że przechodzi wystarczająco blisko Pernu, aby rzucić swe Nici. Skoro wiec jestem w stanie udowodnić wszystkie te fakty, mam prawo wierzyć w niebezpieczeństwo wiszące nad Pernem. I wierze w to już nie jako chłopiec o piętnaście Obrotów młodszy. Wierze w to ja - F'lar, spiżowy jeździec i władca Weyr!

W oczach Lessy widać było jeszcze cień powątpiewania, ale F'lar czuł, że jego argumenty zaczynają ją przekonywać.

- Jakiś czas temu nie chciałaś wierzyć - mówił dalej łagodniejszym tonem - kiedy powiedziałem ci, że możesz zostać władczynią Weyr. W końcu uwierzyłaś i... - na dowód wskazał dłonią komnatę.

Uśmiechnęła się smutno.

- To wszystko dlatego, że do chwili, w której Fax padł martwy u mych stóp, nie zastanawiałam się co zrobię ze swym życiem po jego śmierci. Oczywiście, cudownie jest być partnerką Ramoth, ale - zmarszczyła brwi - to mi już nie wystarcza. To dlatego tak bardzo chciałam nauczyć się latać i...

- ...i od tego zaczął się nasz dzisiejszy spor - skończył za nią F'lar z uśmiechem.

- Ufaj mi Lesso tak długo, aż zdobędziesz argumenty, by mi nie wierzyć. Szanuję twoje wątpliwości. Nie ma nic złego w powątpiewaniu. Czasami prowadzi do jeszcze silniejszej wiary. Zaufaj mi jednak do wiosny. Jeśli do. tego czasu Nici nie opadną...

Przyglądała mu się bacznie przez dłuższą chwile i w końcu z namysłem skinęła głową.

F'!ar usiłował nie pokazać po sobie ulgi, jakiej doznał po jej decyzji. Lessa, doświadczył tego Fax, potrafiła być bezwzględnym przeciwnikiem, ale i sprytnym orędownikiem czyjejś sprawy. Poza tym była władczynią Weyr - niezbędną osobą w jego planach.

- Wróćmy do rozważenia informacji pochodzących z Kronik. Otóż mówią one o czasie, miejscu i okresie trwania nalotu Nici - tu uśmiechnął się chcąc potwierdzić wiarygodność swych słów. - Fakty te są niezbędne do opracowania rozkładu czasowego naszych działań.

- Rozkładu czasowego? Przecież mówiłeś, że nie wiesz kiedy nastąpi atak.

- Nie znam dnia, ale jedna rzecz jest pewna - dopóki utrzymuje się tak niezwykle niska temperatura powietrza, nawet jak na te porę roku, Nici po prostu kruszą się i rozsypują w pył. Są nieszkodliwe. Kiedy jednak powietrze ogrzeje się - ożywają i stają się... śmiercionośne - zacisnął obie dłonie w pieści, unosząc je tak, że jedna znajdowała się ponad drugą przylegając do niej skośnie. - Prawa pięść to Gorąca Gwiazda, lewa Pern. Gorąca Gwiazda obraca się bardzo szybko w przeciwnym kierunku niż nasza planeta. Chybocze się przy tym nieregularnie.

- Skąd to wiesz?

- Z wykresu na ścianie Wylęgarni w Fort Weyr. Jak wiesz, był to pierwszy Weyr.

- Wiem - Lessa uśmiechnęła się kwaśno.

- Kiedy Gwiazda przechodzi blisko nas, rzucone siłą odśrodkową Nici odrywają się od niej i spadają na nas w atakach trwających sześć godzin w odstępach około czternastu godzin.

- Ataki trwają sześć godzin? Flar przytaknął z powagą.

- Dzieje się tak, gdy Gorąca Gwiazda znajduje się najbliżej nas. W obecnej chwili zaczyna właśnie przejście.

Lessa zmarszczyła brwi.

F'lar zaczął pośpiesznie przeszukiwać skórzane płachty na stole i strącił niechcący jakiś przedmiot, który wydając metaliczny odgłos potoczył się po kamiennej posadzce.

O dziwo, Lessa natychmiast schyliła się, by go podnieść. Rozwinęła podniesiony cieniutki rulon i dotykając lekko palcem nieregularnego wzoru na jednej stronie spytała:

- Co to jest?

- Nie wiem. F'nor przywiózł to z Fort Weyr. To było przybite do jednej ze skrzyń, w których trzymano Kroniki. Przyniósł mi to myśląc, że to może być ważne. Powiedział, że na ścianie w Wylęgarni, tuż pod wykresem obrazującym ruch Gorącej Gwiazdy, znajduje się podobna do tego arkusza płytka.

- Pierwsza cześć tekstu jest zrozumiała: „Ojciec ojca matki, który odjechał na zawsze w „pomiędzy", powiedział, że to jest klucz do całej tajemnicy. Odkrył to, gdy konau: powiedział, że powiedział: Arhenius? Eureka! Mycorrhiza..." - naturalnie, ta ostatnia cześć jest zupełnie bez sensu - oświadczyła Lessa. Te trzy ostatnie słowa nie znaczą nic nawet w języku pernińskim - po prostu bełkot.

- Przestudiowałem to Lesso - odparł F'lar stukając palcem w metalowy arkusz, dla potwierdzenia swych wniosków. - Odjechać na zawsze w „pomiędzy", to znaczy umrzeć, czyż nie? Przecież nie odlatuje się tak po prostu. Jest to zatem wizja śmierci, sumiennie opisana przez prawnuka, który miał kłopoty z or-

tografią. „Konau” to nic innego jak czas przeszły od „konać” - uśmiechnął się pobłażliwie. -Jeśli zaś chodzi o dalszą część tekstu to, z wyjątkiem trójwyrazowego nonsensu, jak większość opisów śmierci „wyjaśnia” ona to, co wszyscy zawsze wiedzą. Czytaj dalej.

- „Miotając ogniste jaszczurki, by zniszczyć w zarodku Q.E-.D.”?

- Z tego zdania niewiele wynika. Z całą pewnością jest to prymitywna przechwałka, że jest jeźdźcem smoka. Nawet nie znał właściwego słowa „Nici” - Flar wzruszył ramionami wymownie.

Lessa koniuszkiem palca potarła linie tekstu, by stwierdzić, czy jest naniesiony jakimś atramentem. Gdyby udało się zetrzeć te pisaninę, ten błyszczący metal nadawałby się zupełnie dobrze na lustro. Tekst pozostał jednak nienaruszony.

- Byli prymitywni, czy też nie, ale dysponowali doskonałą techniką utrwalania swych wizji - lepsza nawet od dobrze zakonserwowanych skór - mruknęła.

- Dobrze zakonserwowany bełkot - odparł Flar i ponownie zabrał się do oglądania skór w poszukiwaniu zrozumiałych informacji.

- A może to nieudolnie ułożona ballada? - zastanowiła się Lessa, ale wkrótce porzuciła te myśl. Nawet wzór graficzny jest nieciekawy.

F’lar rozwinął przed sobą mapę z naniesionymi na rysunek masy kontynentalnej Pernu kolejno zachodzącymi na siebie poziomymi pasami.

- Spójrz - powiedział F’lar - ta mapa przedstawia fale kolejnych ataków, a ta - rozwinął drugi rulon z pionowo naniesionymi pasami - strefy czasowe. Można zatem dostrzec, że przy czternastogodzinnych przerwach pomiędzy atakami, tylko niektóre regiony Pernu są wystawione na zagrożenie ze strony Nici. To tylko jeden z powodów, dla którego Weyry zostały rozmieszczone w pewnych odstępach od siebie.

- Sześć pełnych Weyrów - wymamrotała Lessa. - Prawie trzy tysiące smoków.

- Znam te cyfry - odparł bezbarwnym głosem. - Chodziło o to, żeby żaden z nich nie był przeciążony w momencie największego naporu Nici. Nie znaczy to, że trzy tysiące smoków, to liczba niezbędna do odparcia ataku. Oceniając sytuacje na podstawie tych wykresów - powinniśmy sprostać zadaniu do momentu, w którym pierwsze potomstwo Ramoth osiągnie wiek dojrzały.

Spojrzała na niego cynicznie.

- Pokładasz ogromną wiarę w możliwości jednej królowej. W odpowiedzi F’lar niecierpliwie machnął dłonią.

- Jeszcze większą wiarę pokładam - i to niezależnie od tego co ty o tym myślisz - w zaskakującą powtarzalność wydarzeń, co wynika z Kronik.

- Ha!

- Lesso, przecież nie mam na myśli ilości mąki do wypieku chleba! - odparował podniesionym głosem. - Chodzi mi o informacje mówiące, że na przykład o takiej a takiej godzinie wystartował na patrol oddział w sile jednego skrzydła, jak długo trwało wykonanie zadania, ilu jeźdźców odniosło rany. Poza tym takie dane jak płodność królowych w pięćdziesięcioletnim okresie trwania Przejścia w porównaniu do płodności w interwałach miedzy Przejściami. Tak - Kroniki o tym mówią! Na podstawie moich studiów - tu wymownie uderzył dłonią w najbliższą stertę zakurzonych, cuchnących skór - stwierdzam, że Nermoth powinna była w okresie ostatnich dziesięciu Obrotów odbywać gody dwukrotnie w czasie jednego Obrotu. Niechby nawet za każdym razem składała te swoje nędzne dwanaście jaj, mielibyśmy teraz o dwieście czterdzieści smoków więcej... Nie przerywaj mi! Niestety, w Weyr panowała Jora i w okresie przypadającym na ostatni interwał trwający czterysta Obrotów popadliśmy w niełaskę mieszkańców całej planety. Tak..., a Ramoth złoży znacznie więcej niż dwanaście jaj i miedzy nimi będzie królewskie - zapamiętaj me słowa! Będzie często wznosie się w godowym locie i będzie miała liczne potomstwo. Do czasu, gdy Gorąca Gwiazda będzie blisko, a ataki staną się częste, będziemy gotowi!

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami z niedowierzaniem.

- Z jednej Ramoth?

- Z Ramoth i królowych, które się wyklują ze złożonych przez nią jaj. Pamiętaj o tym, że Kroniki mówią o królowej Faranth, która składała jednorazowo sześćdziesiąt jaj, a w tym kilka królewskich.

Lessa zdumiona pokręciła tylko głową.

„Srebrne pasmo na niebie
Przeszywa puszyste obłoki.
Wiosna wszystko przyspiesza -
Stańcie do walki epoki!”

- zacytował F’lar.

- Przecież upłynie jeszcze kilka tygodni zanim zacznie znosić jaja, a później trzeba poczekać na wykluwanie.

- Byłaś ostatnio w Wylęgarni? Trzeba tam zakładać buty. W sandałach poparzyłabyś sobie stopy. Udała, że nie słyszy. F’lar wyprostował się na krześle najwyraźniej rozbawiony jej niewiarą.

- Ponadto należy jeszcze wystawić młodzieńców do Doboru i poczekać, aż ci młodzi jeźdźcy... - kontynuowała Lessa.

- No a jak myślisz - dlaczego upierałem się, żeby poszukiwać starszych chłopców? Smoki dojrzewają znacznie szybciej niż ich jeźdźcy.

- Zatem system pozyskiwania jeźdźców jest wadliwy.

F’lar zmrużył lekko oczy i potrząsając trzymanym w dłoni i skierowanym w jej kierunku rylcem odparł:

- Tradycja jest niewątpliwie zbiorem metod postępowania. Przychodzi jednak taki czas, kiedy członek staje się nazbyt zatwardziałym tradycjonalistą - jak to ty ujęłaś? - jest zbyt zacofany? Owszem, to tradycja nakazuje wykorzystywanie dzieci wychowanych w Weyr, ponieważ jest to wygodne, albowiem rosnąc tu nabywają odpowiedniej wrażliwości niezbędnej w obcowaniu ze smokami. Nie oznacza to jednak, że jeźdźcy dorastający w Weyr są zawsze najlepsi. Weźmy za przykład ciebie...

- W żyłach rodu z Ruatha też płynie krew jeźdźców - odparła dumnie.

- Zgoda. Ale na przykład młody Naton; wywodzi się z rodu rzemieślników z Naboi, a jednak, jak twierdzi F’nor, potrafił nauczyć Cantha odczytywania swoich myśli.

- Och, przecież to wcale nie jest trudne - wtrąciła Lessa.

- Co przez to rozumiesz? - spytał zaskoczony tym stwierdzeniem F’lar.

W tym momencie usłyszeli ostry, przenikliwy skowyt. F’lar przez chwile wsłuchiwał się w skupieniu w ten odgłos, po czym wzruszywszy ramionami uśmiechnął się.

- Jakaś zielona samica znowu wabi samca.

- Proszę, oto kolejne zagadnienie, o którym nie ma ani słowa w tych twoich wszystkowiedzących Kronikach - dlaczego tylko złoty smok jest zdolny do reprodukcji?

F’lar nie próbował powstrzymać chichotu. .

- Po pierwsze dlatego, że ogniak pozbawia je płodności. Gdyby zielone smoki nigdy nie żuły ogniaka, mogłyby znosić jaja, a i tak z tych jaj wykluwałyby się malutkie smoki, a nam potrzeba dużych. Po drugie - kontynuował uśmiechając się figlarnie - gdyby tylko zielone smoki mogły się rozmnażać, to jeśli weźmiemy pod uwagę ich ilość w Weyr i ich miłosne ciągoty, w mgnieniu oka utonęlibyśmy w masie zielonych ciał.

Po pierwszym skowycie usłyszeli następny, a zaraz po nim rozległ się donośny pomruk odbijający sie echem od skalnych ścian Weyr. F’lar, którego twarz z zaskoczonego przybrała wyraz triumfu, wypadł na korytarz.

- Co się stało? - krzyknęła pytająco Lessa, unosząc w pośpiechu fałdy spódnicy, gotowa pobiec za nim. - Co to wszystko znaczy?

Pomruk, który wprawił w rezonans całe otoczenie, odbijał się ogłuszającym echem w pomieszczeniu, w którym zwykle spoczywała królowa. Lessa kątem oka spostrzegła nieobecność swego smoka. Na tle przypominającego dudnienie kotłów orkiestrowych pomruku, Lessa usłyszała ostre uderzenia butów F’lara, biegnącego korytarzem ku wyjściu.

Wszechobecny hałas przechodził z wolna w szarpiący nerwy, wysoki, niemal niedosłyszalny już ludzkim uchem pisk.

Zaszokowana i przerażona Lessa pobiegła za F'larem.

Zanim Lessa dopadła skalnego progu u wyjścia jaskini, w powietrzu, kłębiąc się, unosiły się już tłumnie smoki, lecące w kierunku górnego wyjścia Wylęgarni. Wszyscy mieszkańcy Weyr - jeźdźcy, kobiety i dzieci, krzyczące w podnieceniu, biegli gromadnie doliną ku jej niższemu wejściu.

Lessa przez moment dojrzała w tłumie F'lara. Krzyknęła, by na nią poczekał, lecz w panującym ogólnie zamieszaniu nie usłyszał jej. Zygzakowato zstępujące schody, po których zbiegła, prowadziły wzdłuż pastwiska w odległy kraniec doliny. Sapiąc z wysiłku, Lessa uświadomiła sobie, że ona - Władczyni Weyr - przybiegła na miejsce ostatnia.

Dlaczego Ramoth postanowiła okryć tajemnicą moment, w którym zacznie składać jaja? Czyż Lessa nie była dla niej najbliższą osobą, właśnie tą, która powinna być przy niej w tak ważnej chwili?

- *Smok wie jak ma się zachować* - spokojnie poinformowała ją Ramoth.

- *Mogłaś mi powiedzieć* - narzekała Lessa czując się znieważona.

To nieprawdopodobne - w tym samym czasie, kiedy F'lar roztaczał przed nią wizje licznego potomstwa Ramoth i mówił o trzech tysiącach smoków, ta nieznośna smocza dzierlatka już wychodziła naprzeciw jego oczekiwaniom!

Myśl o kolejnej uwadze F'lara dotyczącej temperatury podłoża w Wylęgarni, bynajmniej nie poprawiła jej humoru. Kiedy tylko postąpiła kilka kroków w głąb wysokiego jak góra pomieszczenia poczuła przez cienkie podeszwy sandałów palący żar.

Zgromadzeni tłumnie w odległym kącie jaskini ludzie ustawili się w falujący luźny krąg. Wszyscy, zapewne z uwagi na temperaturę podłoża, przestępowali z nogi na nogę. Dla niskiej Lessy, falujący tłum stanowił prawdziwą zaporę, uniemożliwiającą zobaczenie tego, czego dokonała Ramoth.

- Przepuśćcie mnie! - zażądała władczo, okładając piąstkami szerokie plecy dwóch wysokich jeźdźców.

Tłum niechętnie rozstąpił się przed nią, a Lessa nie patrząc na podekscytowaną gawiedź, przebiła sie przez pierścień ludzkich ciał. Była wściekła, zmieszana i urażona. Wiedziała, że wygląda zabawnie, stawiając szybkie, drobne kroczki po gorącym piasku.

W końcu zatrzymała się z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Oszołomiona ilością jaj, które zobaczyła, zapomniała o tak nieważnej sprawie, jaką były parzące stopy.

Ramoth leżała zwinięta w kłębek wokół jaj, które złożyła. Z jej postawy biło ogromne zadowolenie z siebie. Poruszała stale skrzydłem opiekuńczo zakrywając stertę jaj tak, że trudno było je policzyć.

- *Przecież nikt ci ich nie ukradnie, ty głupiutka. Przestań się zatem wiercić.* - przekonywała ją Lessa próbując oszacować liczbę jaj.

Ramoth posłusznie złożyła skrzydła, aczkolwiek dając wyraz swoim macierzyńskim niepokojom, wężowym ruchem uniosła swój łeb ponad rozżarzone, cetkowane jaja i rozglądając się bacznie po jaskini błyskawicznie wypuszczała i chowała rozwidlony jeżyk.

Jak podmuch wiatru, przez pomieszczenie przebiegło nagłe westchnienie dobywające się z piersi zgromadzonych. Teraz, gdy Ramoth złożyła skrzydła ujrzano, jak pomiędzy wieloma nakrapianymi jajami błyszczy jedno złociste -jajo królewskie!

- Jajo królewskie! - pięćdziesiąt gardeł jednocześnie wydało okrzyk. Pomieszczenie wylęgarni rozdzwoniło się zaraz okrzykami radości i wiwatami.

Ktoś poderwał Lesse do góry, zatoczył nią krąg w powietrzu i złożył pocałunek tuż przy jej ustach. Zaledwie stanęła na ziemi, ktoś inny, chyba Manora, uściskała ją radośnie. Następnie szturchana i uderzana przez tłum wpadła w wir gratulujących sobie nawzajem ludzi. W końcu wypadła z tego szalonego tańca, przynosząc tym samym ulgę swym coraz bardziej piekącym stopom.

Wyzwoliwszy się z tłumu pobiegła do Ramoth, zatrzymując się gwałtownie przed stertą jaj. Wydawały się pulsować. Ich skorupki wyglądały na bardzo miękkie. Mogłaby przysiąc, że w dniu Doboru, kiedy związała się z Ramoth, skorupy tamtych jaj były twarde. Chciała ich teraz dotknąć, żeby się przekonać, ale nie śmiała tego uczynić.

- *Możesz ich dotknąć* - zapewniła ją protekcjonalnie Ramoth. Swym jeżykiem delikatnie dotknęła ramienia Lessy.

Jajo było miękkie w dotyku i Lessa szybko wycofała rękę obawiając się, że może je uszkodzić.

- *Stwardnieją od gorąca* - powiedziała Ramoth.

- Ramoth, jestem z ciebie taka dumna - westchnęła Lessa, spoglądając z miłością w ogromne oczy mieniące się z zadowolenia wszystkimi kolorami tęczy. -Jesteś najwspanialszą królową, jaka kiedykolwiek istniała. Teraz naprawdę wierze już, że dzięki tobie wszystkie Weyry zapełnią się smokami. Wierze, że tego dokonasz.

Ramoth skłoniła się z królewską godnością, a następnie zaczęła kołysać łbem to w jedną to w drugą stronę ponad złożonymi jajami w instynktownej trosce o ich bezpieczeństwo. Nagle zasyczała, powstała z przysiadu i bijąc powietrze skrzydłami złożyła w piach jeszcze jedno jajo.

Zgromadzeni mieszkańcy Weyr, którym gorący piach mocno już parzył stopy, złożywszy należny hołd Ramoth za wydanie złocistego jaja, zaczęli stopniowo opuszczać wylęgarnie. Dalsze czekanie nie miało zresztą sensu, bowiem składanie jaj trwało zwykle kilkanaście dni. Wokół najważniejszego - złocistego jaja leżało już siedem innych, a jeśli do tej pory było ich aż siedem, należało przypuszczać, że końcowa, pełna liczba będzie imponująca. Kiedy Ramoth zniosła dziewiąte cętkowane jajo zaczęto już przyjmować zakłady co do całkowitej ich sumy.

- Klnę się na swą matkę, dokładnie tak jak przewidziałem - królewskie jajo - Lessa usłyszała głos Flara przy swoim uchu. Jestem gotów pójść o zakład, że będzie przynajmniej dziesięć spiżowych.

Podniosła wzrok. W tym momencie zapanowała miedzy nimi pełna harmonia. Lessa widziała, jak Mnementh przykucnął dumnie u wejścia do wylęgarni i czule patrzył na swą partnerkę. Pod wpływem impulsu Lessa położyła swą dłoń na ramieniu F'lara.

- F'lar, już ci wierze.

- Dopiero teraz? - przekomarzał się, ale na twarz wypłynął mu szeroki uśmiech, a z oczu biła duma.

O ile rozkazy Flara w okresie następnych miesięcy były przedmiotem tak zażartych dyskusji, jak i szemrania po kątach, dla Lessy stanowiły one jedynie logiczny wynik jej wspólnych rozważań z F'larem od czasu, gdy Ramoth złożyła swe ostatnie, czterdzieste pierwsze jajo.

F'lar odrzucał nakazane tradycją zwyczaje, depcząc zwłaszcza wszelkie poglądy, które były jeszcze bardziej konserwatywne od tych, których wyznawcą był R'gul.

Wiedziona głęboką niechęcią do wyświechtanych doktryn reprezentowanych przez R'gula, które w trakcie panowania F'lara otwarcie zwalczała oraz z szacunku dla inteligencji F'lara, Lessa udzieliła władcy Weyr swego pełnego poparcia. Mogła teraz zapomnieć o swej obietnicy, że zaufa mu na razie tylko do wiosny i zobaczy, czy jego przepowiednie się sprawdzą. Zrozumiała, że jego prognozy nie opierały się na zwykłych przeczuciach, na których zresztą od dnia podróży w czasie przestała polegać, lecz na solidnych informacjach odnalezionych w archiwalnych zapisach.

Kiedy tylko skorupy jaj stwardniały, a Ramoth wytoczyła na bok ze sterty cetkowanych jaj swe jedyne - królewskie, by otoczyć je troskliwszą opieką, F'lar wprowadził przyszłych jeźdźców do wylęgarni. Tradycja nakazywała, żeby kandydatom na jeźdźców zezwolono zobaczyć smocze jaja dopiero w dniu Doboru. F'lar złamał ten nakaz i dodał doń jeszcze inne precedensy - tylko kilku z sześćdziesięciu kandydatów wychowało się w Weyr i większość z nich dopiero zbliżała się do pełnoletniości. Kandydaci dostali czas na to, by oswoić się z widokiem smoczych jaj.

Pozwolono im dotykać i głaskać ich skorupy, a wszystko po to, żeby zaszczepić w nich miłą świadomość, że wkrótce z tych jaj wyklują się młode smoki, niecierpliwie oczekujące na akt Doboru. F'lar czuł, że ta nowa metoda pozwoli zmniejszyć ilość ofiar wśród młodzieńców, bowiem dotychczas jeźdźcy, często sparaliżowani strachem na widok wykluwających się smocząt, nie zdążali na czas uskoczyć przed niezdarnie stąpającymi gada-

mi i ginęli zmiażdżeni ich ciężarem.

F'lar poprosił Lesse, aby przekonała Ramoth, że do jej cennego złotego jaja należy dopuście Kylare. Kylara ochoczo porzuciła opiekę nad swym własnym dzieckiem, by pod okiem Lessy spędzać całe godziny przy królewskim jaju. Kylara mimo swojego, skądinąd luźnego związku z Tborem, nadzwyczaj chętnie przebywała w towarzystwie F'lara. Widząc to Lessa, robiła wszystko, żeby wprowadzić w życie plan F'lara, dotyczący przyszłości Kylary, albowiem uwieńczeniem jej wysiłków byłoby przeniesienie Kylary wraz z nowo wyklutą królową do Fort Weyr.

Fakt, że F'lar dopuścił do Doboru chłopców spoza Weyr miał służyć jeszcze jednemu celowi. Niedługo przed dniem Wyklucia i Doboru, Lytol - mianowany strażnikiem w majątku Ruatha, przesłał do Weyr wiadomość.

- Ten człowiek najwyraźniej lubuje się w przysyłaniu hiobowych wieści - wtrąciła Lessa, przeczytawszy pisany na skórze list, wręczony jej przez F'lara.

- To ponurak - zgodził się F'nor, który przyniósł przed chwilą list od Lytola. - Szczerze współczuje temu młodzieńcowi, że musi obcować z takim pesymistą.

Lessa spojrzała na niego z dezaprobatą. Nadal drażniła ją choćby wzmianka o synu Faxa i Gemmy Jaxomie, który władał obecnie posiadłością, należącą od niedawna do jej rodu.

Aczkolwiek... skoro niechcący spowodowała śmierć jego matki, a Lessa sama nie mogła być jednocześnie panią majątku i władczynią Weyr, to może i lepiej, że Jaxom jest panem w Ruatha.

- Mimo wszystko - powiedział F'lar - jestem wdzięczny za jego ostrzeżenia. Już wcześniej podejrzewałem, że Meron znowu będzie snuł intrygi.

- Ma fałszywe spojrzenie, jak Fax - zauważyła Lessa.

- Fałszywe czy nie, jest na pewno niebezpieczny - odparł F'lar. - Nie mogę dopuście do tego, żeby nadal rozpowszechniał plotki, iż celowo wybieramy na jeźdźców młodzieńców, w których żyłach płynie błękitna krew po to, by osłabić wieży rodzinne wśród arystokracji.

- Na dobrą sprawę, przeważającą liczbę tej młodzieży stanowią przecież synowie rzemieślników wtrącił z oburzeniem F'nor.

- Wcale mi się nie podoba, że stale podaje w wątpliwość fakt pojawienia się Nici - dodała Lessa z zatroskaniem.

F'lar wzruszył ramionami.

- Pojawią się we właściwym czasie. Zimowa aura nam sprzyja i cieszmy się z tego. Kiedy się ociepli, a Nici się nie pojawią, wtedy bede miał powód do zmartwienia - uśmiechnął się do Lessy. Ona jedna wiedziała co ten uśmiech wyraża.

F'nor chrząknął i dyskretnie odwrócił wzrok.

- Tak czy owak - dodał wkrótce F'lar - chyba wiem jak odeprzeć ten pierwszy zarzut.

I kiedy tylko stało się oczywiste, że lada dzień młode smoki zaczną się wykluwać z jaj, F'lar złamał kolejną wielowiekową tradycje i wysłał jeźdźców z poleceniem sprowadzenia do Weyr ojców kandydatów na jeźdźców - tak arystokratów jak i rzemieślników. Ogromna jaskinia, w której mieściła się wylęgarnia, była wypełniona niemal po brzegi mieszkańcami Weyr i przybyszami z osad, którzy stojąc na pomostach wzdłuż ścian groty obserwowali rozgrzane klepisko. Lessa zaobserwowała fakt, że tym razem wykluwaniu się smoków nie towarzyszyła typowa dla tego aktu atmosfera strachu. Owszem, młodzi kandydaci byli bardzo napięci, ale widok kołyszących się., pękających jaj nie pozbawił ich przytomności umysłu. Kiedy smoczęta niezgrabnie wykonywały pierwsze nieskoordynowane jeszcze kroki - Lessa odniosła wrażenie, że rozglądając się wokół próbują odnaleźć właśnie tych młodzieńców, którzy sie nimi opiekowali przed wykluciem - kandydaci na jeźdźców sprawnie uskakiwali im z drogi, a następnie ochoczo, już pojedynczo, zbliżali się do smoków, które śpiewnym zawodzeniem oznajmiały dokonanie wyboru swego jeźdźca. Dobór następował szybko i tym razem obyło się bez wypadków. „Trochę za szybko" - pomyślała Lessa, patrząc jak potykające się smoczęta i ich dumni nowi jeźdźcy nieskładnie opuszczali jaskinie lęgową, udając się do koszar.

Młoda królowa wyskoczyła ze skorupy i skierowała się bez namysłu prosto do Kyłary, stojącej pewnie na gorącym piachu. Obserwując to smoczęta zamruczały z aprobatą.

- Wszystko to nastąpiło za szybko - powiedziała Lessa rozczarowana, gdy wieczorem rozmawiała z F'larem.

Wybuchnął szczerym śmiechem. Teraz, gdy kolejny element jego planu został pomyślnie zrealizowany, mógł sobie pozwolić na jakże nieczęstą chwile odpoczynku.

Zaproszeni goście, oszołomieni niecodziennym spektaklem i pozostający pod wrażeniem, jakie zrobił na nich Weyr i jego władca, zostali rozwiezieni do domów.

- Tak ci się wydaje, gdyż tym razem byłaś tylko obserwatorem - odparł, odgarniając kosmyk włosów z jej czoła, bowiem zasłaniał mu jej profil.

Zaśmiał się ponownie i zaczął:

- Zobacz Natona...

- N'tona - poprawiła go.

- Słusznie, N'tona. Dobrał się w parę ze spiżowym smokiem.

- Tak jak przewidywałeś - wtrąciła z odrobiną szorstkości.

- A Kylara dobrała się ze złotą Pridith - zaśmiał się.

Lessa nie skomentowała tej uwagi, starając się jednocześnie zignorować jego śmiech.

- Zastanawiam się, który ze spiżowych smoków odbędzie z Pridith gody - mruknął pod nosem.

- Najlepiej by się stało, gdyby to był Orth - smok Tbora - odparła Lessa próbując ukryć emocje.

Zgiń pyle, czarny pyle
Z wrogiej Gorącej Gwiazdy.
Zgiń pyle, kosmiczny pyle
Legnij w lodowej mogile.

Lessa zbudziła się nagle. Z umysłu jej ulatywały, wymykając się pamięci ostatnie sceny nocnego koszmaru. Ból rozsadzał jej głowę, w ustach czuła suchość, wzrok miała zamglony. Odgarnęła włosy z twarzy, stwierdzając ze zdumieniem, że cała jest mokra od potu.

- F'lar? - krzyknęła niepewnie. Z całą pewnością musiał wstać wcześniej. - F'lar! - krzyknęła ponownie, głośniej.

- *Już idzie* - poinformował ją Mnementh. Lessa czuła, że smok ląduje właśnie na progu jaskini, Dotknęła Ramoth i zobaczyła, że królową również męczyły bezkształtne, przerażające sny. Smok zbudził się na chwile, po czym zapadł w głęboki sen.

Z uczuciem wewnętrznego niepokoju, spowodowanym nocną zmorą, Lessa wstała z posłania i ubrała sie, rezygnując po raz pierwszy od czasu przybycia do Weyr z kąpieli.

Opuściła windę kuchenną po śniadanie i wykorzystując chwile oczekiwania zręcznymi palcami splotła włosy w warkocz.

W chwili kiedy w okienku windy pojawiła się taca z posiłkiem, do izby wszedł F'lar. Patrząc w tył przez ramię, uważnie obserwował Ramoth.

- Co ją ugryzło?

- Śniła mój sen. Obudziłam się zlana zimnym potem.

- Spałaś zupełnie spokojnie, gdy wychodziłem przydzielić zadania patrolowe. Wiesz, te smoczęta głośną tak szybko, że już potrafią latać na nieduże odległości. Wszystko co mają teraz do roboty, to dużo jeść i spać i tego właśnie potrzeba smokowi, żeby...

- ... szybko rósł - skończyła za niego Lessa i zamyśliwszy się popijała swój gorący, parujący klah. Zamierzasz pewnie bardzo rygorystycznie egzekwować znajomość procedury lotów, prawda?- Chodzi ci o zapobieganie nieumyślnym lotom „pomiędzy" czasem?

- Stanowczo tak - zapewnił. - Nie chce, żeby znudzeni jeźdźcy nieodpowiedzialnie wskakiwali i wylatywali sobie z „pomiędzy" - posłał jej przeciągłe, surowe spojrzenie.

- Cóż, to nie była moja wina. Nikt nie zaczął mnie uczyć odpowiednio wcześnie - odpowiedziała słodkim głosem, jak zawsze, gdy chciała być szczególnie złośliwa. - Gdyby zaczęto mnie uczyć procedury lotów już od dnia Doboru, zanim wykonałam pierwszy lot, nigdy nie odkryłabym tego tricku.

- To prawda - odparł poważnie F'lar.

- Wiesz F'lar, jeśli ja to odkryłam, to zapewne ktoś inny też to już zrobił, a mogą wkrótce dokonać tego i pozostali. Jeśli już tego nie dokonali.

F'lar, któremu gorący klah parzył jeżyk, wykrzywił twarz.

- Nie wiem jak to dyskretnie zbadać. Byłoby głupotą z naszej strony przypuszczać, że byliśmy pierwsi, którzy polecieli „pomiędzy" czasem. W końcu smoki są w stanie podróżować w czasie, inaczej nigdy „.nie wykonałabyś swego lotu w przeszłość.

Zmarszczyła brwi, wzięła krótki oddech, a następnie westchnęła wzruszając ramionami.

- Śmiało. Mów - zachęcił.

- Czyż jednak nie jest prawdopodobne, że nasze przekonanie o nadciągającym ataku Nici wywodzi sie z tego, że któreś z nas wróciło już kiedyś przypadkiem z „pomiędzy" w dniu kiedy Nici już faktycznie nacierały. Chodzi mi o to, że...

- Moja droga, przecież analizowaliśmy dotychczas nasze wszystkie przypadkowe myśli i czyny tak długo, aż nasze przeczucia zostały poparte niepodważalnymi dowodami. Nie możemy opierać się. jedynie na przeczuciach i niezwykłych stanach naszego ducha. Na przykład dziś rano wytrącił cie z równowagi zwykły sen, a było to spowodowane niewątpliwie zbyt dużą ilością wina, które wypiłaś wieczorem.

- Jednakże nie mogę pozbyć się myśli, że ta zdolność poruszania się w czasie ma podstawowe znaczenie - odparła z naciskiem.

- I takie przeczucie, moja droga pani, jest ze wszech miar słuszne.

- Dlaczego?

- Nie - dlaczego - poprawił ją tajemniczo - ale kiedy.

Jakiś niejasny pomysł zaświtał mu w głowie. Usiłował zebrać myśli. W tym momencie Mnementh poinformował go, że F'nor wchodzi do jaskini.

- Co się z tobą dzieje - zapytał F'lar, widząc jak F'nor z czerwoną od paroksyzmu twarzą dusi się w napadach kaszlu.

- Kurz... - odkaszlnął, otrzepując rękawy i kurtkę swymi jeździeckimi rękawicami. - Mnóstwo kurzu i ani śladu Nici - powiedział zatoczywszy wyciągniętą ręką szeroki łuk. Otarł swe obcisłe, skórzane spodnie i przyglądał się z nachmurzoną miną unoszącemu się w powietrzu czarnemu pyłowi.

F'lar obserwując opadający na podłogę pył, poczuł jak tężeją mu wszystkie mięśnie.

- Gdzie się tak zakurzyłeś? - spytał.

F'nor spojrzał na niego z lekkim zdziwieniem.

- Patrol meteo w Tillek. Cała północ dotknięta jest ostatnio burzami pyłowymi. Ale przyszedłem po to, żeby... - przerwał zaskoczony nienaturalnym bezruchem F'lara. - Czyżby ten pyl coś znaczył? - spytał zbity z tropu.

F'lar okręcił się na piecie i rzucił się ku schodom prowadzącym do Archiwum. Lessa pobiegła tuż za nim, aż wreszcie z pewną zwłoką ruszył za nimi F'nor.

- Powiedziałeś, w Tillek? - spytał gorączkowo swego zastępcę. Oczyścił stół ze stert dokumentów, robiąc miejsce dla czterech map, które rozłożył na blacie.

- Od jak dawna trwają te burze? Dlaczego nic o nich nie meldowałeś?

- Meldować o burzach pyłowych? Chciałeś znać ruchy mas ciepłego powietrza.

- Od jak dawna trwają te burze? - głos F'lara wdarł się sucho.

- Prawie od tygodnia.

- Dokładniej!

- Sześć dni temu pierwsza burza została zaobserwowana w górnym Tillek. Otrzymałem raport o wystąpieniu burz w Bitra, Górnym Telgar, Crom i na Płaskowyżu - meldował zwięźle F'nor.

F'nor spojrzał na Lesse w nadziei, że być może ona wyjaśni mu o co chodzi, ale ona także oglądała cztery niezwykłe mapy. Starał się pojąć, dlaczego pionowe i poziome pasy zostały naniesione ma masy lądowe Pernu, ale nic z tego nie rozumiał.

F'lar pośpiesznie robił jakieś notatki, odpychając od siebie najpierw jedną, a później drugą mapę.

- Za dużo spraw na raz, żeby można było myśleć logicznie, właściwie przewidywać, rozumieć warknął F'lor zły na siebie i w gniewie cisnął rylec na stół.

- Ale mówiłeś tylko o masach ciepłego powietrza - F'nor tłumaczył pokornie, czując, że sprawił zawód swemu dowódcy.

F'lar niecierpliwie pokręcił głową.

- To nie twoja wina F'nor. Moja. Powinienem był cie o to zapytać. Wiedziałem, że mamy szczęście, iż utrzymuje się tak niska temperatura. - Położył obie dłonie na ramionach F'nora i spoglądając mu prosto w oczy oświadczył posępnie. - Nici już nas zaatakowały. Spadając w zimne powietrze zamarzają, rozpadają się na kawałki i w formie ziarenek czarnego pyłu unoszą się z wiatrem.

- „Zgiń pyle, czarny pyle" - zacytowała Lessa. - W „Balladzie o przejażdżce Morety" cały refren mówi o czarnym pyle.

- Nie przypominaj mi teraz o Morecie - burknął F'lar, pochylając się nad mapami. - Ona umiała rozmawiać ze wszystkimi smokami w Weyr.

- Ja też to potrafię - powiedziała Lessa.

Powoli, jakby nie wierzył własnym uszom, F'lar odwrócił się do Lessy.

- Co ty powiedziałaś?

- Powiedziałam, że umiem porozumieć się z każdym smokiem w Weyr.

Stale patrząc na nią i mrugając oczami w osłupieniu, F'lar usiadł z wolna na krawędzi stołu.

- Od jak dawna? - wykrztusił - posiadasz tą szczególną umiejętność?

- jja... ja zawsze to umiałam. Zaczęło się od A-lerta w Ruatha - wyciągnęła niezdecydowanym gestem rejke w zachodnim kierunku, gdzie położona była osada. - W Ruatha rozmawiałam z Mnementhem. A kiedy przybyłam tutaj, okazało się, że mogę... - jej głos załamał się.

F'lar patrzył na nią chłodnym, twardym spojrzeniem pełnym pretensji.

- Myślałem, że zgodziłaś się zaufać i pomagać mi.

- Jest mi naprawdę bardzo przykro, F'lar. Nigdy nie sądziłam, że to się może do czegoś przydać, ale jeśli...

- Jedyny problem, z którym zupełnie nie wiedziałem jak sobie poradzić, dotyczył łączności. Zastanawiałem się jak prowadząc skrzydła jeźdźców do ataku mogę jednocześnie utrzymywać kontakt z Weyr. A tymczasem ty... ty siedziałaś tutaj, złośliwie ukrywając swoją umiejętność.

- Nie jestem złośliwa! - wrzasnęła na Flara. - Powiedziałam, że jest mi przykro. I tak jest naprawdę. Ale ty masz paskudny, egoistyczny zwyczaj podejmowania decyzji bez pytania innych o zdanie! Skąd miałam wiedzieć, że ty nie posiadasz identycznej umiejętności? Jesteś przecież Flarem, władcą Weyr potrafisz przecież wszystko! Jesteś tak samo podły jak R'gul, ponieważ nie mówisz mi nawet połowy rzeczy, o których powinnam wiedzieć...

Flar skoczył ku niej i potrząsał nią tak długo, aż ucichła.

- Wystarczy. Nie możemy marnować czasu, kłócąc się jak dzieci. - Marnować czas? Czas!

- Skok „pomiędzy" czasem? - spytała podniecona.

- „Pomiędzy" czasem!

F'nor był zupełnie zdezorientowany.

- O czym wy oboje mówicie!?

- O świcie w Nerat zaczęły opadać Nici - odparł Flar pewnie, z błyskiem w oku.

O świcie w Nerat? Wszystkie uprawy winorośli w tym rejonie ulegną zniszczeniu. Czuł jak na myśl o niebezpieczeństwie w krwiobieg wdziera się fala adrenaliny.

- A zatem udajemy się tam „pomiędzy" czasem i znajdziemy się tam wtedy, gdy Nici zaczną opadać, to jest dwie godziny temu. F'nor, smoki potrafią się przenieść nie tylko tam dokąd chcemy, ale i kiedy chcemy.

- Gdzie? Kiedy? - powtórzył F'nor oszołomiony. - To może być niebezpieczne.

- Tak, ale w ten sposób ocalimy dziś Nerat. A teraz Lesso - F'lar ponownie nią potrząsnął, tym razem dając w ten sposób wyraz swej miłości i dumy z jej niezwykłych zdolności - daj rozkaz wyjścia do boju wszystkim smokom - młodym, starym, wszystkim, które mogą latać. Przekaż im, żeby załadowały do pełna worki z ogniakiem. Nie wiem, czy potrafisz porozumieć się z nimi pokonując barierę czasu...

- W moim śnie dziś rano...

- Możliwe. Na razie postaw cały Weyr na nogi. - Odwrócił się do F'nora. -Jeśli Nici opadają... opadły... w Nerat o świcie, to zgodnie z mapą ilustrującą godziny i miesiące ich ataku lada

chwila zaczną opadać na Keroon i Ista. Weź dwa skrzydła jeźdźców do Keroon. Zaalarmujcie wszystkich mieszkańców równiny. Niech rozpalają ogniska. Weź kilku młodych jeźdźców ze sobą i wyślij ich dalej do Ista i Ingen. Te regiony nie stają jeszcze w obliczu niebezpieczeństwa tak blisko jak Keroon. Przyjdę ci z pomocą tak szybko jak zdołam. I niech twój Canth utrzymuje stały kontakt z Lessą.

Flar poklepał swego brata po plecach i kazał się odmeldować. Brązowy jeździec przyzwyczajony do wypełniania rozkazów nie zamierzał dyskutować ze swym dowódcą i oddalił się bez słowa.

- Mnementh mówi, że R'gul jest dziś oficerem dyżurnym, i że jako taki chce wiedzieć... - zaczęła Lessa.

- Naprzód dziewczyno! - przerwał jej Flar z błyskiem podniecenia w oczach.

Schwycił mapy i popychając Lesse przed sobą wbiegł po schodach do pomieszczenia mieszkalnego.

Zaledwie znaleźli się w izbie, kiedy w drzwiach ukazał się R'gul z Tsumem. R'gul narzekał na konieczność tak gwałtownego stawienia się przed dowódcą.

- Hath kaZał mi się zameldować - skarżył się R'gul. - To niebywałe, żeby mój własny smok...

- R'gul, T'sum, postawić swoje skrzydła w stan gotowości bojowej. Wyposażyć je w taką ilość ogniaka, jaką zdołają udźwignąć i wyprowadzić w szyku nad Gwiezdny Kamień. Dołączę do was za kilka minut! Lecimy do Nerat o świcie.

- Do Nerat? Jestem oficerem obserwacyjnym, a nie patrolowym...

- To nie jest patrol - przerwał mu F'lar.

- Ale, wodzu - T'sum otworzył szeroko oczy ze zdumienia - świt w Nerat miał miejsce dwie godziny temu, tak jak i u nas.

- I przybędziemy tam dwie godziny temu, mój drogi brązowy jeźdźcu. Odkryliśmy, że smoki mogą sie poruszać nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. O świcie Nici spadły na Nerat. Lecimy tam „pomiędzy"; cofając się równocześnie w czasie, aby je spalić w powietrzu zanim spadną na ziemie.

F'lar nie zwracał najmniejszej uwagi na R'gula, który zacinając się z wrażenia, żądał dodatkowych wyjaśnień. Tymczasem T'sum, chwyciwszy z ziemi worki na ogniak, popędził do swego Muntha, który czekał na niego na progu u wyjścia.

- Na co czekasz, stary durniu - krzyknęła Lessa gniewnie do R'gula. - Nici zaatakowały. Myliłeś się. A teraz zachowuj się jak na jeźdźca przystało! A jak nie, to leć w „pomiędzy" i już tam zostań.

Obudzona na skutek ogłoszonego alarmu Ramoth szturchnęła R'gula swą wielką, sięgającą rozmiarów człowieka, głową.

Eks-władca Weyr otrząsnął się natychmiast z chwilowego szoku i bez słowa pobiegł za T'sumem.

F'lar wrzucił na siebie swój ciężki skórzany mundur i naciągnął jeździeckie buty.

- Lesso, pamiętaj, żeby zawiadomić wszystkie osady. Ten atak skończy się za mniej więcej cztery godziny, a wiec nie sięgnie dalej na zachód niż do Ista. Jednak chce, żeby cala arystokracja i wszyscy mieszkańcy zostali ostrzeżeni o niebezpieczeństwie.

Skinęła głową, z oczami utkwionymi w jego usta, jakby nie chciała uronić ani jednego słowa z jego poleceń.

- Na szczęście Gwiazda dopiero zaczyna przejście , a zatem przez kilka dni nie będziemy musieli obawiać się następnego ataku. Jak tylko wrócę, oblicze kiedy to nastąpi. Wydaj rozkaz Manorze, żeby zorganizowała pomoc kobiet. Będziemy potrzebowali wielu wiader maści. Smoki będą zapewne boleśnie poranione od uderzeń Nici. I teraz sprawa najistotniejsza. Jeśli nie wrócimy, pamiętaj, że spiżowy smok musi osiągnąć wiek przynajmniej roku, żeby można go było skojarzyć z Ramoth.

- Mnementh będzie jej partnerem, żaden inny! - krzyknęła, a oczy jej błysnęły dziko.

F'lar przycisnął ją mocno do siebie, rozgniatając jej usta w pocałunku, jakby chciał wyssać całą ich słodycz i moc i zabrać ją ze sobą. Puścił ją tak gwałtownie, że zatoczyła się, opierając się o opuszczoną głowę Ramoth. Na moment przylgnęła do niej, szukając oparcia i uspokojenia.

- Żaden inny, o ile Mnementh mnie złapie - poprawiła Ramoth zarozumiale.

Atak - unik, atak - unik
Albo życie, albo śmierć.
Skaczcie „pomiędzy"
Niebieskie, zielone.
Palcie, nurkujcie
Spiżowe, brązowe.
Kiedy Nici są na niebie,
Pernie!
Twoi jeźdźcy bronią Ciebie!

F'lar popędził korytarzem w kierunku wyjścia. Przytroczone do pasa worki na ogniak obijały mu sie w biegu o uda. Po drodze myślał o tym, jaką nieocenioną wartość zyskały w tej chwili wszystkie nudne loty patrolowe, które w swoim czasie wykonywał nad każdą z posiadłości ziemskich, każdym z zakątków Pernu. W myśli widział dokładnie teren Neratu. Wyobrażał sobie charakterystyczny dla pokrywającej Nerat winorośli bujny, wielopłatkowy kwiatostan, kwitnący o tej właśnie porze roku. W pierwszych promieniach porannego słońca kwiaty o kolorze kości słoniowej zabłysną na tle wysokiej, szerokolistnej uprawy jak oczy smoka.

Mnementh z błyskiem podniecenia w ślepiach niespokojnie machał skrzydłami, unosząc się w powietrzu nad skalnym progiem u wyjścia z jaskini. F'lar odbił się od ziemi i dosiadł swego smoka, obejmując mocno jego spiżową szyje. Powietrze roiło się od różnokolorowych smoków; słychać było okrzyki i komendy. Mimo napiętej atmosfery towarzyszącej temu niejako uporządkowanemu bałaganowi, F'lar nie zauważył ani śladu paniki w zachowaniu swych podwładnych. Co chwila następne smoki dosiadane przez swych jeźdźców wydostawały się na zewnątrz z jaskiń położonych w skalnym masywie Weyr i wzbijały się w powietrze. Kobiety biegały tam i z powrotem miedzy Jaskiniami Niższymi. Dzieci, które bawiły się nad brzegiem jeziora, wysłano do lasu po drzewo na ogniska. Młodzi jeźdźcy pod dowództwem starego Cgana formowali szyk bojowy przed koszarami. F'lar popatrzył w górę w kierunku szczytu i z zadowoleniem stwierdził, że oddziały jeźdźców uformowały już w powietrzu regulaminowy szyk bojowy. Ujrzał jeszcze jedno grupujące się skrzydło i zaledwie zdążył rozpoznać na jego czele Fnora na brązowym Canthu, całe skrzydło zniknęło z pola widzenia przechodząc w „pomiędzy".

Polecił Mnementhowi, by wzleciał wyżej. Zimny wiatr przesycony był wilgocią. Być może ostatni raz tej zimy zanosiło się na śnieżyce. Właśnie teraz, kiedy Nici opadają, przydałaby się jak nigdy dotąd.

Po jego lewej stronie rozwinęły się skrzydła R'gula i T'bora, po prawej - Tsuma i D'nora. Flar dostrzegł, że wszystkie smoki są mocno obciążone workami z ogniakiem. W tej chwili przekazał Mnementhowi obraz Neratu - plantacje winorośli o świcie wczesną wiosną; połyskujące kwiaty; morskie fale uderzające o podwodne skały na płyciźnie brzegowej.

Poczuł przenikające zimno „pomiędzy" i jednocześnie ogarnęły go wątpliwości. Czy jego decyzja została właściwie przemyślana? Czy próbując uprzedzić atak Nici w Nerat, nie skazał swoich jeźdźców na śmierć w „pomiędzy"?

I nagle znaleźli się tam wszyscy, w jaśniejącym świetle zwiastującym nadejście dnia. Świeży, owocowy zapach bujnych winorośli uderzył ich w nozdrza. Było ciepło i to przerażało. F'lar odwrócił głowę ku północy i spojrzał na niebo, na którym dostrzegł pulsujące światło wrogiej Czerwonej Gwiazdy. Jeźdźcy dopiero teraz uświadomili sobie co się stało. Zaskoczeni podniesionymi głosami wymieniali uwagi na temat dokonanego transferu. Mnementh powiedział F'larowi, że smoki są zdziwione, iż skok w czasie zrobił na jeźdźcach tak silne wrażenie.

- Posłuchajcie mnie jeźdźcy! - zawołał Flar ochryple jak mógł najgłośniej, starając się, by wszyscy go |" usłyszeli. Poczekał, aż jeźdźcy zbliżą się i polecił Mnementhowi przekazanie swoich słów wszystkim : ' smokom. Następnie wyjaśnił jeźdźcom czego właśnie dokonali i jak to się stało. Nikt nie odezwał się ani słowem i tylko niespokojne spojrzenia, które jeźdźcy ukradkiem wymieniali miedzy sobą, wskazywały na ich emocje.

Wydał zwięzłe polecenie, by jeźdźcy rozwinęli się w luźnym szyku, zachowując miedzy sobą w pionie i w poziomie odległości równe pięciu długościom smoczych skrzydeł.

Wzeszło słońce.

Bezszelestnie, nadlatując od strony morza, zaczęły opadać Nici. Wyglądające jak smugi gęstej mgły były piękne i zarazem zdradzieckie. Kosmiczne zarodki, srebrzysto-szare, twarde i wirujące kule, przebijając się przez ciepły płaszcz atmosfery Pernu rozwijały się, tworząc grube, chropowate włókna. Bezlitośnie wyrzucane w przestrzeń przez jałową gwiazdę w kierunku Pernu, opadały jak ohydny deszcz w poszukiwaniu materii organicznej niezbędnej im do życia. Jedna Nić spadając na ziemie ryła w niej głęboko, rozpadając się w ciepłej glebie na tysiące innych, zamieniając ją w pokryty czarnym pyłem ugór.

Przed laty atakujące Nici pozbawiły soków życiodajną glebę kontynentu leżącego na południowej półkuli. To Nici, a nie jeźdźcy, były prawdziwymi pasożytami Pernu.

Stłumiony okrzyk dobywający się z gardeł osiemdziesięciu jeźdźców i smoków przeszył poranne powietrze nad zielonymi wzgórzami Neratu. - Zupełnie tak, jakby Nici mogły usłyszeć to wyzwanie pomyślał F’lar.

Jak na komendę, wszystkie smoki zwróciły trójkątne łby ku swym jeźdźcom, żądając ogniaka. Potężne szczeki kruszyły otrzymane kawałki skałek i rozwierały się w oczekiwaniu na następną porcje. Kipiące w smoczych żołądkach kwasy reagowały z ogniakiem, wytwarzając trujący fosforowodór. Gdy to następowało - smok miotał gaz na zewnątrz, a ten zapalając się w kontakcie z powietrzem zamieniał się w szalejący płomień. Plując strumieniami ognia, smoki atakowały nacierające Nici, niszcząc je w powietrzu i wypalając te, które dopadły już ziemi.

Instynkt sprawił, że smoki były gotowe do walki zanim Nici zaczęły opadać.

Podziw, który Flar zawsze miał dla swego spiżowego towarzysza, w następnych godzinach zyskał nowy wymiar. Młócąc powietrze potężnymi uderzeniami skrzydeł, Mnementh wzbijał się w górę i miotając płomienie szedł na spotkanie opadającemu niebezpieczeństwu. Trujące wyziewy, które ped powietrza rzucał w tył, pozbawiały F’lara tchu, dopóki nie wpadł na pomysł, by przykucnąć na zawietrznej stronie spiżowej szyi. Smok zaskowyczał nagle, gdy Nić uderzyła w czubek jego skrzydła. Błyskawicznie F’lar i Mnementh wskoczyli w zimne, ciche i ciemne „pomiędzy”. Zamrożona Nić pękła i odpadła. W mgnieniu oka powrócili w środek batalii, by ponownie stawić czoła agresji.

Rozglądając się wokół, F’lar widział jak smoki błyskawicznie uciekają w „pomiędzy”, by za moment powrócić i wznosząc się lub nurkując za przeciwnikiem - miotać płomienie. Kiedy tak walczyli, przesuwając się w poprzek Neratu w pogoni za najeźdźcą, F’lar zaczął rozumieć schemat ataków i uników jakimi smoki instynktownie się posługiwały. Rozpracowywał też wzór, według którego nacierały Nici. W przeciwieństwie do tego czego oczekiwał, biorąc za podstawę czytane przez niego przekazy historyczne, Nici nie opadały tak jak deszcz - stałymi, nieprzerwanymi strumykami. Atakowały miejscowo - płatami, jak burza śnieżna - to tu, to tam, gwałtownie uciekały z jednego miejsca, by skupić się w innym. Nigdy nie zachowywały ciągłości, jak mogłaby sugerować ich nazwa.

Gdy pojawiły się na niebie, smok szybował w górę. Niebywała radość opanowywała jeźdźca, który widział jak Nici usychają w ogniu i rozpadają się. Czasem, gdy opadały miedzy dwoma jeźdźcami, jeden smok sygnalizował, że zaczyna pościg i nurkując wypalał je doszczętnie.

Walcząc, jeźdźcy stopniowo przesuwali się nad plantacjami winorośli. F’lar nie chciał nawet myśleć, ile szkody mogła uczynić jedna żywa Nić, której udałoby się zaryć w ziemie. W trakcie walki wydzielił z oddziału patrol, który wracał na opuszczony przez Nici teren i lecąc nisko sprawdzał glebę metr po metrze. Jedna taka Nić - tylko jedna - była w stanie zamknąć błyszczące oczy wszystkich kwiatów winorośli.

Jakiś smok po lewej jego stronie zawył z bólu. Zanim jednak Flar zdołał go rozpoznać, ten już schronił sie w „pomiędzy”. Stale do uszu jego dobiegały okrzyki jeźdźców i piski smoków, wywołane cierpieniem na skutek ran zadanych przez Nici. Próbował nie słyszeć tych głosów i, tak jak to robią smoki, skoncentrować się wyłącznie na wykonywaniu zadania. Czy te wstrząsające krzyki wryją się trwale w pamięć Mnementha? Czy przypomni je sobie przed następną bitwą? F’lar sam chciałby móc już teraz o nich zapomnieć.

Nagle on - F’lar - spiżowy jeździec poczuł się zupełnie zbyteczny. Przecież to smoki toczyły bitwę. Owszem, należało je zachęcać do walki i pocieszać, gdy Nici je parzyły, ale życie jeźdźca zależało od instynktu i szybkości smoka.

Żar uderzył F’lara w policzki i wdarł się jak żrący kwas w jego ramie. Z jego ust wyrwał się okrzyk wyrażający zdziwienie i strach. Mnementh porwał go w kojące „pomiędzy”. Flar odruchowo klepnął sie w ranę, jakby chcąc ugasić nie istniejący już płomień. Gdy ponownie pojawili się w wilgotnym powietrzu w Nerat, ból zdawał się być lżejszy. Mnementh rzucił się na atakującą wiązkę Nici i skierował na nią jęzor ognia.

F’lar zdziwiony nagłą troską o samego siebie pośpiesznie ocenił rozmiary rany na swym barku.

- Bardzo dobrze robię uniki - powiedział Mnementh i uskoczył przed nadlatującą niebezpiecznie blisko wiązką Nici. Jakiś brązowy smok rzucił się za nią w pościg i spalił na popiół.

Bitwa miała się ku końcowi. Kiedy F’lar walcząc dotarł do brzegów połyskującego w słońcu morza, nie umiał ocenić, czy batalia trwała całe godziny, czy zaledwie kilka chwil. Nici przesunęły się znad lądu i nie czyniąc już żadnej szkody opadały w słoną, morską toń. Skalisty zachodni brzeg Neratu, którego cypel łukiem wchodził w morze, pozostał w tyle na wschód od niego.

F’lar czuł znużenie w każdym mięśniu swego ciała. W podnieceniu towarzyszącemu walce na śmierć i życie zapomniał o ranach, które otrzymał. Teraz, gdy już było po wszystkim, a Mnementh spokojnie szybował po niebie, ponownie odczuł ból i pieczenie w barku i na policzku. Wznieśli się na odpowiednią wysokość i F’lar, ogarniając wzrokiem ląd pod sobą, stwierdził, że Nici przestały już zagrażać. Widział lecące na różnych wysokościach smoki szukające najmniejszego choćby śladu bruzdy w ziemi, obalonego drzewa, czy też zniszczeń wśród roślinności.

- Wracamy do Weyr - rozkazał Mnementhowi, oddychając z ulgą. Usłyszał jak spiżowy smok, wchodząc już w „pomiędzy” przekazuje polecenie pozostałym smokom. Był tak znużony, że nie wyobraził sobie dokładnie ani czasu, ani miejsca, do którego wracali ufając, że dzięki instynktowi Mnementha powrócą szczęśliwie do domu, pokonując barierę czasu i przestrzeni.

***

Wyciągając szyje w kierunku Gwiezdnego Kamienia na Szczycie Benden, Lessa patrzyła tak długo, aż cztery skrzydła jeźdźców zniknęły z pola widzenia.

Westchnęła głęboko i starając się zapomnieć o niepokoju, zbiegła po schodach do doliny u podnóża Benden Weyr. Zauważyła, że na brzegu jeziora ktoś rozpalał ognisko, a Manora zebrawszy wokół siebie kobiety donośnym, ale spokojnym głosem wydawała im jakieś polecenia.

Stary Cgan ustawił w szeregu młodych jeźdźców.

Lessa zobaczyła, jak z okien pomieszczeń koszarowych spoglądają na nich zazdrośnie najmłodsi jeźdźcy, zaczynający dopiero szkolenie. Jeszcze zdążą dosiąść miotających ogniem smoków” - pomyślała. Z obliczeń F’lara wynikało, że czekało ich wiele Obrotów walki z Nićmi.

Trochę drżała, kiedy wyszła przed front szyku, ale w końcu zdobyła się na uśmiech. Wydała rozkazy, żeby polecieli do wszystkich posiadłości i zanieśli ostrzeżenie o nadchodzącym ataku. Przed odlotem sprawdziła kolejno, czy każdy jeździec podał swojemu smokowi wystarczająco precyzyjny obraz miejsca, w które się udawał. „Już niedługo - pomyślała - wszystkie osady będą wrzeć od gorączkowych przygotowań do starć z Nićmi”.

Canth przekazał jej wiadomość, że Nici opadają na Keroon, napływając od strony Zatoki Nerat. Powiedział, że F’nor nie przypuszcza, by dwa skrzydła jeźdźców wystarczyły do ochrony łąk w Keroon. Lessa zatrzymała się w miejscu, próbując przypomnieć sobie, ile skrzydeł opuściło już Weyr.

- *Jest tu jeszcze skrzydło K’neta* - poinformowała ją Ramoth. - *Na szczycie.*

Lessa uniosła głowę i zobaczyła, jak brązowy Piyanth w odpowiedzi rozpościera swe skrzydła. Poleciła mu, by przedostał się przez „pomiędzy” do Keroon w pobliże Zatoki Nerat. Całe skrzydło posłusznie wzleciało w powietrze i zniknęło.

Zaczerpnęła powietrza, by powiedzieć coś do Manory, gdy nagle poczuła silny podmuch wiatru i towarzyszący mu ohydny swąd. Powietrze nad Weyr wypełniło się smokami. Już chciała zapytać Piyantha dlaczego nie polecieli do Keroon, gdy uświadomiła sobie, że widzi znacznie więcej niż dwadzieścia smoków Kneta.

- *Przecież dopiero co wylecieliście* - wykrzyknęła rozpoznając potężne cielsko Mnementha.

- *Dla nas to było dwie godziny temu* - powiedział Mnementh z takim znużeniem w głosie, że Lessa przymknęła oczy ze współczuciem.

Niektóre smoki siadały na ziemi szybko. Ich nienaturalne, jakby niezdarne ruchy wskazywały na odniesione rany.

Kobiety jak na komendę schwyciły naczynia z przygotowanym uprzednio balsamem oraz kawałki czystego materiału i przywoływały do siebie ranne smoki, by następnie przyłożyć kojącą maść na czerwone i czarne rany przypominające smagnięcia biczem.

Niezależnie od tego jak silnie jeźdźcy byli poturbowani, najpierw zajmowali się swymi rannymi smokami.

Lessa nie spuszczała latającego Mnementha z oka. Była pewna, że gdyby był ranny, Flar z całą pewnością nie zmuszałby go do unoszenia się tak długo w powietrzu. Zaczęła pomagać Tsumowi, którego Munth miał okrutnie przepalone skrzydło, gdy nagle uświadomiła sobie, że niebo nad Gwiezdnym Kamieniem jest puste.

Wysiłkiem woli zmusiła się, by pozostać z Tsunem i dopiero, gdy skończyła opatrywać skrzydło Muntha, ruszyła na poszukiwanie spiżowego smoka i jego jeźdźca. Gdy ich w końcu odnalazła, zobaczyła jak Kylara nanosi kojący balsam na twarz i ramie F’lara.

W chwili, kiedy zdecydowanym krokiem ruszyła ku nim po piasku, do jej świadomości dotarł głos Cantha pilnie proszącego o pomoc. Dostrzegła, że Mnementh, który też odebrał myśl brązowego smoka, kołyszącym ruchem unosi łeb.

- Flar, Canth mówi, że potrzebują pomocy - zawołała Lessa. Przejęta, nie zauważyła nawet, kiedy Kylara zniknęła w tłumie uwijających się przy smokach ludzi.

Rana Flara nie była groźna. Wystarczyło jedno krótkie spojrzenie, by Lessa się o tym upewniła. Kylara przyłożyła już maść na poważnie wyglądające, ale chyba płytkie oparzenie.

Ktoś wyszukał dla Flara nowe futro, bowiem to, w które był ubrany, popalone przez Nici, wisiało na nim w strzępach. Flar, słysząc słowa Lessy zmarszczył brwi i natychmiast skrzywił się z bólu, gdyż wszelka mimika twarzy drażniła jego ranę. W pośpiechu dopijał klah.

- *Mnementh, ilu mamy zdolnych do walki? Zresztą, mniejsza o to, niech wszyscy wzbiją się w powietrze, zabrawszy pełny ładunek ogniaka.*

- Nic ci nie jest? - spytała Lessa, zatrzymując swą dłoń na jego ramieniu. Nie mógł przecież tak odlecieć bez słowa.

Uśmiechnął się do niej zmęczony i wciskając jej w dłonie pusty kubek uścisnął je przez chwile. Zaraz potem dosiadł Mnementha. Podano mu mocno obciążone ładunkiem worki.

Niebieskie, zielone, brązowe i spiżowe smoki wzniosły się nad Doliną Weyr i szybko uformowały szyk bojowy.

W miejscu, gdzie przed paroma minutami unosiło się osiemdziesiąt smoków, teraz pojawiło się niewiele więcej niż sześćdziesiąt.

Jakże mało jeźdźców. Tak niewiele smoków. Czy długo wytrzymają przy takich stratach?

Canth przesłał wiadomość, że F’nor potrzebuje więcej ogniaka.

Lessa zatroskana rozejrzała się wokoło. Żaden z młodych jeźdźców, którzy rozjechali się z wiadomościami po całym Pernie, jeszcze nie wrócił do Weyr. Usłyszała zawodzenie jakiegoś smoka. Odwróciła się, ale to była mała Pridith, która krocząc niezdarnie w kierunku pastwiska baraszkowała po drodze z Kylara. Wszystkie pozostałe smoki były ranne, chyba że - jej wzrok spoczął na Cganie, który wychodził właśnie z pomieszczeń koszarowych.

- Cgan, czy ty i Tagath możecie zawieźć F’norowi do Keroon dodatkowe ładunki ogniaka?

- Naturalnie - zapewnił ją stary niebieski jeździec wypinając dumnie pierś. Oczy błyszczały mu z podniecenia. Początkowo nie miała zamiaru nigdzie go wysyłać, ale wiedziała, że mimo swych lat Cgan stale ćwiczył się w jeździeckim rzemiośle żywiąc nadzieje, że zdarzy się kiedyś coś niespodziewanego, co sprawi, że okaże się niezbędny. Nie wolno jej było pozbawiać go tej szansy.

Uśmiechem wyraziła swą aprobatę dla jego gorliwości. Przyniesiono ciężkie od ogniaka worki i objuczono nimi Tagatha. Stary niebieski smok posapywał i dreptał tanecznie, jakby odzyskał swą młodość i siłę. Podała im punkty odniesienia, których obraz przesłał jej Canth.

Obserwowała, jak wzniósłszy się nad Gwiezdny Kamień znikają w „pomiędzy”.

- *To niesprawiedliwe. Cała przyjemność jest zarezerwowana dla nich* - zrzędziła Ramoth. Lessa zobaczyła, jak leżąc na kamiennym stopniu u wyjścia z jaskini i grzejąc się w słońcu gładzi pyskiem swe ogromne skrzydła.

- *Żuj ogniak, a staniesz się głupiutkim, zielonym smokiem* - odparła Lessa szorstko. W głębi duszy była szczerze rozbawiona zachowaniem swej partnerki.

Lessa weszła pomiędzy rannych. ‚Zielona piękność’ - Blola pojękiwała i potrząsała łbem nie mogąc zgiąć jednego skrzydła przepalonego przez Nić aż do kości. Jest wyłączona z walki na kilka tygodni - pomyślała - ale też otrzymała najcięższą ranę ze wszystkich smoków. Biedny B’fal” - Lessa nie mogła wytrzymać spojrzenia zgnębionego jeźdźca i szybko odwróciła głowę-

Dokonując obchodu stwierdziła, że wśród rannych jest więcej jeźdźców niż smoków. Dwóch ze skrzydła R’gula odniosło ciężkie rany głowy. Jednemu z nich groziła utrata oka. Spał teraz pod wpływem naparu z odurzających ziół, podanego mu przez Manore. Ramie drugiego przepalone było głęboko, ale liczba kontuzjowanych niepokoiła Lesse. Ilu jeszcze zostanie rannych w Keroon?

Ze stu siedemdziesięciu dwóch smoków już piętnaście było wyłączonych z walki. To prawda, że niektóre tylko na dzień, lub dwa, ale jednak.

Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Jeśli N’ton już kiedyś mógł jeździec na Canthu, to może w następnej wyprawie mógłby polecieć na smoku, którego jeździec jest ranny, skoro więcej jest kontuzjowanych jeźdźców niż smoków.

F’lar łamał przecież wszelkie niewygodne tradycje. Oto kolejna, z której należało zrezygnować - naturalnie, jeśli smoki zgadzałyby się na zamianę jeźdźców.

Zakładając, że N’ton nie był jedynym spośród nowych jeźdźców, który był w stanie przesiąść się na innego smoka, jakie korzyści w perspektywie czasu niosłaby taka łatwość przystosowania się?

F’lar mówił, że początkowo, kiedy Czerwona Gwiazda rozpoczyna swe przejście obok Pernu, trwające dwadzieścia pięć Obrotów, ataki Nici nie będą tak częste. Co to znaczy „częste”? Nie ma go tutaj - on by to wiedział.

No cóż, dziś rano miał racje, kiedy mówił gdzie opadną Nici, a zatem jego wielogodzinne, skrupulatne studiowanie tych starych Kronik było w pełni uzasadnione.

Nie, nie był wcale taki skrupulatny. Zapomniał polecić swym ludziom, by zwracali uwagę na pojawienie się czarnego pyłu. Jednak mogła mu to małe uchybienie wybaczyć, bowiem naprawił swój błąd, zabierając jeźdźców w przeszłość. Ale miał ten swój irytujący zwyczaj zgadywania przyszłych wypadków - i jego przypuszczenia się sprawdzały! Lessa znowu się poprawiła - on nie zgadywał. F’lar studiował stare zapiski i planował. Rozważał wszystko w myśli i kierował się zdrowym rozsądkiem. Choćby to, że na podstawie informacji pochodzących z tych stęchłych Kronik obliczył, kiedy nastąpi uderzenie Nici. Lessa poczuła się spokojniejsza o ich przyszłość.

Jeśli teraz skłoni jeźdźców, by nauczyli się bezgranicznie ufać niezawodnemu w walce instynktowi smoków, zmniejszy się również liczba strat poniesionych w boju.

Powietrze przeszył świdrujący pisk niebieskiego smoka, który zjawił się nagle nad Gwiezdnym Kamieniem.

- *Ramoth!* - wykrzyknęła Lessa instynktownie, sama nie wiedząc dlaczego. Zanim echo jej głosu zamarło, królowa już wzbiła się w powietrze. Lecący na złamanie karku niebieski smok najwyraźniej był w poważnych opałach. Starał się wytracić swą szybkość, ale jedno skrzydło nie poddawało się jego woli. Jego jeździecześliznął się w przód z olbrzymiego grzbietu, niepewnie przytrzymując się jedną ręką smoczej szyi.

Lessa tłumiąc okrzyk przycisnęła obie dłonie do ust i obserwowała z przerażeniem mrożącą krew w żyłach scenę. Wszystkie odgłosy w Weyr zamarły i na tle tej ciszy usłyszała uderzenia ogromnych skrzydeł Ramoth. Królowa błyskawicznie znalazła się obok desperacko walczącego ze swą niemocą smoka, podpierając jego bezwładne skrzydło swoim.

Obserwując te scenę ludzie wstrzymali oddech, widząc jak jeździec rozluźnia swój chwyt i spada lądując na szerokim grzbiecie Ramoth.

Niebieski smok spadł na ziemie jak kamień. Niedaleko łagodnie wylądowała Ramoth, przysiadła nisko przy ziemi, by nadbiegający ludzie mogli zabrać jej pasażera.

To był Cgan.

Lessa, widząc jak potwornego spustoszenia dokonały Nici na twarzy starego harfiarza, poczuła jak serce zamiera w jej piersi. Opadła przy nim na klęczki, kładąc jego głowę na swych kolanach. Otoczył ich cichy, pełen szacunku tłum mieszkańców Weyr.

Manora, której twarz zawsze jaśniała radością, miała łzy w oczach. Uklękła i przykładając dłoń do piersi starego jeźdźca próbowała wyczuć bicie serca. Podniosła wzrok na Lesse. W jej oczach widać było przejecie. Powoli pokręciła głową. Zaciskając drżące od płaczu usta zaczęła nakładać na twarz jeźdźca kojącą maść.

- Już za stary, żeby miotać ogniem i za wolny, by uskoczyć w „pomiędzy” - mamrotał Cgan, obracając głowę to w jedną to w drugą stronę. - Za stary, ale „Kiedy Nici są na niebie, Pernie! Twoi jeźdźcy bronią ciebie!...”

Jego głos przeszedł w szept i zamarł. Powieki jego oczu opadały. Lessa i Manora popatrzyły na siebie z boleścią. Wtem przerażający, kłujący uszy dźwięk przeszył cisze. Tagath odbił się od ziemi i w potężnym skoku wzniósł się w powietrze. Cgan z wolna uniósł powieki, ukazując niewidzące już oczy. Lessa wstrzymała oddech i obserwowała niebieskiego smoka, próbując odrzucić świadomość tego, co musiało nieuchronnie nastąpić. Sylwetka Tagatha rozwiała się w powietrzu bez śladu.

Z różnych miejsc w Weyr dało się słyszeć niskie w tonie zawodzenie, jak urwany samotny płacz podmuchów wiatru. To smoki składały w ten sposób hołd tym, którzy odeszli.

- Czy on... nie żyje? - spytała Lessa, choć dobrze wiedziała, że tak.

Manora przytaknęła powolnym ruchem głowy. Gdy wyciągnęła dłoń, by zamknąć oczy zmarłemu Cganowi, łzy popłynęły strumieniem po jej policzkach.

Lessa ociężale podniosła się z klęczek, dając znak stojącym w pobliżu kobietom, aby usunęły ciało zmarłego. W zamyśleniu wytarła zakrwawione dłonie o odzież. Starała się skoncentrować na tym co powinna teraz zrobić. Myślą jednak stale wracała do tego, co właśnie się wydarzyło. Zmarł jeździec. Jego smok także. Nici zabrały swoją pierwszą ofiarę. Ilu jeszcze zginie w czasie tego strasznego Obrotu? Jak długo Weyr zdoła przetrwać? Nawet po tym jak dojrzeje czterdzieścioro dzieci Ramoth i te, które wkrótce znowu będzie miała i jeszcze jej córki-królowe. Jak długo? Lessa opuściła miejsce, w którym zmarł stary jeździec, próbując uspokoić swe wątpliwości i otrząsnąć się z żalu. Zobaczyła jak Ramoth szybuje w powietrzu i siada na Szczycie. Czyż wkrótce Lessa nie ujrzy tych złocistych skrzydeł z czerwonymi i szarymi śladami uderzeń Nici? Czy to możliwe, by Ramoth... zniknęła? Nie, nie zniknie! Dopóki Lessa żyje.

Flar już dawno mówił, że musi nauczyć się patrzeć dalej poza ciasne mury pałacu w Ruatha i odczuwać coś więcej, niż tylko chęć zemsty. Jak zwykle miał racje. Jako władczyni Weyr, będąc pod jego opieką zrozumiała też, że życie w Weyr to coś więcej niż hodowanie smoków i wiosenne gry sportowe. Życie to zmagania, których uwieńczeniem ma być osiągniecie czegoś, co zdaje się niemożliwe do osiągnięcia - i należy zwyciężyć, albo umrzeć, ale ze świadomością, że się walczyło.

Lessa uświadomiła sobie nagle, że w końcu, całkowicie zaakceptowała swoją role: władczyni Weyr i partnerki F’lara, że chce pomagać F’larowi w kształtowaniu ludzi i w stawianiu czoła wydarzeniom, które dopiero nadejdą. Chce mu przede wszystkim pomóc uchronić Pern od zgubnego działania Nici.

Lessa wyprostowała się i podniosła śmiało głowę.

Stary Cgan miał racje:
Kiedy Nici są na niebie,
Pernie!
Twoi jeźdźcy bronią Ciebie!

Tak jak przewidział Flar, atak zakończył się przed samym południem i zmęczone smoki wraz z jeźdźcami powróciły do Weyr, witane radosnym piskiem Ramoth siedzącej na Szczycie Benden.

Lessa, gdy tylko upewniła się, że Flar nie odniósł nowych ran, a te, które miał Fnor były powierzchowne że Manora przydzieliła Kylarze prace w kuchni, zajęła się organizowaniem opieki dla rannych i pocieszaniem zmartwionych.

Wraz z nadejściem mroku w Weyr zapanował nienaturalny spokój - jeźdźcy byli zbyt wyczerpani, by robić cokolwiek, nierzadko zbyt poranieni, by mówić. Lessa, która przygotowywała listę strat poniesionych w bitwie, była tak znużona, że własne myśli dźwięczały jej w umyśle tak, jakby ktoś ją stale przedrzeźniał. W sumie dwadzieścia osiem smoków i jeźdźców nie mogło wzlecieć do walki z Niemi w następnym zbliżającym się starciu. Cgan był jedyną śmiertelną ofiarą wśród jeźdźców, ale cztery smoki i siedmiu jeźdźców odniosło w Keroon tak poważne obrażenia, że przestali być zdolni do walki na wiele miesięcy.

Lessa szła doliną w kierunku jaskiń. Nie miała ochoty przekazywać F’larowi tych niepokojących wiadomości, ale wiedziała, że musi.

Spodziewała się znaleźć go w sypialni. Pokój był jednak pusty. Minęła śpiącą Ramoth, udając się do Sali Obrad. Tam też go nie było. Zdziwiona i trochę zaniepokojona, niemal biegiem pokonała schody dzielące ją od Archiwum. F’lar pochylał zmizerowaną twarz nad zbutwiałymi skórami.

- Co tu robisz? - spytała gniewnie. - Powinieneś już spać.

- Ty też - wycedził.

- Pomagam Manorze ułożyć rannych...

- Każdy ma swoje poletko do uprawiania - odparł, ale wbrew swoim słowom odchylił się na krześle i zaczął rozcierać kark i gimnastykować zdrowe barki, by rozruszać zdrętwiałe mięśnie.

- Nie mogłem zasnąć - przyznał się - wiec pomyślałem, że może znajdę w tych zapiskach odpowiedzi na nurtujące mnie pytania.

- Jeszcze jakieś odpowiedzi? Na jakie pytania? - wykrzyknęła Lessa wyraźnie zła na niego. Tak jakby Kroniki mogły odpowiedzieć na jakieś pytania. Ogrom odpowiedzialności związany z obroną Pernu przed Nićmi najwidoczniej zaczął się odbijać na jego zdrowiu. Był dziś pod wpływem silnego stresu wywołanego pierwszym w życiu starciem z Nićmi. Przejście w czasie też go musiało wyczerpać.

F’lar uśmiechnął się i poprosił, by Lessa usiadła obok niego na ławie.

- Potrzebuję odpowiedzi na naglące pytanie - jak jeden, słabszy niż powinien być, Weyr może walczyć równie sprawnie jak sześć?

Lessa usiłowała stłumić panikę, która ją opanowała.

- Och, twoje mapy czasowe rozwiążą ten problem - odpowiedziała ufnie. - Z pewnością uda ci sie zachować siłę bojową swoich smoków do chwili, kiedy czterdzieści następnych zasili ich szeregi.

F’lar spojrzał na nią z namysłem.

- Bądźmy ze sobą szczerzy, Lesso.

- Ale przecież dawniej miedzy atakami Nici byty długie przerwy - broniła swego punktu widzenia - i skoro dawniej Pern-nie zginął, to i teraz może ocaleć.

- Przedtem zawsze istniało sześć Weyrow. Ponadto na około 20 Obrotów przed spodziewanym przejściem Czerwonej Gwiazdy królowe zawsze znosiły nadzwyczaj dużo jaj. Wszystkie królowe, nie tylko jedna wierna złocista Ramoth. Oh, jakże ja przeklinam Jore! - zerwał się na równe nogi i zaczął przechadzać się tam i z powrotem, odrzucając z irytacją kosmyk włosów, który spadał mu na oczy. Lessa czuła wewnętrzne rozdarcie. Z jednej strony chciała go pocieszyć, z drugiej - obezwładniał ja strach.

- Przedtem nie miałeś tylu wątpliwości... Zwrócił ku niej wzrok.

- Do chwili, kiedy stanąłem oko w oko z Niemi i podliczyłem straty po bitwie. Te cyfry wskazują na to, że nie mamy szans. Nawe jeśli założymy, że jeźdźcy będą mogli przesiadać się na inne, nie okaleczone

smoki, to nie uda się nam utrzymać wystarczającej siły uderzeniowej w powietrzu i jednocześnie zapewnić ochron na F’lar dostrzegł, że Lessa unosi pytająco brwi. - Trzeba jutro przeczesać pieszo cały Nerat. Byłbym z pewnością głupcem, gdybym myślał, że udało nam się przechwycić i zniszczyć wszystkie Nici w powietrzu.

- Niech mieszkańcy osad się tym zajmą. Nie wolno dopuście do tego, by się pozamykali w swych domostwach i zostawili całą walkę tylko nam. Oh, gdyby nie byli dotychczas tak skąpi i głupi...

Przerwał jej gwałtownym gestem.

- Oni też włączą się do walki - zapewnił. - Zbieram jutro całą Rade: wszystkich właścicieli majątków i cechmistrzów. Problem jednak polega na tym, że nie wystarczy, żeby mieszkańcy osad odszukali i oznakowali miejsca, w których Nici wryły się w grunt. Jak możemy zniszczyć Nić, która zaryła się głęboko w ziemie? Płomienny oddech smoka jest skuteczny w powietrzu i tuż na powierzchni ziemi, ale począwszy od trzech stop w głąb gruntu okazuje się nieprzydatny.

- Przyznam, że nie wzięłam tego pod uwagę. Ale przecież doły ogniowe...

- Są tylko na wzgórzach wokół skupisk ludności, a nie na łąkach w Keroon, czy wśród zieleni winnic w Nerat.

Zaśmiała się gorzko, zbita z tropu.

- Cóż za krótkowzroczność z mojej strony, żeby sądzić, że jedyną rzeczą, której biedny Pern potrzebuje do walki z Nićmi, są nasze smoki...

- Istnieją inne metody - powiedział F’lar - a przynajmniej istniały. Musiały istnieć. Często w swojej lekturze napotykałem wzmianki o tym, że osady organizowały grupy samoobrony naziemnej, używając do walki ognia. Jakiego ognia, o tym już się nie pisało, gdyż w owych czasach było to oczywiste - gestem podkreślił swe rozgoryczenie i usiadł ponownie na ławie. - Nawet sto pięćdziesiąt smoków nie zdołałoby zniszczyć wszystkich Nici, które dziś opadły. A nasi przodkowie potrafili utrzymać Pern wolny od Nici.

- Pern tak, ale czyż Południowy Kontynent nie uległ zniszczeniu? A może byli za bardzo zajęci obroną Pernu, by utrzymać także tamto terytorium?

- Przez setki tysięcy Obrotów nikt sobie nie zawracał głowy myślą o Południowym Kontynencie odparł lekceważąco F’lar.

- Jest zaznaczony na mapach - przypomniała mu Lessa. Spojrzał na Kroniki, piętrzące się w bezładzie na długim stole.

- Gdzieś w nich musi być odpowiedź.

W jego głosie zabrzmiała desperacja i poczucie winy, że nie udało mu się odnaleźć tych nieuchwytnych, a tak ważnych informacji.

- Ten kto to pisał, nie potrafiłby sam odczytać połowy tego, co nabazgrał - powiedziała Lessa. - A poza tym, najbardziej użyteczne okazały się dotychczas twoje własne pomysły. Sporządziłeś wykresy czasowe i patrz jakie nieocenione usługi nam oddały.

- Za dużo czytam.co? - zapytał, unosząc kąciki ust w nieznacznym uśmiechu.

- Niewątpliwie - zapewniała go, choć nie była o tym bez reszty przekonana. - Oboje wiemy, że Kroniki pomijają milczeniem wiele bardzo istotnych zagadnień.

- Dobrze to ujęłaś, Lesso. Zapomnijmy zatem o wszystkich bezużytecznych i przestarzałych receptach i wymyślmy sami takie, które będą przystawać do rzeczywistości. Po pierwsze zatem, potrzeba nam więcej smoków. Po drugie, potrzebujemy ich już teraz. Po trzecie, potrzebujemy broni, która byłaby równie skuteczna jak smoczy ogień i byłaby w stanie niszczyć Nici, które zapadły głęboko w ziemie.

- Po czwarte, potrzebujemy snu. W przeciwnym razie nie będziemy zdolni do myślenia ani do jakiegokolwiek działania - dorzuciła Lessa szorstko.

F’lar roześmiał się szczerze i wziął ją w objęcia.

- A może masz ochotę na coś jeszcze? - zapytał zaczepnie, pieszcząc ją pożądliwie.

Próbowała mu się wyrwać - bezskutecznie. Jak na rannego, zmęczonego mężczyznę miał wyjątkowo dużo wigoru. Zupełnie jak Kylara. Swoją drogą, jakiż ta kobieta ma tupet. Żeby zajmować się ran F’larem, kiedy ona była w pobliżu!

- Do moich obowiązków jako władczyni Weyr należy również opieka nad tobą, wodzu.

- Tak, tak. I spędzasz godziny z niebieskimi jeźdźcami, wystawiając mnie na czule zabiegi Kyl

- Nie robiłeś wrażenia niezadowolonego. Flar odrzucił głowę w tył i zaśmiał się.

- Mam może otworzyć Fort Weyr i wysłać tam Kylare? droczył się z Lessą.

- Tak, chce żeby była całe mile stąd, żeby minęło wiele Obrotów, zanim ją ponownie spotkam.

- W okresie ostatnich dziesięciu Obrotów nie było tani Nici. Nie było ich tam przez prawie czterysta Obrotów. Dziesięć Obrotów to wystarczająco długi okres czasu, by Pridith dojrzała i kilkakrotnie wydała potomstwo. Może wyklują się nowe królowe.

Zmarszczył brwi i potrząsnął głową wątpiąco.

- Nie, nie istnieje tam żaden Weyr. Nie ma Wylęgarni, nie ma...

A skąd my to możemy wiedzieć? - przerwała mu ostro Lessa, która zbyt dużo obiecywała sobie po realizacji tego projektu, by tak łatwo z niego zrezygnować. - Kroniki nie mówią nic o Południowym Kontynencie, ale po prawdzie, nie wspominają też o całej masie innych rzeczy. Skąd możemy wiedzieć, czy w czterysta Obrotów po ostatniej inwazji Nici, nie ma tam teraz bujnej roślinności. Wiemy, że Nici żyją tak długo, jak długo mogą żywić się materią organiczną, a kiedy pochłoną już wszystko usychają i rozwiewają się. F’lar patrzył na nią z podziwem.

- Dlaczego nikt dotychczas nad tym się nie zastanawiał?

- Peta narzucone przez Kroniki - tu wyprostowała palec i wycelowała go we F’lara. - Poza tym, nie było dotychczas takiej potrzeby.

- Potrzeba - a może zazdrość - jest matką wynalazków! - uśmiechnął się złośliwie i spróbował schwycić Lesse, która tym razem zwinnie wyśliznęła się z uchwytu.

- Ależ mój łaskawy panie! - odparła Lessa z przyganą w głosie.

- Zamierzam wysłać cie tam jutro razem z F’norem, żebyście obejrzeli teren - odparł. - To chyba będzie sprawiedliwie z mojej strony, bo to przecież twój pomysł.

Lessa zdębiała.

- Ty się nie wybierasz?

- Jestem przykonany, że mogę zostawić realizacje projektu w rekach osoby najbardziej zainteresowanej - zaśmiał się i schwytawszy ją w końcu, przycisnął do swego nieokaleczonego boku.

Spoglądał na nią z uśmiechem; jego oczy pałały.

- Musze odgrywać bezwzględnego władcę Weyr, by możnowładcy nie ośmielali się zatrzaskiwać mi przed nosem drzwi swych pałaców. Mam też nadzieje - tu podniósł nieco głowę i zmarszczył brwi - że jeden z cechmistrzów może znać rozwiązanie mojego trzeciego problemu: jak pozbyć się zakopanych w ziemie Nici.

- Ale ja...

- Ta podróż zajmie trochę Ramoth i może wreszcie królowa przestanie się złościć. - Przycisnął smukłą kibić dziewczyny mocniej do siebie, patrząc pożądliwie na jej niezwykłą, delikatną twarz. - Lesso, moim czwartym problemem jesteś ty. - Pochylił się, by ją pocałować.

Słysząc szybkie kroki w korytarzu, F’lar z nieukrywanym roz-

drażnieniem wyprostował się i wypuścił Lesse z uścisku.

- O tej porze - wyszeptał złowrogo i czekał, by zbesztać ostro intruza. - Kogo tu niesie?

- Flar?

Był to głos F'nora - przerażony i charczący.

Rzut oka na twarz F'lara upewnił Lesse, że nawet swemu przyrodniemu bratu nie zamierzał oszczędzić ostrej reprymendy. Niespodziewanie dla niej samej, sprawiło jej to przyjemność. Kiedy jednak F'nor wpadł do pokoju, władca i władczyni Weyr oniemieli ze zdumienia. Brązowy jeździec wyglądał jakoś inaczej niż zwykle. Gdy F'nor odezwał się, bełkocząc coś niezrozumiale, Lessa zauważyła na czym polegała różnica. Był opalony!

Z jego ciała zniknęły bandaże, a na policzkach, które dopiero dziś wieczorem Lessa pokryła kojącą maścią, nie było ani śladu oparzenia wywołanego smagnięciem Nici.

- F'lar, to jest nierealne! Nie można żyć jednocześnie w dwóch odległych punktach czasu! - F'nor krzyczał jak szalony. Zatoczył się pod ścianę, opierając się o skałę, by nie upaść. Mimo opalenizny widać było jego silnie podkrążone oczy. - Nie wiem jak długo jeszcze będziemy mogli to wytrzymać. Wszyscy jesteśmy dotknięci tymi dolegliwościami. W niektórych dniach mniej niż w innych.

- Nie rozumiem.

- Twoje smoki mają się świetnie - zapewnił F'nor i zaśmiał się gorzko. - To nie ma na nie żadnego wpływu. Zachowują pełną sprawność, ale ich jeźdźcy... wszyscy ludzie w Weyr... jesteśmy jak cienie, na wpół żywi, jak jeźdźcy bez smoków. Wszyscy z wyjątkiem Kylary - jego twarz przyjęła wyraz silnej niechęci. - Ona by tylko cofała się w przeszłość, żeby się sobie przyglądać. Boje się, że egomania tej kobiety stanie się przyczyną naszej zguby.

Wtem oczy zaszły mu mgłą. Zachwiał się. Otworzył szeroko oczy; szczeka opadła mu bezwładnie. Musze iść. Już tu jestem. Za blisko. To wyjątkowo niekorzystne. Musiałem cie ostrzec. Obiecuje ci F'lar, zostaniemy tak długo, jak zdołamy, ale to już niedługo... chociaż próbowaliśmy. Próbowaliśmy!

Zanim F'lar uczynił jakikolwiek ruch, brązowy jeździec zatoczył się zgięty w pół, niemal na czworakach wybiegł z izby.

- Przecież on tam jeszcze nie był - zachłysnęła się Lessa. - Przecież on tam jeszcze nawet nie był! Flar patrzył z niepokojem na oddalającego się brata.

- Co się mogło stać? - zapytała Lessa. - Przecież jeszcze mu nic nie powiedzieliśmy. Przecież dopiero przed chwilą skończyliśmy rozważać ten nowy pomysł - jej dłoń dotknęła policzka. - Ta rana od Nici sama ją opatrywałam dziś wieczorem - zniknęła. Zniknęła. To znaczy, że nie było go dość długo - opadła na ławę.

- Skoro wrócił, to znaczy, że wcześniej odszedł - powiedział z zadumą F'lar. - Teraz, zanim całe przedsięwzięcie zostanie zrealizowane, już wiemy, że nie będzie całkowicie udane. I wiedząc o tym, wysłaliśmy go dziesięć Obrotów w przeszłość w nadziei, że jednak przyniesie to pewne korzyści. - F'lar przerwał i zamyślił się głęboko. - W konsekwencji nie pozostaje nam nic innego, jak kontynuować ten eksperyment.

- Ale co mogło wywołać takie zaburzenia w jego zachowaniu?

- Wydaje mi się, że wiem, jednak nie możemy nic zmienić - usiadł przy niej, spoglądając na nią uważnie. - Lesso, kiedy za pierwszym razem wróciłaś z „pomiędzy" z Ruathy, byłaś poważnie wytrącona z równowagi. Dziś sądzę, że nie było to spowodowane wyłącznie szokiem wywołanym widokiem Faxa i jego ludzi w momencie ataku na osadę, ani też przekonaniem, że ten twój powrót był przyczyną katastrofy. Myślę, że ma to związek z istnieniem w dwóch punktach czasu jednocześnie. - Zawahał się, starając się ogarnąć rozumem to nowe zadziwiające zjawisko.

Lessa patrzyła na F'lara z takim lekiem w oczach, że zaśmiał się z zakłopotaniem.

- Tak czy owak, myśl o tym, by wrócić w przeszłość i oglądać samego siebie o ileś tam lat młodszym, jest kusząca.

- To miał zapewne na myśli, gdy mówił o Kylarze - powiedziała Lessa. - O tym, że chce wracać w przeszłość i przyglądać się sobie... Och, ta podła dziewczyna - Lesse ogarnęła złość na myśl o egotyźmie Kylary. - Wstrętna, samolubna istota. Gotowa zepsuć nam wszystko.

- Może nie - wtrącił F'lar. - Posłuchaj, F'nor, ostrzegł nas, że sytuacja w „jego czasie" staje się beznadziejna, ale nie powiedział, jak dużą cześć zadania udało mu się już zrealizować. Zauważyłaś przecież, że rana na jego twarzy zagoiła się nie pozostawiając śladu, a to znaczy, że upłynęło już kilka Obrotów. Jeśli teraz Pridith złoży choć raz przyzwoitą ilość jaj, jeśli nawet tylko te czterdzieści smoków, dzieci Ramoth, zdąży osiągnąć dojrzałość i będą w stanie za trzy dni, naszego czasu, przystąpić do walki, to już będzie pewien sukces. Dlatego też, moja Władczyni Weyr - dostrzegł jak Lessa prostuje się na dźwięk swego tytułu - musimy zignorować fakt powrotu F'nora. Kiedy polecicie jutro na Południowy Kontynent, nie czyń najdrobniejszej aluzji do tego wydarzenia. Rozumiesz?

Lessa przytaknęła i westchnęła ze smutkiem.

- Nie wiem, czy mam się cieszyć, czy też nie, z faktu, że zanim się tam jutro udamy, już dziś wiem, że Południowy Kontynent udzieli nam wsparcia - powiedziała skonsternowana. - Chęć samodzielnego odkrycia tej tajemnicy była taka podniecająca.

- Tak czy owak - powiedział F'lar, uśmiechając się - otrzymaliśmy tylko cześć odpowiedzi; wiemy jak rozwiązać pierwszy i drugi problem.

- Teraz zabierz się do rozwiązania czwartego problemu - zaproponowała Lessa. - Po męsku!

***

Kiedy rozmawiali z F'norem następnego dnia rano, oboje starannie unikali jakiejkolwiek wzmianki o jego przedwczesnym pojawieniu się poprzedniej nocy. F'lar poprosił brązowego Cantha, by przysłał swego jeźdźca do legowiska królowej, jak tylko ten się obudzi. Był niezmiernie uradowany, gdy zobaczył F'nora niemal natychmiast. Lessa z uwagą przyglądała się zabandażowanej twarzy F'nora, ale brązowy jeździec, jeśli nawet to zauważył, nie dał nic po sobie poznać. Natychmiast zapomniał o ranach, kiedy F'lar przedstawił mu projekt śmiałego przedsięwzięcia, polegającego na dokonaniu rekonesansu na Południowym Kontynencie z zamiarem założenia tam nowego Weyr o dziesięć lat wstecz.

- Udam się tam chętnie, o ile razem z Kylarą wyślesz Tbora. Nie zamierzam czekać, aż N'ton i jego spiżowy smok dorosną na tyle, by ją przejąć ode mnie. Tbor i ona są jak... - F'nor przerwał i uśmiechnął sie znacząco do Lessy. - No cóż, stanowią dość dobraną parę. Osobiście nie mam nic przeciw temu, żeby Kylara... - przerwał, szukając odpowiedniego słowa -... narzucała się, ale są pewne granice, których nie należy przekraczać, nawet w trosce o dobro rodzaju smoczego.

F'lar z trudem pohamował rozbawienie wywołane niechęcią F'nora do obcowania z Kylarą. Kylara próbowała swych sztuczek na każdym z jeźdźców, a ponieważ F'nor dotychczas pozostawał nieprzystępny, uparła się, że musi go uwieść.

- Mam nadzieje, że dwa spiżowe smoki wystarczą Pridith w czasie godów. Chyba nie będzie się rozglądać za innymi konkurentami.

- Nie da się zamienić brązowego smoka w spiżowego! - wykrzyknął F'nor z takim przerażeniem, że F'lar już dłużej nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Przestańcie już! - krzyknął, a Lessa, która wtórowała F'larowi śmiechem, z trudem opanowała wesołość. - Oboje jesteście okropni - rzucił, gotując się do wyjścia. - Jeśli mamy udać się na Południe, Pani, lepiej już chodźmy. Dajmy temu roześmianemu maniakowi czas, żeby się opanował zanim nadejdą poważni magnaci. Idę do Manory po zapasy na drogę. Wiec jak Lesso? Wychodzisz ze mną?

Tłumiąc śmiech Lessa schwyciła futrzaną pelerynę, jeździecką i ruszyła za F'norem. Ta przygoda przynajmniej zaczynała się dobrze.

REPORTER ALFRED JAASS, ZAINTRYGOWANY ROLĄ „CZŁOWIEKA BEZ TWARZY" W ZAGADKOWEJ SERII WYDARZEŃ NA ZIEMI I W KOSMOSIE, POSTANAWIA WYJAŚNIĆ TAJEMNICĘ SALVATORA TARLEY'A. NIE WSZYSTKO JEDNAK IDZIE PO JEGO MYŚLI, OD TROPU TARLEY'A ODRYWAJĄ GO CO CHWILA NOWE ZLECENIA SZEFA **A-PRESS.** MIĘDZY INNYMI WYJĄTKOWO TRUDNE I CZASOCHŁONNE ZADANIE ZROBIENIA REPORTAŻU O PRZEMYTNIKACH POWIETRZA. JAASOWI POMAGA SPRYTNA I FILUTERNA SALLY, WSPIERAJĄCA GO DUCHEM I CIAŁEM WE WSZYSTKICH OKOLICZNOŚCIACH. POSZUKIWANIE SZEFA BANDY PRZEMYTNIKÓW TRWA.

O! PCHŁA PUSTYNNA!

LEPIEJ POMYŚL, GDZIE ZŁAPAĆ BLUESA. SZEF MI WSZYSTKO POOBRYWA, JAK ZA TYDZIEŃ NIE DOSTANIE MATERIAŁU!




LOLA GAME
A DLA PANI NEHI-COLĘ.
BEER JASNE PEŁNE


POTRZEBUJEMY 100 LITRÓW METANALU.
SIĘ ZROBI...


A POWIETRZA PAN NIE MA? ALE WIE PAN, TAKIEGO...
NIE NUDŹ! KUPIMY NA KLIO. ZNAM JEDNEGO FACETA, KTÓRY...


JA NIE MAM, ALE JACKOWI PEWNIE JESZCZE COŚ ZOSTAŁO.


ODWAL SIĘ WRESZCIE! ŻEBY CI SIĘ TO SAMO TRAFIŁO!
A CO, PROSZĘ PANA?
BEER JASNE PEŁNE
Z. KASPRZAK 84.


MIESIĄC TEMU DAŁ SIĘ PRZEROBIĆ JAK DZIECKO. PODAROWAŁ JAKIEMUŚ TYPKOWI 20 TON TOWARU.
A TY BYŚ SIĘ NIE DAŁ, CO? NIECH PANI NIE SŁUCHA TEGO PÓŁZADKA.
TO PRZECIEŻ BARDZO CIEKAWE.


NIECH PANI WEŹMIE NEHI. COŚ PANI POKAŻĘ.
ZARAZ! ZARAZ! ONA JEST ZE MNĄ!
UWAŻAJ, ONI MOGĄ...


TUTAJ NIC NIE MOGĄ.
AUU!


DO LICHA!
OTWÓRZCIE ŚLUZĘ.
ŻŻŻŻ...


JOE SPOD „PCHEŁKI" ŁŻE JAK LATAJĄCA ŚWINIA. TO BYŁO TAK...
Z. KASPRZAK 84


PODCHODZILIŚMY JUŻ DO FOBOSA...
...I WTEDY NIE WIADOMO SKĄD WZIĄŁ SIĘ STATEK TEGO DRANIA.


ZAŁATWIŁ NAS BEZ PUDŁA.
OBRABOWAŁ DOSZCZĘTNIE...
I POLECIAŁ W STRONĘ GANIMEDA.
MOŻE MI PAN SPRZEDAĆ TEN ZAPIS? DAM DWADZIEŚCIA TYSIĘCY.
MIELIŚMY KUPIĆ POWIETRZE, A NIE JAKIEŚ FILMY.
STÓWĘ.
PIĘĆDZIESIĄT...
ZGODA!
FRAJER! PŁACI JAK ZA TOWAR.
ZAMÓWIŁAŚ JUŻ TE DWA POKOJE W GHASTE EO DIUNN?
NIE. APARTAMENT DLA NOWOŻEŃCÓW.
Z. KASPRZAK 84.

Smok

Jacek Piekara



Stanęli na wzgórzu pod krzyżem. Komes dźgnął ostrogami boki konia, wysuwając się przed szereg rycerzy. Spojrzał w dół w zasnutą mgłą dolinę, po czym zasiadł opierając stopy na grzbiecie jednego ze sług. Podniósł później przyłbice hełmu i przeciągnął dłonią po spoconej twarzy.
- Ciepło - mruknął.
Rycerze też zeskoczyli na ziemie powierzając zwierzęta sługom i stanęli wokół komesa.
- To tu - rzekł jeden z mężczyzn zdejmując hełm - jesteśmy u celu, panie.
Komes usiadł na przeniesionym przez niewolników tronie i zdjął grube, skórzane rękawice.
- Poczekajmy do zachodu - powiedział - podobno wtedy wychodzi ze swej jamy.
Podano mu kubek wody, wypił ją chciwie. Sprawne ręce sług rozluźniły rzemienie napierśników; komes wygodnie wyciągnął nogi i przymrużył oczy.
- Ciężka była ta jazda - rzekł do stojącego obok rycerza - odpocznijcie teraz. Do zachodu już niedaleko.
Niewolnicy porozkładali na trawie niedźwiedzie skóry i rycerze wygodnie się ułożyli zdejmując hełmy i popuszczając rzemienie pancerzy.
Słudzy badali jeszcze broń, czyścili piaskiem miecze i moczyli skórę opinającą tarcze.
Najmłodszy z wojowników, prawie chłopiec, dopasowywał jedną ze skór do hełmu i obficie zraszał ją wodą.
- Co robisz Hargi? - spytał przechodzący obok rycerz.
- Bestia ma ognisty oddech. Tarcza może mnie nie osłonić. Nie chciałbym upiec się żywcem w tej zbroi.
Rycerz roześmiał się.
- Nie masz moich zmartwień Relbirze - powiedział młodzieniec - twoja zbroja jest tak wspaniała! Relbir potwierdził.
- O, tak. Ona nigdy się nie rozgrzewa. Nawet wrzucona do ognia. Ale nie na próżno należała do Ognistookich.
- Legendy, podobno naprawdę wykuł ją mistrz Samhazi.
- Kłamstwo! - krzyknął zniecierpliwony rycerz - jest stara jak ta ziemia. Należała do Vahary Halabardnika póki nie odebrali mu jej jako swojej własności Ognistoocy. Później któryś z nich zostawił ją w skalnej kryjówce i od tej pory należy do mojego rodu.
- Czy to prawda, że twego pradziada nazywali Wellin Złodziej Zbroi?
Relbir wyszarpnął miecz z pochwy, ale jakaś silna dłoń powstrzymała jego rękę.
- Jak śmiesz? - usłyszał głos. - Wyciągać broń w obecności komesa?
Rycerz posłusznie schował żelazo w pochwie.
- Wybacz Beggaro. Uniosłem się. Odszedł w milczeniu.
- Powinieneś pohamować swój ostry jeżyk, Hargi - rzekł gniewnie nowo przybyły - drwisz z dzielnego rycerza. Jako starszemu winieneś mu cześć i posłuszeństwo.
- Nie zasługuje na miano nie tylko parda księstwa, ale i rycerza rzucił z pogardą młodzieniec - to tchórz i starzec.
Twarz Beggary spurpurowiała.
- Rzucasz ciężkie oskarżenie na jednego z Dwunastu Pardów. Hargi zbladł zrozumiawszy, że powiedział zbyt wiele.
- Staniesz przed obliczem komesa.
Młodzieniec posłusznie podniósł się i poszedł za Beggarą w stronę tronu, na którym odpoczywał władca. Gdy zbliżyli się Beggara szepnął parę słów do ucha stróżującemu rycerzowi, a ten lekkim dotknięciem zbudził komesa i odszedł na bok.
- Co się stało?
- Ten oto młodzieniec, panie, obraził Siódmego Parda Księstwa Relbira. Okrył jego imię hańbą zarzucając mu tchórzostwo.
- Czy ktoś to słyszał? - spytał po namyśle komes.
- Ja, panie - odparł Beggara.
- Zgodnie z prawem powinieneś stanąć do walki ze zhańbionym przez siebie przeciwnikiem, ale każdy miecz jest teraz na wagę złota, zwłaszcza miecz tak doświadczonego rycerza jak Relbir. Ty zaś musisz ponieść karę - rzekł przyglądając się uważnie Hargiemu.
Nastała chwila ciszy.
- Zejdziesz w dolinę - powiedział wreszcie władca - i staniesz do walki z bestią. Zarzucasz tchórzostwo innym, a wiec sam pokaż swe męstwo.
Hargi pochylił głowę w ukłonie.
- Stanie się jak powiedziałeś, panie - odparł - pewien jestem, że nie zhańbię swego imienia.
Komes dał znak dłonią i jeszcze raz skłoniwszy się obaj rycerze odeszli.
Młodzieniec podszedł do swego konia i poprawił rzemienie siodła. Zacisnął pasy przytrzymujące pancerz i nacisnął na głowę hełm. Na hełmie miał mokrą skórę, której końce sięgnęły aż do naramienników. Do pleców przypiął Hargi długi, ciężki od wody szary płaszcz i przypasał miecz. Gdy znalazł się już na koniu, giermek podał mu kopie i tarcze. Hargi zatrzasnął przyłbice.
- Wracaj zwycięsko - rzekł Beggara.
Rycerze zebrali się wokół młodzieńca. Jeden z nich przecisnął sie do przodu i wyciągnął przed siebie w stronę Hargiego krótki, szeroki oszczep.
- Przyjmij to - powiedział. - Ten oszczep został wykuty w podziemnych kuźniach gnomów. Przebije każdą łuskę. Młodzieniec przełożył kopie do drugiej reki i wziął z rąk rycerza oszczep.
- Na pewno mi pomoże, przyjacielu - powiedział
- Nazywa się Hrodwig. Oddał mi przysługę w niejednym boju.
- Jest wspaniały - rzekł Hargi wsuwając oszczep do pochwy zwisającej przy siodle.
Nacisnął ostrogami boki konia i zaczął wolno zsuwać się w dół. Rycerze patrzyli za nim tak długo dopóki nie zginął za zasłoną mgły.



Ostrożnie powściągając konia przy prawie każdym kroku, zjeżdżał stromą ścieżką omijając krzaki ostrokrzewu, które bujnie zarastały zbocze.
Dróżka wiła się wśród rowów i wykrotów, tarasowały ją zwalone pnie drzew, tak że Hargi musiał skupić całą uwagę, aby koń nie potknął się na przeszkodach. Mgła gęstniała. Słabe promienie słoneczne nie przebijały się przez mleczną zasłonę. Nagle koń potknął się i upadł. Hargi w ostatniej chwili wysunął stopy ze strzemion i przerzucił prawą nogę na lewy bok konia. Zwierze potoczyło się po zboczu i wpadło w głęboką szczelinę. Rycerz usłyszał tylko pełne bólu rżenie. Z trudem podniósł się na nogi. Odrzucił na bok bezużyteczną kopię i wyciągnął z pochwy miecz. Badając podłoże sunął drobnymi krokami. Wreszcie w głębi wykrotu ujrzał martwe ciało konia. Zwieszając się na rekach i wymacując nogami progi, powoli spuścił się na dół. Wyjął oszczep z przytroczonej do siodła pochwy i wziął go ze sobą. Gdy wyszedł z wykrotu mgła nieco zrzedła i mógł ujrzeć dno wąskiej, doliny. Zaścielały ją pnie zwalonych drzew, na wpół zwęglonych lub osmalonych. Bacznie się przypatrując, Hargi dostrzegł płomień pulsujący w jednej z jam. Przeciskając się przez zwały pni i odsuwając kolczaste gałęzie ostrokrzewu brnął w stronę skąd buchały płomienie. Rychło poczuł też odór siarki. Sunął z wystawionym do przodu ostrzem tuż przy ścianie doliny, aby nie dostrzegły go bystre oczy bestii i aby nie dostać się od razu w morderczy żar jej oddechu. Gdy był kilkadziesiąt zaledwie kroków od miejsca skąd buchał płomień ujrzał błyszczące oczy i potężne cielsko skoczyło w jego kierunku. Nie zdążył nawet zadać ciosu, a jedynie zasłonił się tarczą, ale smocze łapy przewróciły go na ziemie. Zza szczelin przyłbicy ujrzał długą na kilkanaście stóp zieloną bestie. Dwie ogromne łapy trzymały rycerza przy ziemi.
- Czego szukasz? Czego tu chcesz? - spytał gniewnie smok. Hargi sięgnął do leżącego obok miecza, ale nie zdążył wznieść reki, gdy skrzydło smoka wybiło mu broń.
Wielkie błyszczące oczy uważnie śledziły każdy ruch rycerza. Nagle Hargi poczuł, że ściskają go długie pazury i smok rozgarniając pędy ostrokrzewu wpełzł z człowiekiem do jamy. Sunęli dłuższy czas ciemnym i wąskim korytarzem. Młodzieniec ostrożnie namacał oszczep przymocowany do pleców, ścisnął mocno broń w dłoni i przekręcając nagłym ruchem ciało rzucił prosto w pałające ślepia potwora. Ale smok był znów szybszy. Odbity skrzydłem Hrodwig uderzył o skałę. Łapy mocniej objęły ciało Hargiego uniemożliwiając mu teraz zrobienie najmniejszego ruchu.



Tymczasem, gdy słońce zniknęło za Szubieniczną Górą komes wstał z tronu. - Już czas.
Rycerze podnieśli się. Szczeknęły nakładane pancerze i hełmy, rozległ się gwar głosów i nerwowe rżenie koni. Słudzy biegali podprowadzając swym panom wierzchowce. Rychło stalowy mur zbrojnych stanął przed komesem. Jak na komendę, w jednej chwili trzasnęły opuszczane przyłbice. Komes wyciągnął miecz i uniósł go w górę. j Zjeżdżali kretą i stromą ścieżką. Jeszcze tylko słudzy podbiegli niosąc odpalone z ognisk nasycone smołą szczapy. Cześć rycerzy chwyciła płonące pochodnie, by oświetlić niebezpieczną drogę do środka doliny.
- Tam - krzyknął Kerrhemi Purpurowa Dłoń - bestia wychodzi z jamy.
Ujrzeli buchający płomień. Kerrhemi wbił ostrogi w boki konia i wystawił kopie do przodu.
Wierzchowiec poderwał się do biegu, ale nagle komes ruchem szybszym od mgnienia oka chwycił zwierze za grzywę. Koń zatrzymał się z rżeniem bólu.
- Stój - rzekł komes - jesteś lekkomyślny, Kerrhemi, jesteś mało przezorny. Pomyśl czemu zginął Hargi, z pewnością zrobił to samo co ty, czyli skierował się w stronę płomienia.
- Tam jest smok.
- Tam jest płomień!
- A płomień bucha z jego paszczy, komesie - rzekł zmieszany Kerrhemi.
Władca sięgnął do kołczanu i wyjął łuk oraz srebrną, błyszczącą strzałę. Napiął cięciwę i strzała pomknęła w płomienie. Po chwili blask buchający z jamy zaczął przygasać, wreszcie ogień zasyczał i zgasł. Władca w milczeniu wpatrywał się w dal.
- To nie był smok - rzekł w końcu - srebrna strzała nie potrafiłaby ugasić jego płomieni.
Nagle Viggerdi Zerwana Pętla nagłym ruchem wzniósł dłoń.
- Ciii - syknął rozglądając się uważnie wokół. Chwile nasłuchiwał z uwagą.
- Ktoś tu jest, komesie - powiedział - słyszę ludzi.
Jakby na potwierdzenie jego słów w górze, w krzakach zamigotały pochodnie. Śmignęła gruba, pierzasta strzała wypuszczona przez Bahere Kusznika i ognik zaczął spadać w dół po zboczu. Zgasł nim doleciał do dna doliny. W chwile później zabłysły dziesiątki następnych ogni, a o pancerz Chevalda Złotej Twarzy zadzwoniła strzała.
- Głupcze - syknął komes - po co strzelałeś? Może to rycerze grafa.
Jeden z rycerzy podsunął władcy strzałę.
- To nie są strzały ludzi grafa, panie. To buntownicy.
- Czego tu szukają? - zdumiał się komes. - Źle zrobiliśmy schodząc w dolinę. Walka z nimi i ze smokiem może być ciężka. Kto mógł przypuszczać, że ocaleli po poprzednim pogromie - zasępił się.
- Może posłać po posiłki, panie? - spytał Viggerdi.
- Teraz?
Komes powiódł dłonią wokół ukazując mu błyskające z góry setki ogników.
- Musieli wybić nasze sługi - rzucił Haarfen Bez Imienia - ale dziwne, że nie słyszeliśmy walki.
- Wycieli ich we śnie. Na pewno nie postawili straży. Łotry! Wtem Berro Koniuszy krzyknął coś i tnąc mieczem krzewy wjechał w wąską szczelinę.
- Tedy, panie. Przedostaniemy się do jamy smoka. Komes spojrzał w górę i zobaczył zsuwające się w dół ognie.
- Schodzą - rzekł - wjedźmy wiec. Ale zatrzymajcie się zaraz i zatarasujcie wejście, przesłońcie pniami i krzewami. Poczekamy aż smok zniszczy tych bezbożników, a później sami go zaatakujemy.
Pochylając głowy wolno wjechali do środka. Konie zapierały się i prychały czując odór smoczego ciała, ale mimo to szybko znaleźli sie wszyscy wewnątrz jamy.



Hargi ocknął się w jasno oświetlonej komnacie. Wstał z posłania zrobionego z niedźwiedzich futer i rozejrzał się zdumiony. Komnata przypominała najwspanialsze pokoje cesarskie. Ściany zasłonięte były jedwabnymi tkaninami z wyhaftowanymi scenami bitew i polowań. Przyjrzał sie uważnie marmurowym posągom przedstawiającym dawnych władców cesarstwa, po czym przeniósł wzrok na stare portrety. Ze zdumieniem przeczytał podpisy i rozpoznał twarze rycerzy, o których lud śpiewał pieśni, którzy żyli już tylko w legendzie.
Barrama Łucznik, Leondor Władca Ognia, Sakarro Przyjaciel Koni. Mruczał pod nosem ich imiona i dziwił się wspaniałemu talentowi malarza, który uwiecznił ich rysy. Zaznaczone były najmniejsze zmarszczki, każde skrzywienie ust. Z łatwością mógł wyczytać jak z księgi cechy charakteru rycerzy: durne i okrucieństwo Barramy, męstwo i zuchwałość Leondora czy szlachetność i dobroć Sakarry. Rozchylił zasłony i ujrzał setki ksiąg równo poukładanych na dębowych półkach. Sięgnął po pierwszy z brzegu tom i otworzył w środku, ale strony pełne były nieznanych mu znaków.
- To dzieła Hrawbolda Trubadura spisane w starym jeżyku Almenorczyków.
Obejrzał się, ale nie ujrzał nikogo.
- Almenor? - szepnął do siebie. - Ileż wiec wieków muszą mieć te księgi?
Odłożył ją na miejsce i sięgnął po następny tom.
- To historia Gordoru spisana przez Emmerina Brodatego. Gordor? Sięgnął w głąb pamięci.
- Nigdy nie słyszałem o takiej krainie - rzekł głośno.
- To było kiedyś potężne państwo nad Skalnym Morzem. Wiele wieków temu rozpadło się na setki księstw.
Odłożył tom na swoje miejsce i wyszedł rozsuwając zasłony.
- Pokaż mi się - zażądał - chce wiedzieć kto jest właścicielem tego... - umilkł nie mogąc znaleźć słowa.
- Nie sądzisz, że cesarz oddałby za to majątek?
Hargi rozejrzał się wokół i wzrok jego spoczął na kolekcji starej broni.
- Sądzę - rzekł cicho - że oddałby za to cesarstwo.
Ujrzał łeb smoka wychylający się zza zamaskowanego przejścia.
- Też tak myślę - rzekł smok. Hargi cofnął się.
- To ty? - zdumiał się. - Skąd... skąd to masz?
-Jestem strażnikiem Skarbu. Mam czuwać, aby nikt nie zniszczył pamiątek z dawnych lat. To historia całego naszego świata. Podobnych komnat jest kilkaset. Położone daleko, w głębi gór. Ale jeszcze nie nadszedł czas, aby świat dowiedział się o tym. Rycerz usiadł na posłaniu.
- Kto ci kazał pilnować?
- Nawet jak powiem i tak tego nie pojmiesz. To było dawno temu. Nikt nie pamięta już dawnych czasów.
- Chce wszystko zobaczyć. Oprowadź mnie po tych komnatach. Smok skinął głową.



Zostawili konie niedaleko wejścia, pod strażą kilkunastu rycerzy. Reszta wraz z komesem przedzierała się naprzód wąskim, skalnym korytarzem.
Sunęli wolno wymacując drogę przed sobą, ale żadne przeszkody nie utrudniały im marszu. Czasem tylko strop pochylał się w dół wygiętym łukiem i musieli iść nisko skłonieni ku ziemi. Stanęli w miejscu rozwidlenia korytarzy, gdy wzrok ich przyciągnęło dochodzące z oddali światełko. Ruszyli w tamtą stronę zasłonięci tarczami z ostrzami mieczy wysuniętymi przed siebie. Doszli do szerokiej szczeliny, zza której dochodził blask i usłyszeli stłumione głosy.
- To Hargi - szepnął Viggerdi.
- Tak - rzekł równie cichym głosem komes - mnie też wydaje się, że to on.
Skinieniem reki przywołał Mergora Olbrzyma.
- Rozbij te skałę.
Mergor odłożył na bok tarcze i wzniósł nad głową szeroki miecz, długi na sześć stóp. Rycerze usunęli się na bok. Miecz wirował z przeraźliwym świstem, nagle uderzył w skałę krusząc ją na proch.
Przedarli się przez wyrąbane przejście i stanęli na środku jasno oświetlonej komnaty. Zmrużyli oślepione oczy, ale mimo to dostrzegli stojącego pod przeciwległą ścianą Hargiego. Tuż obok niego przywarował smok.
Chcieli rzucić się na bestie, ale komes powstrzymał ich. Wystąpił naprzód.
- Co tu robisz Hargi? Z tym potworem?
- Panie - rzekł szybko młodzieniec - ten smok jest strażnikiem ukrytych skarbów. Cała historia naszej krainy jest tu - w tych komnatach, których on pilnuje. Gdyby nie on zapomnielibyśmy na zawsze o dawnej chwale, dawnych bohaterach i artystach. Przyjdzie czas, gdy świat będzie mógł poznać te skarby i korzystać z nich.
Komes milczał. Zdumieni rycerze opuścili miecze, a Redwold Złotousty podniósł przyłbice i rozejrzał się wokół.
- To prawda, co mówi Hargi. Rzeczy w tej komnacie są piękniejsze od wszystkiego co dotąd widziałem.
- Takich komnat jest kilkaset - rzekł smok. Komes zaśmiał się pogardliwie.
- Omamił was: Uwierzyliście mu. Nie dziwie się tobie Hargi

rzekł patrząc na młodzieńca - ale ty Redwoldzie - zwrócił wzrok ku rycerzowi - jak ty stary i doświadczony żołnierz możesz uwierzyć w złudy bestii? Skierował miecz w stronę smoka.
- Wracaj Hargi! - rozkazał.
- Panie!
- Wracaj!
- Komesie! Błagam na wszystko co święte...
- A wiec zginiesz wraz z nim.
Pisnęły zwolnione cięciwy, ale smok odbił skrzydłem pierwsze pociski.
- Stójcie, głupcy! - ryknął.
Z nozdrzy potwora zaczęły buchać płomienie.
- Nigdy mnie nie zwyciężycie. Jestem stary, tak stary, że pamiętam czasy, gdy Smocze Kły były jeszcze łagodnymi pagórkami. Nie wiecie wiec, że mnie może zwyciężyć ten, który zna moje imię i zna przekleństwo Haldoru, które zabija smoki. Rozpostarł skrzydła i płomienie buchnęły z paszczy.
- Wynoście się, głupcy!
Ale komes dał już znak do ataku i ciosy spadły na bestie. Smok pierwszym uderzeniem zmiażdżył Bahere. Tył i przód pancerza Kusznika spotkały się nagle ze sobą i rycerz skonał nie wydawczy nawet jęku. Pazury rozorały napierśnik Vahiemy Topornika, a on sam brocząc krwią legł pod ścianą. Potężne tchnienie smoka odrzuciło na bok pozostałych rycerzy, ale przedtem jeszcze bestia porwała Haarfena i odgryzła mu dłoń.
Nagle jednak Mergor przyczajony z boku spuścił swój miecz na cielsko smoka, ale żelazo kruszące przedtem kamienie rozprysło sie na kawałki.
Potwór zmiażdżył głowę olbrzyma jednym uderzeniem łapy. W tym samym momencie jego potężny ogon zakreślił łuk i zabił Beggare skradającego się od tyłu z uniesionym mieczem. Na ten widok rycerze rzucili się do ucieczki tłocząc się przy wyrąbanym przez Mergora przejściu. Smok nie gonił ich, leżał pod ścianą ciężko dysząc. Z każdym jego oddechem potężny płomień podnosił się aż do stropu. Na środku pozostał tylko komes. Cisnął w smoka oszczepem, ale
napastowany odbił go z taką siłą, że ostrze uderzyło w przyłbice, zmiażdżyło hełm i wbiło się w głąb czaszki komesa. Komes okręcił się w miejscu i upadł na ziemie.
- Nie chciałem tej walki, Hargi - rzekł smok.
- Wiem - odparł rycerz wpatrzony w pobojowisko. Podbiegł do jęczącego przy ścianie Vahiemy i zaczął rozluźniać rzemienie przytrzymujące pancerz. Zdjął hełm z głowy rannego, ale ten spojrzawszy na twarz Hargiego sięgnął dłonią po sztylet.
- Zdrajco - wycharczał wzniósłszy rękę do ciosu.
Hargi zatrzymał jego dłoń, a Vahiema po krótkim mocowaniu sie opadł nagle, rzucił krew ustami i skonał szepcząc przekleństwa. Młodzieniec usiadł przy jego zwłokach i skrył twarz w dłoniach.
- To nic, Hargi - rzekł smok - ludzie są i muszą być śmiertelni, historia powinna być wieczna. Za cenę ich śmierci uratowałeś historie.
Rycerz podniósł się z wysiłkiem.
- Chodźmy - rzekł - trzeba sprawdzić czy odjadą stąd.



Przerażeni, tocząc się w wąskim skalnym przejściu, przepychając się i depcząc nawzajem dobiegli w końcu do koni. Stróżujący przy wierzchowcach rycerze usłyszawszy hałas stali już przygotowani do walki, ale poznali biegnących towarzyszy.
- Co się stało? - krzyknął Relbir. - Gdzie komes?
- Został tam - krzyknął jeden z rycerzy - został wraz z innymi i zginął. Uciekajmy stąd!
Relbir powalił go na ziemie uderzeniem pieści.
- Mów ty - rzekł do Redwolda.
- Smok zabił Bahere i Haarfena - powiedział dysząc.
- I Mergora i Vahieme - dodał ktoś z tyłu.
- Nie ima się go żelazo.
- Beggara też zginął.
- A wyście uciekli - rzekł z pogardą Relbir.
Bez słowa chwycił swego konia przy pysku i poszedł do wyjścia.
Pozostali milcząc ruszyli za nim.
Stanęli tuż przy krzewach przesłaniających wejście do groty i trzymając konie za pyski, aby nie zdradziły się rżeniem czekali

do wschodu słońca.
Smok i Hargi przeszedłszy bocznymi korytarzami stanęli o poziom wyżej i obserwowali rycerzy przez szeroką szczelinę w podłożu. Widzieli w pierwszych promieniach słońca ozłacających dolinę jak rycerze rozgarniając pnące się krzewy ostrożnie wychynęli z ukrycia. Dosiadali już koni, gdy nagle ze zbocza doliny zsunęły się setki obdartych postaci. Rycerze ruszyli do przodu, aby roznieść buntowników, ale ci zatrzymali pierwszy napór jezdnych. Relbir tnąc wkoło mieczem jednocześnie uważnie śledził sytuacje. Garstkę jego rycerzy otaczały setki napastników uzbrojonych w straszliwą broń chłopskich buntów. Żelazne haki przytwierdzone do długich kijów ściągały rycerzy z koni, kolczaste kule na łańcuchach okręcone ze straszliwą siłą rozbijały końskie łby i miażdżyły pancerze, płonące strzały wyrzucane przez łuczników i kuszników płoszyły rumaki, które stając dęba odsłaniały brzuchy pod uderzenia ostrych noży. Niektórzy z napastników celowo nurkowali miedzy końskimi nogami wypruwając zwierzętom flaki. A gdy koń upadał wrzeszcząca masa pokrywała i jego i jeźdźca. Relbir walczył spokojnie, ale wiedział, że tej walki już nie da sie wygrać. Buntownicy ginęli dziesiątkami, ale i co chwila któryś z jego rycerzy walił się z jękiem na ziemie. Po chwili i Relbira dosięgnęły pierwsze ciosy. Krew zalewała mu oczy, mdlała ręka zmęczona ciągłymi uderzeniami. Nagle tarcza rozprysła się pod ciosem i nim zdołał sięgnął po drugą leżącą na końskim zadzie cios żelaznego drąga zrzucił go z konia. Przez chwile bronił się jeszcze na ziemi rozdając straszliwe ciosy długim, zakrzywionym nożem, ale wkrótce zginął pod ciężarem zalewającej go masy ludzi. Rycerze widząc śmierć swego wodza tym mocniej i wścieklej uderzyli i po chwili pierwsze postacie zaczęły wyrywać się z kręgu napastników. Ale zaledwie co dziesiąty z tych, którzy ruszyli na wyprawę wrócił do zamku.
Smok z Hargim z ukrycia obserwowali walkę, ale bestia liczyła jeszcze na to, że zwycięzcy nie ośmielą się wejść do skalnych grot. Gdy jednak niektórzy zaczęli szukać ukrytych korytarzy i zwoływać się głośnymi okrzykami smok wyfrunął z ukrycia i jak anioł zagłady spadł na rozzuchwalonych pierwszym sukcesem buntowników. Przerażeni rzucili się do ucieczki, gdy nagle głośny okrzyk powstrzymał smoka.
- Alghar! Alghar! Alghar!
Bestia przysiadła i zwinęła skrzydła. Płomienie zgasły w jej paszczy.
- Alghar kejji hegor!
Zielone cielsko zaczęło drżeć. Ciężkie westchnienie wyrwało się z , gardzieli.
Do przodu przed grupę buntowników wyszedł starzec podtrzymywany silnymi dłońmi dwóch mężczyzn.
- Alghar kejji amenu! Alghar kejji mard!
Łapy ugięły się pod smokiem i ciężko dysząc legł na ziemi.
- Maggora semi kerd vittu Alghar! Kardo semi wejja Alghar! Ramana semi roja vittu Alghar!
Czerwony płomień objął nagle smocze cielsko, bestia wzbiła sie w powietrze jak ognista strzała i opadła z wyciem, rozbijając się o pnie drzew.
Radosny okrzyk przeleciał przez szeregi buntowników. Hargi dopiero teraz ocknął się z odrętwienia. Otarł błyszczącą w oku łze, po czym zatrzasnął przyłbice i nasunął na dłonie skórzane rękawice. Przez ramie przewiesił rzemień prostokątnej tarczy. W dłonie ujął przygotowaną już do strzału kusze, ostrze świsnęło i utkwiło w piersi starca.
Ktoś zauważył, z której strony nadleciała strzała i kilkudziesięciu chłopów rzuciło się w jego stronę. Ścisnął w reku miecz, wysunął tarcze przed siebie i spokojnie wyszedł na spotkanie nadbiegającej tłuszczy.
Miecz zakreślił półkole i pierwsze ciała upadły na ziemie. Srebrzysta aureola otoczyła zbroje Hargiego, a miecz rozbłysnął złotym płomieniem.
Buntownicy cofnęli się przerażeni tym widokiem, ale rycerz szedł za nimi, a miecz kreśląc kręgi spadał nagle i niespodziewanie na ciała. Każde żelazo, każda tarcza pryskały w starciu z mieczem, a broń napastników nie mogła pokonać tarczy i zbroi rycerza. Ale Hargi kątem oka dostrzegł, że kilkuset mężczyzn wdarło sie już do skalnych grot. Przez zamaskowane wejście zaczęły sie sączyć strużki dymu.
Blask miecza przygasł, a i srebrna aureola zniknęła nagle jakby rozwiana podmuchem wiatru.
Hargi oparł ostrze na ziemi i czekał aż napastnicy podejdą ku niemu. Nie potrafił stłumić bezradnego szlochu.

Jacek Piekara

Warszawa - Bielsko Biała 15.01.-7.02.84
O autorze: patrz „Fantastyka" nr 8/83.

Intryga

Andrzej Drzewiński

Wdrapałem się na pokład spacerowy; szczęśliwie jeden z leżaków był pusty. Obok spoczywał łysy osobnik z gęstą czarną brodą. Żuł nie zapalone cygaro. Gdy siadałem, łypnął na mnie zza rozłożonej gazety. Z ulgą rozprostowałem kości, gdyż podróż koleją, a potem szaleńcza jazda taksówką w upale bardzo mnie zmęczyły.
Na statku panował ruch i krzątanina, jak zwykle w chwili odejścia z portu. Bagażowi roznosili walizy i bukiety kwiatów, wszędzie biegały podekscytowane dzieciaki i głośniki sączyły ckliwe melodie. Na szczęście, wraz z gwizdem syren, przyleciał znad morza lekki, słony wiatr. Po raz ostatni dały się słyszeć okrzyki pożegnań i po chwili pokład spacerowy zapełnił się ludźmi. Akurat gdy minęliśmy główki falochronu, powietrze zahuczało od ich głosów. Gadali, paplali, mruczeli i szczebiotali słychać było tylko miarową wibracje dźwięków. Zdesperowany przykryłem twarz tygodnikiem. Gong na obiad był ostatnią rzeczą, którą zarejestrowałem. Ktoś-potrząsał moim ramieniem, delikatnie, lecz stanowczo. Otworzyłem oko i senne jeszcze zmysły zawiodły mnie w pierwszej chwili. W końcu poznały leżak i szum wody.
- Jest już wpół do siódmej, proszę pana - oznajmił cichy szept. - Za pół godziny kolacja.
Uśmiechnięty mężczyzna zniknął w cieniu nadbudówki. Jeszcze przez moment śledziłem biel jego uniformu. Na pokładzie wszystkie leżaki były poskładane i przypięte pasami. Musiałem spać kilka godzin, gdyż niebo się zachmurzyło, a słońce leżało bardzo nisko. Z zamętem w głowie wstałem i, przypominając sobie numer kajuty, zszedłem po schodkach, poganiany chłodnym wiatrem. Dość długo błądziłem po krętych korytarzach szukając swojej klitki. Niestety, nie stać mnie było na pierwszą klasę.
Zgęstniałe i mdłe powietrze uderzyło mnie w twarz zapomniałem włączyć wentylator. Naprawiłem swój błąd i poszedłem pod prysznic. Po kąpieli na zegarku brakowało dziesięciu minut do siódmej. Wentylator łomotał, jak obłąkany motyl. Wole to niż zaduch.
W lustrze w korytarzu prezentowałem się wspaniale: czarne bawełniane spodnie, czarna koszula z białymi lamówkami, beżowe buciki i mięciutka skórzana kurtka. Mijałem właśnie zakręt ciągle pustego korytarza, gdy ktoś za mną otworzył drzwi. Przystanąłem i delikatnie odchyliłem głowę do tyłu. Kobieta. Wyglądała jak aktorka, której karierę złamało obżarstwo. Był to okaz wręcz laboratoryjny. Blondynka, długie sztuczne rzęsy, przesadny makijaż i chybotliwy krok. Duża lalka w tandetnym guście. Już miałem ruszyć dalej, gdy usłyszałem, jak zwraca się do kogoś w kajucie.
- Martin, pospiesz się - głos miała szorstki, przepity. Idź pierwszy. Wiesz, jak nie lubię psów. Może i tu peta sie jakieś gówno i jeszcze będę musiała je kopnąć. Uśmiechnąłem się złośliwie. Nigdy nie wolno przepuścić takiej okazji. Zresztą facet, do którego przemawiała, nie mógł być groźny, jeżeli taki maszkaron mógł mu rozkazywać. Przycupnąłem, zawarczałem i zaszczekałem głośno. Sądzę, że nawet bernardyn by się mnie nie powstydził. Tłumiąc śmiech kłusowałem na wyższy poziom, słysząc z tyłu histeryczne wrzaski.
Na sali byłem równo z gongiem. Nie czułem głodu, ale pragnąłem widoku ludzi, gdyż podróże zawsze nastrajają mnie nostalgicznie. Prawie wszyscy siedzieli już przy małych stolikach i cicho rozmawiali. Objąłem ich szybkim spojrzeniem. Twarze mężczyzn nie wywołały żadnych skojarzeń. Kobiety były takie, że mogłoby ich nie być. Kelner przyniósł półmisek. Obok ktoś przesunął krzesła. Drgnąłem. Mój współtowarzysz wyglądał na zwykłego turystę i zaraz zabrał się do wędlin.

Na wszelki wypadek ściągnąłem z dużego półmiska swoją cześć. Z tyłu na podium dla orkiestry ktoś grał na fortepianie. Figlarne frazy skakały z miejsca na miejsce stanowiąc swoisty akompaniament dla ludzkich głosów. Sufit pokrywało tandetne niebieskie malowidło przedstawiające ugwieżdżone niebo. Po wyeksponowanej smudze Mlecznej Drogi płynęły znaki zodiaku: gruba Panna, zezowaty Strzelec i niesamowicie powykręcane Bliźnięta.
Przy wejściu usłyszałem szmer przechodzący w głośny hałas. Jego źródło zbliżało się do środka sali. Była nim owa okropna blondynka.
- Chodźcie szybko. Tam w telewizorze jest jakieś draństwo - krzyczała. - Szybko! To świństwo nam grozi i mówi, że wszyscy mamy go wysłuchać.
Ludzie otoczyli ją, śmiali się, ale byli też przestraszeni. Szybko przełykałem ostatnie kęsy. Zbiorowisko rosło w oczach. Po chwili wszyscy ruszyli do sali telewizyjnej. Podreptałem za nimi.
Do małej salki wepchało się już ponad dwieście osób. Panowała kamienna cisza. Wszyscy bez względu na to, czy stali, czy siedzieli - w nabożnym skupieniu wpatrywali się w telewizor - jedyne źródło światła na sali. Nie widziałem żadnego obrazu. Twarze ludzi nabrały gipsowej tonacji. Nagle, idealnie biały dotąd prostokąt zmienił barwę na zgniłozieloną. Z osłupieniem stwierdziłem, że kamera pokazuje olbrzymią, przelewającą się masę. Metaliczny głos przemówił z ekranu.
- Uważamy, że już większość z was słucha, bądź ogląda nas teraz. To wystarczy, gdyż reszta dowie się od was. Wy zgniłki! Jesteśmy przedstawicielami tak wysoce rozwiniętej cywilizacji, że nigdy nie pojmiecie nawet części tego, co umiemy. Macie szczęście, gnidy, że wasz poziom rozwoju przekroczył pierwszy próg intelektualny. W przeciwnym razie nie cackalibyśmy się z wami. Aha, to co mówimy nie jest żartem jakiejś waszej kretyńskiej stacji radiowej, bądź telewizyjnej. Sprawdźcie na innych pasmach. Tam jest to samo.
Ktoś bliżej siedzący przeleciał palcem po klawiaturze kanałów. Wszędzie przelewała się obrzydliwa bryja chrypiąc w różnych jeżykach.
- Przekonaliście się. A teraz, do rzeczy! Poddamy was testowi, który zadecyduje o waszym losie. Jeśli go zdacie, to odlecimy z tej planety, która jest zbyt piękna, byście na niej żyli. Ale nie obawiajcie się jaskiniowcy, zdanie testu uczyni was bezpiecznymi. Lecz, gdy go oblejecie, biada wam! Usuniemy was. Po prostu zdezynfekujemy glob od tak cudacznych istot. Wy ssaki! - tu głos na moment urwał, jakby dla podkreślenia ostatniej uwagi. - Test polega na tym, że musicie znaleźć jednego z nas. Dziesięciu moich współbraci opanowało psychikę dziesięciu z was i posługuje się ich ciałami. Zamiany dokonaliśmy już kilka godzin temu i jak na razie nic nie wzbudziło waszego podejrzenia, wy trzesadła. Ta dziesiątka jest rozrzucona po całej planecie. Macie czterdzieści osiem godzin od końca tego komunikatu na zdemaskowanie przynajmniej jednego z naszych. Gdy go unieszkodliwicie, zaliczamy wam test, wy gnypy! To nie jest żart. Ci, którzy są po ciemnej obecnie stronie globu będą mogli ujrzeć za pięć minut ciekawe zjawisko. Zabarwimy ćwiartkę Księżyca na zielono. Idźcie to zobaczyć, niedowiarki. A później szukajcie naszej dziesiątki. Pamiętajcie, to może być każdy z was! - Głos zamilkł a na ekranie pojawił sie obraz Ziemi z dużej odległości.
Zawisła wśród nas upiorna, niczym nie ożywiona pustka. Ktoś zaśmiał się idiotycznie, ale dostał zaraz po gębie i krztusząc się zamilkł. Ktoś walił pięścią w telewizor. Człowiek w mundurze wbiegł z okrzykiem: „...w radiu było to samo”. Każdy chciał coś powiedzieć, bądź zrobić i dopiero po chwili wszyscy wpadli na pomysł, że należy jednak obejrzeć Księżyc. Jak wariat biegłem na górę. Nagle pociemniało mi w oczach. Ktoś musiał wyłączyć albo uszkodzić oświetlenie pokładu; po omacku dotarłem do burty. Zadarłem głowę, mocno zaklinowany w ciżbie ludzkiej.
Nigdy nie widziałem takiego nieba. Wręcz namacalnie odczuwałem zawieszenie wśród niewyobrażalnej mnogości gwiazd. Z dalekiej pustki biły strugi srebrnego światła, a po popielatym niebie sunął biały krąg Księżyca. Szczyty kominów i nadbudówek migotały w fosforycznym tle, tracąc swoje kontury; zdawały się zwisać i płynąć nad nami. Nad stłoczonymi ludźmi wiła się para oddechów. Raptem wszyscy westchnęli. Dolna cześć tarczy Księżyca nabrała dziwnego, nasycającego się koloru. Była to barwa świeżego ogórka.
Tak to wyglądało. Baliśmy się kiedyś Przybyszów, modliliśmy się do nich, mówiliśmy, że nie istnieją. A tu takie coś! Zostaniemy poddani testowi, który rozstrzygnie czy mamy dalej istnieć. Wtórując moim myślom, jakiś męski głos zajęczał:
- Chcą dezynfekować, rozumiecie! Jesteśmy robactwem, brudnym robactwem. Ach wy! - ryknął, nie wiadomo czy do nas, czy do nich. - I nadszedł dzień, kiedy Pan miał nad dość - głos wzniósł się do pisku. - Pacem in terris! Wołajcie łajdacy! Może usłyszą nas i odejdą.
- Morda w kubeł! - zawył ktoś w drugim końcu sali. W stronę kaznodziei poszybowała butelka.
Zaraz odezwały się przekleństwa.
- Połączcie mnie z ambasadą - histeryzowała niedoszła aktorka i w geście ekshibicjonizmu zerwała z głowy perukę, którą poczęła okładać stojące wokół niej osoby.
Na moich plecach wisiała chuda nastolatka. Kopała mnie po kostkach i wrzeszczała, że mamy mnóstwo bomb, którymi rozwalimy zielone paskudztwo. Gość o wyglądzie hippisa wspiął się na daszek nad pomostem i zaczął tańczyć coś pośredniego miedzy tańcem św. Wita a hulagulą. Niedługo to trwało. Daszek się załamał, akrobata wśród wyzwisk i trzasku szkła wylądował na czyichś głowach. Znowu nad tłumem przeleciała butelka. Nagle pojawił się na pokładzie człowiek z megafonem. Nosił kapitańskie szlify.
- Proszę się uspokoić, mówi do państwa kapitan statku. Opanujmy nerwy, wszystko będzie w porządku. - Pewny głos zdradzał, że kapitanowi już się zdarzało uspokajać histeryków. Szamotanina ucichła. - Moim obowiązkiem jest przedstawienie faktów. Transmisja, która państwa tak wzburzyła, była nadawana na wszystkich pasmach radiowych i telewizyjnych.
- To wiemy!
- Obserwowaliśmy Księżyc. Wystąpiło rzeczywiście zabarwienie powierzchni naszego satelity. Przed minutą powróciła łączność radiowa; z pierwszych komunikatów wynika, że na całej Ziemi zdarzyło się to samo. Teraz w eterze panuje taki chaos, że każdy musi liczyć tylko na siebie. Proszę państwa, kontakt z inną cywilizacją został nawiązany. Musimy wiec stanąć na wysokości zadania. Pokażemy, że „Ludzkość” brzmi dumnie - zakończył kapitan pompatycznie.
- Pokażemy tej zielonej zgniliźnie! - krzyknął garbaty facet z diamentową szpilką w krawacie i zaczął skandować. - W mordę ich, w mordę ich...
Znów podnosił się rejwach.
- Spokojnie, tylko spokojnie - wtrącił kapitan. - Naukowcy z pewnością coś wymyślą. Nie dajmy się zwariować.
Zauważyłem dopiero teraz, że coraz silniej rzuca na falach. Mokry wiatr uderzał mnie po plecach. Mimo to, niebo było czyste.
- Rewizje zrobić! Dorwiemy zielońca!
Okrzyk podchwycili inni. Wymachiwali rękoma i podskakiwali po trzeszczącym pokładzie. Kapitan się cofnął.
- Nie, proszę państwa. Nie jesteśmy do tego uprawnieni. Zagłuszyli go.
- Najpierw kapitana. Sprawdzimy kolor jego tyłka wyła nastolatka z moich pleców.
Kapitan zadziwił mnie.
- Nie. Nie zgadzam się! - krzyknął rozpaczliwie i próbował czmychnąć. Ciżba zastąpiła mu drogę.
Chwila zawieszenia, kiedy spojrzenia dwóch setek osób krzyżowały się ze spojrzeniem faceta w mundurze i, jak na komendę, rzucili się na niego. Ryknął przykryty tłumem i po chwili zobaczyłem go już bez uniformu. Tumult był taki, że przyciśnięty do barierki o mało przez nią nie przekoziołkowałem. Jeszcze słychać było trzask tratowanych leżaków, gdy rozniósł się okrzyk triumfu. - To on! Patrzcie - wołał jeden z facetów



trzymających kapitana.
Ten przestał się wyrywać. Z głupkowatym uśmiechem tkwił w uchwycie czterech elegancko ubranych dżentelmenów. Był rozebrany do skarpet i... damskich koronkowych majtek.
- To jest dowód, że jesteś zielońcem - powiedział kategorycznie najstarszy z dżentelmenów. - Nawet nie wiesz, jak się ziemianie ubierają, zaprzańcu!
- Ludzie, ja po prostu łubie chodzić w damskiej bieliźnie
- zajęczał kapitan.
- Gadanie!
- Nie słuchajcie go!
- Za burtę parcha! - wyła tłuszcza. - Niech się pomoczy. Chwila i wlekli go po pokładzie. Czepiał się ich nóg, prosił, zaklinał; na próżno. Ostrożnie przesuwałem się do tyłu, gdyż wiedziałem już co tu nastąpi. Żałośnie rozciągnięta w powietrzu sylwetka kapitana zatrzepotała jeszcze i z jękiem poleciała w noc.
Głośny plusk potwierdził oczekiwania wszystkich, ale nic poza tym. Żadnego błysku, głosu z góry „OK, rozgryźliście nas". Nic! Wszystko było, jak przedtem. Ludzie stali zbaraniali. Spoglądali za burtę. Ktoś zaklął.
- Cholera, stąd do brzegu kilkanaście mil. Nie dopłynie.
- Pięćdziesiąt mil - poprawił marynarz.
Zapadło milczenie. Zdawało mi się, że słyszę walenie setki serc. Pierwsza ocknęła się czwórka oprawców.
- On był w porządku, tyle że zboczeniec. Ale co do reszty, to niczego nie jesteśmy pewni.
Gdyby w środku wybuchł granat, lepszego efektu by nie wywołał. Ludzie rozbiegli się po statku, paru starych mężczyzn podbiegło do czwórki i dobrowolnie się rozebrało. Strąciłem z pleców nastolatkę. Padłem na pokład i zacząłem się czołgać w kierunku drzwi, gdzie w świetle korytarza dziarska czwórka dokonywała przeglądu. Na pokładzie natomiast zebrało się kilka osób, które po krótkiej dyskusji zaczęły wyłamywać oparcia od leżaków, robiąc z tego podręczne pałki. O mały figiel nie zdekonspirowałem się, gdyż tryknąłem głową w jakieś żelastwo. Masując czoło, przyłożyłem ucho do desek pokładu. Słychać było tupot biegnących ludzi. Czwórka dżentelmenów zaczęła się podpisywać na rekach tych, których już sprawdzili. Idiotyzm, przecież Obcy nie są na tyle głupi, aby dać się rozpoznać przy powierzchownym oglądaniu. Nagły ryk obwieścił mi, że ci od leżaków zaatakowali czwórkę dżentelmenów. Trzaski. Łomoty. Ktoś krzyknął:
- Moje oko! Moje oko!
Pękł klosz i dalej walka odbywała się w ciemnościach. Nie mogłem tego obserwować, gdyż czyjaś ciepła dłoń, znienacka wślizgnęła mi się za koszule. Nastolatka przyczołgała się za mną i teraz szeptała mi do ucha.
- Kochajmy się - To nasza ostatnia noc.
Sapała. Obraz walki musiał ją niezdrowo podniecić. Zrzuciłem ją z siebie, gdyż nie lubię podfruwajek.
- Spływaj, idiotko - warknąłem.
- Ty stary kapłonie - zrewanżowała się. - Zieloniec, mam zielońca, ratunku! - zapiszczała.
Teraz chciałem ją powstrzymać, ale uciekła i wrzeszczała dalej. Słysząc tupot nadbiegających mężczyzn dałem nurka w ciemność. Nie zważając na zwoje lin i żelastwa, rwałem do przodu, przesadziłem jakąś barierkę i już byłem w części dziobowej.
Było tu pusto, nad moją głową wisiały gwiazdy. Odgłosy pogoni ucichły. Położyłem się na płask i wyjrzałem w dół, wodny pył zraszał mi twarz. Pług okrętu ciął fale i skiby piany. Jak zafascynowany patrzyłem na ginące w ciemnościach strużki wody spływające z metalowej powierzchni. Już zapomniałem, gdzie jestem, gdy padło na mnie światło latarki.
- Wstawaj - warknął z góry jej właściciel. - Łapy na kark!
Podniosłem się, ściskając w dłoni zardzewiałą śrubę, która mi się akurat napatoczyła. Udałem haniebne przerażenie.
- O co chodzi? Jestem zupełnie normalny.
- Dobra, dobra. Chodź tu, musze to sprawdzić.
Statek drgnął silnie, osobnikiem zachwiało i mogłem dostrzec, że nosi strój marynarski. Ale znów pochwyciło mnie światło latarki.
- No... - ponaglił. Stanąłem pod drabinką.
- Boje się - powiedziałem.
- Cholera - zaklął marynarz. -Jak mogłeś zleźć, to i wleziesz.
- Jasne! - Z całej siły rzuciłem weń śrubą.
Celowałem w brzuch. Stęknął i usiadł na deskach. Ruszyłem w półmroku. Bez trudu odnalazłem drogę na pokład spacerowy. Wiatr świstał na daszku i gdyby nie połamane leżaki, porzucone marynarki i kawałki szkła nie uwierzyłbym własnej pamięci. Z głębi statku dochodziły podniesione głosy. Znowu? Rozejrzałem się w panice, ciągle pamiętając o marynarzu i przykucnąłem za jedynym nie uszkodzonym leżakiem.
- Zostawcie mnie! Jestem niewinny - krzyczał kolejny nieszczęśnik niesiony za burtę.
Był to łysy brodacz, którego widziałem po południu. Runął za barierę, jak kamień.
- Cholera, znów nie ten - syknął jeden z oprawców, gdy tylko plusnęła woda.
Na korytarzu rozległ się huk broni palnej. Mężczyźni bez słowa pobiegli z powrotem. Najwyższy zrzucił po drodze paskudnie rozdartą marynarkę, która spadła koło mej kryjówki. Gdy zniknęli, podążyłem za nimi najciszej, jak tylko mogłem. Kilka metrów dalej oświetlenie działało i mogłem podziwiać porzucone na chodniku drobiazgi. Ominąłem korytarz, skąd dochodziły dzikie wrzaski, i nie zaczepiony przez nikogo dotarłem do baru. Na kontuarze siedziało dwóch zalanych. Dojrzeli mnie, grubszy wyciągnął flaszkę „Scotta" w moją stronę.
- Chodź się napić. Będziesz miał alilibi..., gdyż zieloo... ńce nie

piją - czknął i o mały włos nie poleciał na twarz.
Popukałem się w czoło i wyszedłem. Zaraz za rogiem zwalił mnie z nóg potężny strumień wody. Oślepiony upadłem na podłogę i na czworakach starałem się odczołgać w bezpieczne miejsce. Niechlujny typ z koszulą rozpiętą do pępka, dzierżył w ręce końcówkę węża od hydrantu.
- Mam cie, mam cie - porykiwał.
Byłem w rozpaczy. Na śliskim chodniku nie miałem żadnego oparcia. Kolejne uderzenia wody rzucały mnie na kolana. Zabawa długo by pewnie trwała, gdyby ktoś nie chwycił mnie za stopę i. nie wyciągnął z pola rażenia. Szorując brzuchem wyjechałem za załom korytarza. Porykiwania mego wodnego tresera nie ustawały:
- Chodźcie, chodźcie tu, każdego tak załatwię! Stanąłem na nogi, wytrząsnąłem wodę z uszu i przyjrzałem się wybawcy. Nienagannie ubrany starszy pan. Dziwny był tylko jego krawat, równo obcięty w połowie. Musiał zauważyć moje zdziwienie, gdyż wyjaśnił:
- Nieodpowiedzialny młody człowiek rzucił się na mnie z nożem i takie są skutki.
Pokiwałem głową.
- Tu się kreci mnóstwo nieodpowiedzialnych ludzi.
- Ma pan racje - zgodził się i gestem dłoni pokazał mi schody. Ruszyłem pierwszy. Mokre ubranie zaczynało mi ciążyć. Nagle uczułem jak na wysokości siódmego kręgu wciska się w moje plecy coś tępego.
- Podnieś ręce - syknął facet - trzymam brauninga, jeśli masz wątpliwości.
Nie śmiałem ich mieć i uniosłem ręce, a namoczone rękawy zjechały mi do łokci. Z dołu dochodziła lekka woń spalenizny, ale zbadanie jej źródła odłożyłem na później.
- Jestem człowiekiem... - zacząłem, ale on zniecierpliwiony uciął.
- Cicho! Prawą ręką wyjmij portfel i upuść go na podłogę. Tylko powoli.
Zrobiłem co kazał.
- Niech cie cholera weźmie! Wszystko mokre - kwękał zaglądając do portfela. Nacisk lufy osłabł. Korzystając z tego, odbiłem się od stopnia i przerzuciłem ciało nad poręczą. Wylądowałem na podeście i pobiegłem przed siebie.
- Stój, bo cie rąbnę!
Na szczęście nie strzelał. Przebiegłem jeszcze kilkanaście metrów i wpadłem w środek walki. W korytarzyku prowadzącym do sterówki część pasażerów, pod wodzą znanej mi czwórki dżentelmenów, szturmowała wejście, którego broniła załoga. Nacierający używali szczątków krzeseł i butelek. Załoga miała pod ręką sprzęt przeciwpożarowy i za jego pomocą odpierała ataki. Kolejne strumienie piany z gaśnicy uspokoiły właśnie nacierających, którzy okropnie bluźniąc odstąpili na bezpieczną odległość. Dwaj najsilniej rażeni po omacku człapali w stronę łazienki. Ale już gaśnica zachłysnęła się, zabulgotała i umilkła. Napastnicy natychmiast rzucili się do natarcia. W ciasnym korytarzyku mogły stać koło siebie tylko dwie osoby. Nie przyglądałem się bezsensownej walce, tylko ostrożnie się wycofałem.
Ominąłem wyłamane drzwi do kajuty, przed którą tliły sie szmaty i papiery. Co za idiota sfajczył furto z karakułów. Przez uchylone drzwi było widać czyjąś nogawkę. Stopa była ułożona pod tak nieprawdopodobnym kątem do reszty nogi, że jej właściciel był akrobatą, bądź trupem. Wzdrygnąłem się i podreptałem dalej. Moja kabina, o dziwo, była nienaruszona. Z ulgą zmieniłem przemoczone ubranie. Potem porwałem z łóżka koc z kołdrą i wyrzuciłem na korytarz. Sąsiednie dwie kabiny były otwarte, tak wiec mój łup zwiększył się o następne koce i kołdry. Zwinąłem wszystko w pakunek i czujnie zerkając na boki, dotarłem na pokład. Było chłodno, ale deszcz, którego najbardziej się obawiałem, nie padał. Fala również jakby zmalała. Podszedłem do ciemnych sylwetek łodzi ratunkowych i odciągając pokrowiec wrzuciłem mój dobytek. Wiatr poświstywał cicho na linkach, wtórując słabemu stukotowi, gdy burta łodzi obijała się o wysięgniki. Umieściłem się wygodnie. Byłem zmęczony. Z wnętrza okrętu wciąż dobiegały hałasy, a ja wpatrzony w migotanie gwiazd sam nie wiem, kiedy zasnąłem.

Diki ryk syreny obudził mnie. Wchodziliśmy do portu. Brzeg był nie dalej, jak pół kilometra. Lecz nie tylko mgła psuła widoczność. Z przerażeniem obserwowałem kłęby dymu bijące słupami w wielu miejscach nad dachami domów. Duży budynek portu morskiego palii się żywym ogniem, a po lewej stronie, zanurzony do połowy, tkwił przy rozbitym nabrzeżu uszkodzony frachtowiec. Syrena wyła aż do bólu uszu. Z tyłu po pokładzie bębniły kroki.
- Statek nasz! Sterówka zdobyta, zielonce... - zaczął mały jegomość i urwał na mój widok.
Chwile stał nieruchomo, a wiatr powiewał jego porwaną garderobą. Pod okiem miał dużego fioletowego sińca.
- Kapuś, mam kapusia! - krzyknął i pobiegł z powrotem.
Czasu było mało. Ze skrytki w łodzi wyjąłem kamizelkę ratunkową. Ściągnąłem mocno zapięcia, wiedząc, że mało jest rzeczy tak przykrych przy skoku z dużej wysokości, jak luźna kamizelka. Przy uderzeniu o powierzchnie wody podrywa ją w górę i można stracić zęby bądź całą szczękę. Chciałem jednak uniknąć innego niebezpieczeństwa, dlatego słysząc tupot kroków, skoczyłem jak najdalej od burty. Świst powietrza, stalowy płaszcz wody, uderzenie, zieleń oceanu, bąble powietrza i mokry wypływam na powierzchnie. Wysoka skała statku z kilkoma figurkami, które wymachują pięściami, oddala się. Odwracam się do niej plecami i zaczynam metodycznie rozgarniać wodę. Do brzegu mam dwieście metrów.
Nie płynąłem długo. Akurat z chlupotem wdrapywałem sie po stopniach nabrzeża, gdy dobiegł mnie daleki trzask. Odwróciłem się. Mój statek wbijał się w beton falochronu. Małe sylwetki skakały do wody; nawet tutaj dochodziły ich krzyki. Zgiąłem rękę w wymownym geście. Sforsowałem jakiś płot. Zrzuciłem kamizelkę, wykręciłem nogawki spodni. Przemknąłem alejką wysadzaną akacjami i dotarłem do ulicy. Niestety, od razu dostrzegłem, kilka rozbitych wozów i tęgą bijatykę pod domem towarowym. Uniosłem głowę do góry - ta sama zabawa dwóch typów goniło trzeciego po dachu domu. Za nimi biegła naga kobieta z nożami w. dłoniach. To mi wystarczyło. Miałem dość. Na rogu był bar. Kuta tablica przedstawiała konia, był tam też napis „Czarny rumak". Drzwi zostawiono uchylone. Było pusto i schludnie. Mimo kilkakrotnego chrząknięcia nikt się nie zjawiał. Wszedłem za kontuar, drzwi prowadzące na zaplecze były zamknięte. Rad nierad, musiałem obsłużyć się sam. Wyciągnąłem butelkę koniaku, sok pomarańczowy i tackę z kanapkami. Na ladzie rozłożyłem golf, aby trochę wysechł. Parę łyków alkoholu rozgrzało żołądek i pobudziło spostrzegawczość, gdyż dopiero po nich zauważyłem aparat telewizyjny stojący na półce. Dotknąłem włącznika.
- Ludzie wybaczcie i opanujcie sie- Prosimy was - dobiegł znajomy głos.
Zastygłem z nieprzełkniętym kęsem.
- To był tylko żart. Chcieliśmy was trochę przestraszyć. Nie myśleliśmy, że weźmiecie to tak dosłownie. Opanujcie się. Wśród was nie ma żadnego z moich współbraci. My tylko żartowaliśmy. Wysłuchajcie nas. Za godzinę nasze statki wylądują w kilkunastu punktach waszego globu i pomożemy wam dojść do ładu. Czekajcie spokojnie. Oczywiście, że to wszystko nasza wina, ale nie spodziewaliśmy się.
Głos perorował dalej, ale już nie słuchałem. Spłukałem sobie gardło, przeciągnąłem się i rzucając okiem na bełkoczącą zieloną bryje, wybiegłem na ulice. Tak! Miałem godzinę, aby się odkuć. Tak. O ile mnie pamięć nie myli, to zaraz naprzeciwko był jubiler, a kawałek dalej salon samochodowy. Musiałem się pospieszyć. Chwyciłem krzepko cegłę leżącą przy krawężniku i stanowczym krokiem ruszyłem na drugą stronę jezdni.

Andrzej Drzewiński

Opowiadanie „Intryga" zdobyło w 1983 r. jedną z trzech równorzędnych nagród w Ogólnopolskim Konkursie PSMF na opowiadanie o tematyce science fiction.

Pułapka pod księżycem

to kolejna książka Marka Baterowicza (ur. 1944 w Krakowie), tłumacza poezji i prozy iberoamerykańskiej, autora trzech tomików poetyckich i mikropowieści fantastyczne) „Rękopis z Amalfii" (1977), „Pułapka..." jest zbiorem 15 opowiadań rozdzielonych na dwa kręgi tematyczne: „Pod rękę z jawą" i „Pod skrzydłem chimery". Pierwszy wprowadza nieco więcej odniesień do rzeczywistości, domieszkę scen rodzajowych oświetlonych blaskiem nieoczekiwanych sytuacji, które zmieniają nasze sposoby widzenia świata („Drabina Hieronima", „Czekając na siódemkę" etc). Drugi wkracza w krainę czystej fantazji: jest podobny wizjom surrealistycznym, marzeniom sennym drążącym odwieczne zagadki ludzkiego istnienia. Baterowicz sięga do różnych konwencji, działa nastrojem, skojarzeniami, bliski jest poetyce science fiction (w opowiadaniach „Cień nad mrowiskiem",„Zamrażalnik idei"), chociaż nie zawsze wykorzystuje tkwiące w niej możliwości, (an)

Marek Baterowicz: Pułapka pod księżycem. Wydawnictwo Literackie, Kraków - Wrocław 1983 Cena 30 zł.

Wizjoner czy fantasta

jest pierwszą monografią Wojciecha Gutkowskiego (1775-1826). Autor tej książki Julian Bartyś z Instytutu Historii Materialnej Polskiej Akademii Nauk, inicjator wielu prac o charakterze społeczno-gospodarczym, zmarł 9 czerwca 1982 r. w Łodzi w przededniu otrzymania tytułu profesora. Tak się składa, ze sylwetkę Wojciecha Gutkowskiego - oficera i wolnomularza - przypominamy, w „Słowniku autorów fantastyki" (por. s. 56), nie jest to zatem postać całkowicie zapomniana. Dobrze się jednak stało, ze po wielu latach twórczość tego autora doczekała się naukowego opracowania Książka Juliana Bartysia składa się z dwóch części opisujących życie i działalność Gutkowskiego oraz genezę i problematykę „Podróży do Kalopei". Do pracy dołączona jest bibliografia przedmiotu, która ułatwi kontakt z porywającymi wizjami Gutkowskiego. Szkoda tylko, że niewielki nakład (5000 egz.) i wysoka cena książki zniechęcą wielu potencjalnych czytelników, (an)

Julian Bartyś: Wizjoner czy fantasta Wyd. Lubelskie, Lublin 1983. Cena 200 zł.

Katherine od wtorku do wtorku

Jest połowa marca-84, czytam w odbitkach szczotkowych „Śmierć na żywo" Comptona (tytuł oryginalny „The Unsleeping Eye, The Continuous Katherine Mortenhoe"), nie wiedząc jaki tekst puści wydawca na tylną okładkę. Niby wszystko mi jedno, ale niezupełnie. Pozbawiony notki, pozbawiony jestem najdrobniejszej informacji o autorze. Na pewno znajdzie się tam wzmianka o filmie Tavemiera nakręconym na podstawie powieści. O czym jeszcze? W „Fantastyce i futurologii" Lema nie ma o Comptome ani słowa: powieść ukazała się po raz pierwszy w 1974 roku po ukazaniu się obu wydań „Fif". Nie pamiętam czy przy okazji filmu krytycy mówili coś o autorze książki. Może tak, może nie. Co robić? Dzwonić do przyjaciół, by zajrzeli dla mnie do najnowszych obcojęzycznych leksykonów SF, dzwonić do tłumaczki, do redaktorów, czy poprzestać na tym, co w książce9 Analizować
powieść z pominięciem autora, czy przeciwnie, spróbować zrekonstruować go sobie - „jedynego, prawdziwego, ciągłego, Comptona" - tak jak jego bohater Roddie, człowiek z teleoczami, podejmuje się „zrekonstruować' dla milionów widzów śmiertelnie chorą Katherine Mortenhoe9 Chcąc nie chcąc wiem o nim jednak coś niecoś. Mam wrażenie, że wiem Lem o nim me pisze, czyli „Śmierć na żywo" jest to najpewniej debiut Comptona, a w każdym razie pierwsza znacząca rzecz w dziedzinie fantastyki. Nie jest więc Compton człowiekiem wiekowym. Nie może być tez młodzieniaszkiem - powieść napisał z dużą, zadziwiającą jak na SF kulturą i zwracającą uwagę wnikliwością psychologiczną. A więc dziś byłby to facet raczej nieco po, niż tuz przed czterdziestką. I najprawdopodobniej z dorobkiem w innej niefantastycznej dziedzinie - przynajmniej prasowym, powieści tak składnej i pełnej życia nie robi się od pierwszego złożenia. W dodatku jednym z przesłań powieści jest paszkwil na pazerne, ludożercze wręcz dziennikarstwo, nie uznające żadnych tabu. Prawie na pewno facet miał do czynienia z publikatorami.
Z prasą, telewizją, może z krytyką filmową. Wskazywałaby na to postać bohatera, który po techniczno-medycznym zabiegu „filmuje oczami" Lecz nie tylko to. Nie powiem, ze książka od tego aż pęka, ale dla spostrzegawczego jest w niej sporo filmowych akcentów. Zajęcie, jakie wykonuje Roddie, reporter koncernu telewizyjnego, to w prostej linii rozwinięcie modnej w latach sześćdziesiątych szkoły „cinema-verite (kino-prawda) Opowieść o kobiecie, która ma umrzeć, a którą oglądamy w jej ostatnich godzinach - to zręczna trawestaqa tematu filmu Agnes Varda „Cleo od 5 do 7", który erę cinema-verite w pewnym sensie otworzył. Przemienność partii pisanych w książce w pierwszej i trzeciej osobie oraz zmiany narratora przywodzi na myśl sztuczki formalne francuskiej filmowej Nowej Fali. Jedna ze scen książki (Katherine igra z psem na plaży na tle zachodzącego słońca) wiedzie ku bliźniaczej scenie z filmu Lelucha „Kobieta i mężczyzna" nakręconego u schyłku lat sześćdziesiątych... Tezę o związkach z kinem potwierdzałby w dodatku wiek pisarza. Jeśli jest co najmniej czterdziestoparolatkiem, jak zakładam, to był wystarczająco dojrzały, by obejrzeć wymienione tu filmy we właściwym im czasie, i wystarczająco młody, by wywarły nań wpływ. Za co się zresztą temu kinu (jest raczej Anglikiem niż Amerykaninem; Amerykanie w Nowej Fali nie gustowali) w osobie francuskiego reżysera, Taverniera, odwdzięczył. Książka wypada zresztą lepiej od ekranizacji Taverniera. Jest solidniej umotywowana psychologicznie, bogatsza w odcienie, ciekawsza obyczajowo. Film obok kontemplacji dzikich pejzaży stawiał głównie na piękną, zbolałą twarz Romy Schneider; do tego dołączyła potem wzmacniająca mitologię filmu śmierć aktorki - nie czas na myślenie gdy na ekranie oglądamy gasnącą gwiazdę. U Comptona inaczej, w powieść wpisano wręcz protest przeciw odbiorowi życia jako potoku obrazów. Roddie zakochuje się w Katherine, starzejącej się kobiecie, ale kiedy przypadkiem ogląda ją na ekranie, stwierdza, że jego oczy-kamery nie zarejestrowały tego, co czuło serce. Patrzycie nie widząc, wygarnia Compton całej naszej cywilizacji, im więcej oglądacie, tym mniej dostrzegacie... Ciekawe, ze często są filmowane właśnie te książki, które urągają filmowcom. Mozę to jest metoda9
Ale i filmujące oczy, i publikatorowa histeria wokół śmierci, i otoczka techniczna towarzysząca filmowaniu Katherine, i nawet migawkowe uwagi o jej komputerowym pisarstwie - są w powieści tłem dla wydarzeń głębszych, wziętych juz (tu bardzo przepraszam fanów1) z prawdziwej literatury Opowiada nam Compton w gruncie rzeczy o tajemnicy i wyzwaniu do wielkości, jakie jeden człowiek stanowi dla drugiego człowieka i jakie dla wszystkich stanowi cierpienie. Historia jest
prosta: mamy Katherine, która związała się z właściwym mężczyzną, porzuciła go potem na rzecz niewłaściwego, by wreszcie przejść kawałek trudnej drogi u boku trzeciego mężczyzny, który popełnił podobny błąd jak ona, ale jest na tyle dzielny, by uratować serca i dusze ich obojga. A nawet czworga. Przyznacie państwo, ze mało w tym cywilizacyjno-techniczno-humamstyczno-dziarskiego mentorstwa SF, i ze po kolejnej przeładowanej rekwizytami ramotce opisującej spotkanie ze znanym na pamięć Nieznanym, brzmi to co najmniej zachęcająco. I otóż naprawdę jest to dobrze zrobione. Compton czuje kobiety; delikatne okrążanie się, badanie płci jedna przez drugą wychodzi mu wspaniale. Czuje także majestat śmierci i pozorną irracjonalność ludzkich zachowań w sytuacjach krańcowych. Książka jest pełna w dodatku scenek rodzajowych-z nieźle zindywidualizowanymi postaciami. Oglądamy min. szalonego prezesa telewizji, hippisów (zwanych tu „frędzlami"), jednoosobowego szefa lalkowego teatrzyku, bardzo chandlerowskich policjantów, smętnego pedataasystenta Katherine, dwu cynicznych lekarzy... i wreszcie osobę najdurniejszą, najbardziej próżną w tym towarzystwie, zakłamaną i zakompleksioną, pozbawioną zupełnie uczucia empatii - Henry'ego mianowicie, drugiego męża Katherine, będącego - uwaga! - pracownikiem opieki społecznej. Wszystkie poprzednie pochwały musicie państwo przyjąć na wiarę; ale tu dobór profesji do postaci przejrzyście dowodzi, ze nie brak Comptonowi wyobraźni psychologicznej i socjologicznego nosa.
Nie brak mu wielu innych rzeczy. Książka od początku do końca trzyma się kupy, zmusza do myślenia, a ukazując dzięki sztuczkom z narracją to samo z dwu stron - uczy wrażliwości i delikatności. Myślę, że Compton broni się na terenie tzw. normalnej prozy. Autor nie fuszeruje, nie udaje, ze ma do opowiedzenia więcej niż ma, nie wymachuje przesadnie scientystycznymi rekwizytami opowiadając historię człowieczą. Faceci jak on przychodzą do fantastyki od normalnego kina, normalnej literatury, od dziennikarstwa, od życia; patrzący na świat oczami, a nie przez okulary-kamery skostniałej konwencji, nasycają swą prozę prawdziwymi problemami, a tym samym ożywiają gatunek. Starcza im na to inteligencji, wrażliwości, talentu, doświadczenia i pomysłów.

Maciej Parowski

PS. Oto dane o D.G.C. wydobyte z encyklopedii SF. Urodzony w 1930 roku w Londynie. Zajmuje się słuchowiskami radiowymi i prozą głównie psychologiczną - elementy SF występują w niej w małym stężeniu. Debiutował powieścią „The Ouality of Mercy" w roku 1965 i potem napisał ich jeszcze parę... Częściowo trafiłem, częściowo nie - jak w życiu. No, a poza tym, encyklopedie też nie mówią wszystkiego.

David Guy Compton. Śmierć na żywo. Tłumaczyła B. Kuczborska Seria z kosmonautą. Warszawa, Czytelnik 1984. Cena 180 zł.

Ursula Le Guin prawnuczka polskiego emigranta

Ursula Le Gum, jedna z najsłynniejszych pisarek amerykańskich, autorka bestsellerów: „The Left Hand of Darkness” (1969), „The Disposessed” (1974), „The Word tor World is Forest” (1976), podbiła serca naszych czytelników malowniczym cyklem opowiadań „Wszystkie strony świata” (1980) i baśniową historią o planecie Earthsea „Czarnoksiężnik z archipelagu” (1983) O twórczości Ursuli pisali: S. Lem, L. Bugajski, W. Sadkowski, L. Jęczmyk... Ale czy ktoś z jej licznych biografów sięgnął do słowiańskiego rodowodu autorki? Nie sądzę. Fakty brzmią jednak nader wymownie.

W roku 1813, w Warszawie, w zamożnej rodzinie mieszczańskiej, przyszła na świat Petronela Radziejowska, autorka książek dla dzieci i młodzieży, powieściopisarka, publicystka i pedagog. Jej osobowość i poglądy kształtowały się pod wpływem K. Tańskiej. Ojciec Petroneli, zrujnowany po klęsce powstania listopadowego, popełnia samobójstwo w roku 1831. Osierocona dziewczyna pracuje początkowo jako prywatna nauczycielka, później - w roku 1837 wychodzi za mąż za Ludwika Krakowa, uczestnika walk niepodległościowych, skromnego urzędnika poczty. W roku 1838 w rodzinie Kraków przychodzi na świat córka Zofia, a niedługo potem synowie: Kazimierz, Stanisław, Ludwik. Pani Petronela podejmując się prywatnego kształcenia i wychowywania dzieci, próbuje swych sił w twórczości literackiej. W roku 1838 inicjuje i redaguje noworocznik pod nazwą „Pierwiosnek” (do 1843) - pierwsze w Polsce czasopismo o charakterze kobiecym. Tu debiutuje m.in. Narcyza Żmichowska, swoje utwory zamieszczają: E. Ziemięcka, M. Wirtemberska, A. Jachowiczowa. W „Pierwiosnku” drukuje Krakowowa powieść „Wspomnienia wygnanki” (1844), nazwaną później przez P. Chmielowskiego „pierwszą robinsonadą polską”... Petronela umarła na anewryzm serca 16 lutego 1882 w Warszawie, w dwa lata po śmierci swojego męża. Jeden z jej synów - Kazimierz zaginął bez śladu w czasie powstania styczniowego. Stanisław znalazł się na emigracji w Paryżu, a Ludwik - który latem 1863 roku piastował godność naczelnika cywilnego województwa podlaskiego emigrował do Stanów Zjednoczonych. Tam, w słonecznej Kalifornii, z drugiego pokolenia Kraków, przyszła na świat Teodora, która otrzymała staranne wykształcenie na Uniwersytecie w Berkeley. Studiując antropologię poznała swego przyszłego męża - profesora Alfreda L. Kroebera. Po kilkunastu latach pani Kroeber stała się jednym z czołowych etnografów badających życie Indian Kalifornijskich, autorką kilku książek przekładanych m.in. na język polski („Ishi. Człowiek dwóch światów”, 1978;„Ninawa - wieloryb lądowy. Legendy indiańskie”, 1983). W roku 1929 urodziła córkę Ursulę, dając jej równie staranne wykształcenie. Po ukończeniu uniwersytetu Columbia w roku 1953 Ursula wyjechała na roczne stypendium do Paryża i tam wyszła za mąż za historyka Charlesa Le Gum. Litera „K” po imieniu, którą zachowała to ślad panieńskiego nazwiska. Nie jest tajemnicą, iż pani Le Guin, matka dwóch córek, mieszkająca w stanie Oregon, obrała sobie za przedmiot badań historię francuskiego renesansu i z ogromną sympatią wspomina atmosferę rodzinnego domu: pierwsze dyskusje prowadzone pod kierunkiem matki - świadomość bogactwa i różnorodności kultur, która zaowocowała w literackiej twórczości pisarki. Jak doszło do ustalenia biografii Kraków? Przed kilku miesiącami ukazała się u nas książka Teodory Kroeber - „Ninawa - wieloryb lądowy” opublikowana nakładem Wydawnictwa Literackiego. Jest to zbiór legend Indian Kalifornijskich traktujących o prawdziwym ideale harmonii z Przyrodą, powrocie do naturalnych źródeł ludzkiego szczęścia, walki dobra ze złem, w której jasność pokonuje siły ciemności. Tłumaczką legend indiańskich jest Janina Mroczkowska, która w posłowiu książki zwraca uwagę na emigracyjny rodowód Teodory Kroeber. Przedmowa Lecha Jęczmyka do „Wszystkich stron świata” ujawnia z kolei panieńskie nazwisko autorki. Poszukiwania w słownikach biograficznych i międzynarodowych leksykonach SF potwierdzają tożsamość obu osób.

Być może, moje „odkrycie” nie jest az tak istotne, Ursula Le Guin pisze w języku angielskim i z pewnością nie przywiązuje wagi do swojego słowiańskiego rodowodu. Daremne byłoby również poszukiwanie w jej utworach typowo polskiej problematyki. Cóż zatem pozostaje9 Satysfakcja z istniejącego stanu rzeczy? Megalomania, która nie tak dawno kazała upatrywać genezę polskiej i science fiction w twórczości francuskiego autora j - J. Verne’a?

Andrzej Niewiadowski

Theodore Kroeber: Ninawa - wieloryb lądowy. Legendy indiańskie. Tłumaczyła J. Mroczkowska. Wyd. Literackie Kraków, 1983. Cena 55 zł.

Wszechświat się broni

„Miliard lat przed końcem świata” Arkadija i Borysa Strugackich wszystkimi swoimi elementami przeczy konwencjonalnym wyobrażeniom o powieści fantastyczno-naukowej. Pozornie jest to proza obyczajowa prezentująca scenki z życia kilku uczonych, jej akcja rozgrywa się w mieszkaniu to jednego, to drugiego; wciąż się w tej powieści sprząta, parzy kawę i herbatę, siedzi w kuchni, poprawia jakieś papiery na biurku, dużo się rozmawia. Ot, zwyczaine życie płynące dzień po dniu - rodzina wyjechała na wakacje, ktoś się rozwiódł, komuś przyprowadzono dziecko, do jednego z bohaterów przyjechała rzekoma przyjaciółka żony z niespodziewaną wizytą. Cieknie to życie ze stronicy na stronicę, opisane z ostentacyjnym pietyzmem, jakby autorzy chcieli, by właśnie ono stanowiło główną powieściową materię, by na nim i jego zwyczajności skupiła się uwaga czytelnika.

W pewnym momencie powieść zaczyna zwyczajnie nużyć, ale o to chyba jej autorom chodziło by czytelnik mógł w jakimś stopniu utożsamić się z bohaterami, dostrzec w ich życiu swoje własne. Gdyby pędzili fotonowym statkiem na spotkanie Nieznanego, byliby dla czytelnika egzotycznymi herosami przyszłości, tak są kimś, kogo można potrącić w przejściu podziemnym, kto stoi przed nami w sklepowej kolejce. Okazuje się, że zwyczajność jest zasłoną - to do nich przychodzi Nieznane, do tych ludzi.

Oto grupka uczonych uświadamia sobie, że stali się ośrodkiem niezwykłych wydarzeń, że ktoś (?), coś (?), jakieś siły przeszkadzała im w wykonywaniu codziennej pracy, że rzekome zbiegi okoliczności układają się w logiczną całość, w przemyślaną akcję, której celem ma być poniechanie przez nich prowadzonych badań. Co jest grane? Sami uczeni nie wiedzą, o co w tym wszystkim chodzi, nie zdają sobie sprawy z wagi swoich badań, z ich znaczenia. Wszystko jest tajemnicą.

Powoli dochodzą jednak do sformułowania teorii, która pozwala na scalenie nieuporządkowanych wydarzeń i sytuacji. Nie zdając sobie z tego sprawy doszli do granicy ustanowionej przez Naturę granicy poznawalnego przez człowieka. Gdyby poszli dalej w swoich badaniach mogliby - mówiąc w dużym uproszczeniu - naruszyć homeostazę Wszechświata, doprowadzić do rozpoznania natury Kosmosu i do jego zmiany, co mogłoby spowodować niewyobrażalną katastrofę. Działa tu jakieś tajemnicze prawo przyrody, które ma jej bronić przed naruszeniem zasad istnienia świata dostępnego człowiekowi. Działa w sposób - powiedzmy - naturalny, to znaczy taki, by nie wydawało się, że następuje ingerencja sił nadprzyrodzonych. Stąd te wszystkie wydarzenia, które lekko, a później coraz mocniej naruszają spokój codzienności powieściowych bohaterów.

Uczeni są przerażeni: Strugaccy mocno podkreślają osadzenie tych ludzi w ich potocznych układach życiowych, które niejako uniemożliwiają im podjęcie walki o rozszerzenie granic poznawalnego, walki o zmianę natury, a więc o szczytne ideały, jakimi wciąż się szermowało i szermuje. Ale czy aby na pewno zmiana zawsze jest wartością pozytywną Czy należy wciąż burzyć zastane porządki i tworzyć na ruinach nowy ład? W powieści ten, który podejmie heroiczny wysiłek kontynuacji badań zagrażających najpierw jemu samemu, a później całemu światu, przedstawiony jest jako postać pozytywna, ten, który przezwycięża ludzką małostkowość i ratuje honor ludzkości w jej pędzie do odkrywania nieznanego. I wszystko byłoby bardzo piękne: jedyny sprawiedliwy bierze na swoje sumienie przyszłość, nie załamuje się, wyjedzie, by rozwijać naukę. Byłoby, ale na pierwszej stronie powieści Strugackich widnieje podtytuł: „Rękopis odnaleziony w zagadkowych okolicznościach”, co sugeruje, że dążenie do zmiany spowodowało katastrofę, koniec świata. I dopiero patrząc na powieść z tej perspektywy widać, jak istotne pytania ona stawia, pytania o sens rozwoju ludzkiej cywilizacji, o kierunki tego rozwoju, o zasadność naszej wiary w naukę i jej postęp, podobno nieograniczony. To oczywiście tylko zabawa, próba przestraszenia nas przy pomocy wymyślnego chwytu powieściowego, ale czy tylko? Myślę, że nie, mimo ironii ujawniającej się w podtytule powieści.

Leszek Bugajski

Arkadij Strugacki, Borys Strugacki: Miliard lat przed końcem świata. Rękopis odnaleziony w zagadkowych okolicznościach. Tłumaczyła Irena Lewandowska. Iskry. Warszawa 1984. Cena 70 zł.

Odkrywanie relacji miedzy mitem a współczesną fantastyką naukową należy do ciekawszych zadań literaturoznawczych i nierzadko ujawnia prawdziwe przyczyny popularności science fiction. Korzystając z monograficznego ujęcia numeru przedstawiamy ten temat po raz wtóry (zob. szkic L. Bugajskiego w „Fantastyce" 8/85), nawiązując do spostrzeżeń krytyki radzieckiej. Artykuł, którego fragmenty przedrukowujemy, został opublikowany w almanachu „Fantastika" (1972). Jego autorką jest Tatiana Czernyszowa specjalizująca się w zagadnieniach socjologii i kultury masowej, debiutująca u schyłku lat sześćdziesiątych szkicem „Czeławiek i śrieda w sowriemiennoj nauczno-fantasticzieskoj litieraturie" („Fantastika", 1968). Tytuł artykułu pochodzi od redakcji.

MIT i FANTASTYKA

Tatiana Czernyszowa

1.

Hipoteza, iż fantastyka naukowa jest czymś zbliżonym do mitu liczy sobie lat kilkadziesiąt. Sformułował ją Olaf Stapledon w przedmowie do powieści „First and Last Men" (1930) twierdząc, ze jego utwór powinien sprawić na czytelniku wrażenie zbliżone do przeżyć jakie wywołuje mit, nie zaś nauka bądź sztuka. Zanim jednak przejdziemy do mitologii związanej ze zjawiskami dnia dzisiejszego, musimy uściślić kilka równie istotnych zagadnień. Zacznijmy od samego pojęcia mitu. Nauka współczesna stworzyła sporo definicji mitu - brak jednomyślności oraz mnogość nader sprzecznych poglądów na ten temat były wielokrotnie sygnalizowane przez badaczy. F. Wejmann przypomina, ze *„określenie mit ma wiele sprzecznych definicji"*[1]*)*. Rozmaite gałęzie nauki *„filozofia, etnologia, etnografia, antropologia, historia starożytna, historia religii, psychologia (...) formułują własne definicje mitu".* W nauce o literaturze zajmujące) się badaniami związków mitologii i poezji, także brakuje jednolitej koncepcji mitu. Definicje podobne do tych, jakie przedstawia W. J. Propp (opowieść o bóstwach lub boskich istotach będących obiektem czci religijnej)[2]) nie satysfakcjonują współczesnej nauki. S. Awerincow nazywa je nawet *„formalistycznymi koncepcjami mitu"*[3]*)*. (...)
Spośród rozlicznych funkcji mitu, interesować nas będą jego związki z procesem poznania.

Mity powstają jako pewne modele rzeczywistości, które stopniowo ulegają przemianom i uzyskują wyższy stopień złożoności. Człowiek zainteresowany coraz szerszym kręgiem zjawisk stara się włączyć do systemu swoich koncepcji nowe pojęcia, przebudowując, uzupełniając i zmieniając mitologiczny model świata. Mity empiryczne dążą do połączenia się i utworzenia określonego systemu - świadczy o tym ich cykliczny charakter. Stare przekazy uległy przekształceniom w procesie tworzenia kanonicznej wersji mitów antycznych, w których punktem centralnym, organizującym system, był Olimp. Z kolei poprzednie bóstwa zastąpiono bóstwami olimpijskimi. Narodziny mitów wiążą się zatem z potrzebą całościowego pojmowania świata. Ostatecznie, w ten sam sposób powstają także teorie naukowe: najpierw jest gromadzona wiedza empiryczna, która zostaje uporządkowana w system o mniejszym lub większym stopniu spójności, w określony model świata. W miarę rozwoju nauki, odkrywania nowych faktów, model ten ulega zmianom, są do niego wprowadzane poprawki, później zastępuje go inny model. Również w historii myślenia mitycznego można zaobserwować zmianę całego szeregu systemów wyobrażeń świata, bowiem żywa świadomość mitotwórcza nie znosi stagnacji i utrzymuje dany model świata dopóty, dopóki wierzy w jego prawdziwość. (...) Mitologiczny model świata ma jedną, niezmienną cechę - jest obrazem nieprawdziwym. W wielu rozważaniach na temat mitów, ta właśnie cecha wysuwana jest na plan pierwszy: *„mit jest wymyśloną opowieścią, bajką..."*[4]), *„mit stanowi formę przedstawiania w 'dziełach artystycznych fałszywej interpretacji przyrody i stosunków społecznych"*[5]*)*
Tak więc nieprzypadkowo w potocznym rozumieniu pojęcie „mit" jest równoważne pojęciu „bajka", choć z naukowego punktu widzenia nie są bynajmniej tożsame. Wydawać by się mogło, że wymyśloną rzeczywistość trudno identyfikować z pojęciem prawdy, ale trzeba zdać sobie sprawę, że proces poznania jest nierozerwalnie związany z możliwością popełniania błędów. Owe błędy są od zarania dziejów charakterystyczne dla wybiegającej w przyszłość świadomości, sama bowiem fantazja powstaje w miarę rozwoju myślenia pojęciowego. Długo sądzono, że mitotwórstwo posługiwało się przy konstruowaniu nader dziwacznych koncepcji świata jakimś szczególnym, całkowicie różnym od współczesnego, typem myślenia. Potiebnia przypuszczał, iż cechowały je - brak elementów analizy i krytycyzmu; Levy-Bruehl dążył do sformułowania praw, które rządziły owym pralogicznym myśleniem. Obecnie skłonni jesteśmy sądzić, że myślenie ludzkie od samego początku rozwijało się jako myślenie logiczne. Z tych założeń wychodzi radziecka nauka o mitach, potwierdza |e także w swoich pracach O Levi-Strauss. Jest rzeczą wiadomą, iz umysł ludzki potrafi wyciągnąć wnioski na podstawie niepełnych informacji. Człowiek nie toleruje stanów nieokreślonych, dlatego też, w przypadku braku informacji prawdziwej, zastępuje ją informacją fałszywą, wymyśloną i likwiduje w ten sposób ów stan nieokreśloności.
Skąd bierze się fałszywa informacja? Odpowiedź może być tylko jedna - z „wewnętrznych zasobów" świadomości. Jeżeli człowiek otrzymuje niewiele informacji o jakichś zjawiskach, lub nie jest w stanie ich przyswoić, sięga po dane z innych dziedzin i uzupełnia nimi brakujące ogniwa. W taki właśnie sposób tworzone były starożytne mity: cały, otaczający świat wyobrażany był w oparciu o analogie z rzeczami już znanymi, przyroda zaś we wszystkich szczegółach podobna była do społeczeństw ludzkich. (...)

2.

Czy obecnie, w czasach szybkiego rozwoju nauki możliwe jest aktywne mitotwórstwo? Jakie sfery rzeczywistości może obejmować? (...) Wyciąganie wniosków w oparciu o analogie, które stanowiły podstawę tworzenia mitów, nie zanikło w momencie pojawienia się nauki. Co prawda, nauka nader nieprzychylnie odnosi się do analogii. Uczeni lubią powtarzać, że analogia nie jest dowodem Jednakże nie są w stanie obejść się bez analogii, bowiem za ich pośrednictwem mogą dostrzec więzi między zjawiskami; analogie inspirują ich wyobraźnię, odpowiadają podstawowej zasadzie poznania - od znanego i zbadanego, do nieznanego i nieobjaśnionego. (...) Cała historia nauki pełna jest takich „gnozeologicznych mitów"[6]), kiedy nieznane zjawiska objaśniano w sposób nie mający żadnego związku z tymi zjawiskami, ale za to zgodny z dotychczasowymi doświadczeniami. Astronom W. Pickering, który zaobserwował pewne zmiany w krajobrazie księżycowym, wyjaśnił, ze są to rezultaty migracji owadów. Astronom W. Herschel plamy słoneczne uznał za prześwity w warstwach chmur. Znana jest historia odkrycia „kanałów" na Marsie - natychmiast dopatrzono się w nich czegoś zbliżonego do ziemskich urządzeń nawadniających. Nawiasem mówiąc, problem mieszkańców pozaziemskich światów jest najlepszym materiałem do badań tego typu mitotwórstwa, które powstaje w chwili, gdy nauka rozszerza nowe sfery nieznanego. (...)

W ciągu ostatnich 10-15 lat, problem cywilizacji pozaziemskich stał się obiektem rozważań środowisk naukowych. Przypomnijmy sobie klasyfikację cywilizacji technicznych na podstawie możliwego poziomu ich energetyki, zaproponowaną przez N.S. Kardaszowa, albo hipotezę o sztucznym pochodzeniu satelitów Marsa wysuniętą przez I. Szkłowskiego. Dyson, profesor Uniwersytetu w Princeton uważa, że cywilizacja, która osiągnie określony poziom rozwoju, wykorzysta całą energię gwiazdy swojego systemu planetarnego i skonstruuje wokół swego słońca specjalną sferę. Istnieją również próby obliczenia hipotetycznej liczby „zamieszkałych światów", określenia długości życia i możliwości istnienia supercywilizacji. *„Jeżeli przyjąć za podstawę tempo rozwoju życia na Ziemi* - pisze N. S. Kardaszow - *to mamy prawo oczekiwać, że w kosmogonicznych okresach (miliardy lat) można niemal całkowicie, świadomie przeorganizować materię w naszej części Wszechświata. Można nawet rozważać, czy fakt rozszerzenia się obserwowanej części Kosmosu nie jest wynikiem działania supercywilizacji"*[7]*)* Coraz częściej są proponowane różne metody nawiązywania kontaktów - za pośrednictwem lotów międzygwiezdnych, wysyłania sond kosmicznych, bądź łączności radiowej. Są nawet przeprowadzane praktyczne próby takiej łączności (projekt „Ozma")[8]). Wszystkie te prace mają swoje słabe punkty: 1) (Są hipotezami lub założeniami, ponieważ (jak zauważył profesor SA. Kapłan w przedmowie do książki „Wnieziemnyje ciwilizacji"), w dziedzinie tej przeprowadzono bardzo mało badań naukowych; 2) Odwołują się do doświadczeń naszej własnej cywilizacji oraz do poziomu, perspektyw i tempa jej rozwoju. (...) Nieprzypadkowo S. Lem w „Głosie Pana" nazywa podobne konstrukcje myślowe „nową mitologią". Oczywiście, mechanizm ów we współczesnym myśleniu działa inaczej, jest bardziej skomplikowany i rozbudowany, ale funkcjonuje w dalszym ciągu. (...)

3.

W tym miejscu stykamy się wreszcie ze społecznymi korzeniami współczesnego mitotwórstwa, bowiem mit powstając w łonie nauki, może istnieć tylko jako świadomość zbiorowa. Mit funkcjonuje przecież jako „model zachowania", organizuje relacje człowieka i otaczającego go świata.
Związek świadomości zbiorowej z informacją naukową, z poziomem wiedzy, jest rzeczą niewątpliwą, choć nie zawsze jest to związek bezpośredni. Przez długi czas nauka rozwijała się w izolacji od świadomości zbiorowej, która z kolei sterowana była przez religię tworzącą również mity. Mity te były zarazem modelami świata i modelami zachowania. Ale gdzieś na przełomie XIX i XX wieku nastąpił przełom. Religia nie była już w stanie całkowicie kontrolować świadomości zbiorowej, była zmuszona podążać za nauką, dostosowywać swoje modele świata do nowego zasobuwiedzy. Przymusowa i nader

długa izolacja nauki od zbiorowej świadomości została przełamana, ścisła informacja naukowa w chwili obecnej kształtuje bezpośrednio świadomość zbiorową, a stale istniejąca zależność myślenia potocznego od wiedzy naukowej stała się wyraźna i oczywista.
Proces przekształcania wiedzy naukowej w potoczną świadomość zbiorową jest dość złożony i jak do tej pory zbadany w nader znikomym stopniu, ale o niektórych prawidłowościach można mówić już teraz. B. Agapow w swej pracy „Chudożnik i nauka" stwierdza, że wiele tez współczesnej nauki, które *„udaje się precyzyjnie wyrazić mato przystępnym językiem matematyki, zakorzeniło się w myśleniu potocznym ogromnej liczby osób. (...) Przytłaczająca większość ludzi nie jest w stanie naukowo i niepodważalnie udowodnić, że Kopernik ma rację, ale również przytłaczająca większość ludzi jest przeświadczona o jego słuszności. Obecnie młody człowiek, obojętnie z wykształceniem medycznym czy agronomicznym, utrwali! w swej świadomości relatywistyczne wyjaśnienie teorii względności i przestał się dziwić temu, że nie ma jednolitego czasu, pustej przestrzeni, że działanie zegara jest uzależnione od masy i jeżeli wylecimy ku gwiazdom z prędkością zbliżoną do prędkości światła, możemy powrócić na Ziemię w chwili, gdy będzie się na niej obchodzić tysięczną rocznicę naszego startu"[9])*.

I znów stykamy się ze znanymi mechanizmami powstawania mitów. Obserwujemy dziwne, na pierwszy rzut oka, zjawisko - informacja może wcale do nas nie docierać (jak w przypadku cywilizacji pozaziemskich) lub być niedostępna dla niektórych warstw społeczeństwa - dla niespecjalistów. Zarówno w pierwszym jak i w drugim przypadku zaczynają funkcjonować mechanizmy powstawania mitów: ocena według siebie, zastąpienie brakującej informacji inną, utrwaloną w świadomości.
Prawdą jest, że większość niespecjalistów przyswoiła sobie teorię względności - ale w jakiej postaci? Jednym z najbardziej rozpowszechnionych wyobrażeń staje się motyw przedstawiony przez B. Agapowa - kosmonauta odlatuje do gwiazd z prędkością zbliżoną do prędkości światła i wraca po upływie tysiącleci. Czy zgadza się to z prawdziwą teorią względności? Najprawdopodobniej nie, bowiem we wspomnianym przypadku dowody matematyczne zostały zastąpione przez popularne wyobrażenia. Taka mitologizacja wiedzy dochodzi do głosu w fantastyce naukowej. Dlatego też mówi się, niekiedy, że fantastyka przekłada abstrakcje naukowe na język obrazów. (...) Współczesny mit może zrodzić się w samej nauce jako forma przyswajania przez świadomość zbiorową podstawowych twierdzeń współczesnej nauki i w procesach tych niemałą rolę odgrywa science fiction. Krytyków tej literatury zdumiewa różnorodność najrozmaitszych mitów. Istnieją mity o człowieku - istocie biologicznej, mity o robotach, które coraz bardziej upodabniają się do swoich twórców, niekiedy nawet buntują się przeciwko swym panom i nie ustępują im w przebiegłości. Jednakże współczesne mitotwórstwo jest ukierunkowane przede wszystkim na przedstawienie przyszłego bytu człowieka i na rozbicie wyobrażeń o izolacji mieszkańców Ziemi. Konflikt między człowiekiem i maszyną zostaje przeniesiony w kosmos, sprawdziany granic odporności ludzkiego organizmu zorientowane są na przedstawienie bytu człowieka poza Ziemię. I tu właśnie stykamy się z ciekawym paradoksem historycznym. Mogłoby się wydawać, że fantastyka nie wyprzedza nauki, ale podąża za nią, zaś same mity są kształtowane w oparciu o osiągnięcia nauki. Jednak mimo wszystko pewne elementy prekursorstwa są w niej doskonale widoczne. Paradoks polega na tym, że w jakimś momencie potrzeby potocznego myślenia wyprzedziły możliwości nauki. Wszak do niedawna tylko niektórzy naukowcy dostrzegali nieśmiałe próby ludzkości wydobycia się ze swej kołyski - Ziemi. Takim entuzjastą-marzycielem był K. E. Ciołkowski, ale wpływ jego prac na ówczesną naukę był znikomy. Pojęcie kosmizacji pojawiło się w 1962 roku. Wcześniej, przez wiele lat (ponad pół wieku) zajmowała się nim wyłącznie fantastyka naukowa i tylko ona wzięła na swe barki obowiązek kształtowania powszechnej świadomości, będąc jedynym „eksperymentalnym laboratorium tworzenia mitów".

Fantastyka wyprzedziła nie tylko współczesną egzosocjologię, ale i futurologię - oczywiście nie ze względu na rzeczywistą wagę zdobytej przez nią wiedzy, ale zaspokajanie potrzeb świadomościowych. Modele świata tworzone przez autorów science fiction nie zawsze wytrzymywały próbę konfrontacji z danymi naukowymi. Były często niezgrabne, bzdurne, w oczywisty sposób fałszywe - nic więc dziwnego, że w sferach naukowych przez długie lata lekceważąco odnoszono się do fantastyki. Mimo wszystko modele te nie zasługiwały na szyderstwo. Ich rola w procesie poznawania, zrozumienia świata przez społeczeństwo nie powinna być oceniana negatywnie. Fałszywy model rzeczywistości, który dezorientował człowieka, mógł w wielu sytuacjach okazać się pożytecznym, a nawet niezbędnym. Nie od rzeczy byłoby wspomnieć, jak dalece fałszywe były wyobrażenia świata w starożytnych mitach maleńkie drobiny rzeczywistej wiedzy tonęły w fantastycznej ornamentyce. A przecież mimo wszystko wiedza ta pomogła człowiekowi przetrwać w zaciekłej walce z otaczającym go środowiskiem. (...) Prawidłowość ta odnosi się nie tylko do procesu odkrywania, ale także przyswajania zdobytych wiadomości. Dowodem może być wyjątkowa żywotność niektórych teorii w fantastyce naukowej. Ograniczmy się do jednego tylko przykładu.

Jak należy się spodziewać badanie dalekiego kosmosu za pośrednictwem gwiazdolotów wyposażonych w najfantastyczniejsze nawet silniki fotonowe jest z wielu przyczyn praktycznie niemożliwe. Jeżeli więc w pracach naukowych wciąż powraca się do tego tematu - to ów fakt wynika z tradycji, którą ukształtowała fantastyka. Na kartach utworów SF gwiazdoloty wędrują po kosmicznych szlakach, spotykają pojazdy innych cywilizacji, błądzące po wszechświecie miliony lat; astronauci przeprowadzają dalekie rejsy badawcze, a w wewnętrznym czasie fantastyki trwa to tyle, ile zwykłe, ziemskie podróże. (...) Mamy tu do czynienia nie z artystyczną, lecz mitologiczną umownością, koniecznością przyswojenia sobie pojęcia wszechświata na jakimś dostępnym poziomie. Obraz „przyzwoitego kosmosu" (S. Lem) podobny jest do naukowego wyobrażenia kosmosu realnego i zarazem przypomina Ziemię. Tak właśnie powstaje zmitologizowana wizja świata, która pozornie nie przeczy danym naukowym, ale w nader istotny sposób odbiega od naukowego obrazu rzeczywistości.
Współczesne mitotwórstwo przejawia się nie tylko w fantastyce. Znajdziemy je w szerokim nurcie literatury, w pracach popularnonaukowych, a nawet w „czystej nauce", bowiem fundamenty „mitologicznych" modeli świata tworzone są niekiedy przez samych uczonych. Poza tym, trudno sprowadzać fantastykę wyłącznie do mitotwórstwa. Najwyraźniej jest ona jakąś strefą przejściową[10]) - z jednej strony domeną złożonego współdziałania wiedzy naukowej i potocznego myślenia, z drugiej - współdziałania nauki i sztuki. W miarę upływu czasu SF coraz bardziej staje się sztuką i to nie tylko dlatego, że zajmują się nią utalentowani pisarze, ale ze względu na swoją istotę. Od chwili, gdy nauka przestała lekceważyć zagadnienia, które stanowiły domenę fantastyki problemy cywilizacji pozaziemskich, perspektywy dalszego rozwoju ludzkości itp. - antycypująca rola SF jako czynnika kształtującego powszechną świadomość w wielu wypadkach została osłabiona. Fantastyka coraz rzadziej tworzy nowe idee i hipotezy (powstają one w pracowniach i laboratoriach uczonych), natomiast coraz częściej opracowuje, pogłębia, psychologizuje takie istniejące tematy i sytuacje, jak klasyczne wątki przybyszów, cywilizacji pozaziemskich, kontaktów lub lotów z prędkością podświetlną. Jednakże mitologiczna funkcja była w fantastyce naukowej z historycznego punktu widzenia chyba najważniejsza, a również i w chwili obecnej nie zniknęła całkowicie. (...)



Przypisy

1) R. Wejmann: *Litieraturowiedienije i miłołogija.* „Woprosy fiłosofii", 1970, nr 7, s. 176.
2) W.J. Propp: *Istoriczeskije korni wotszebnoj skazki.* Leningrad, 1946, s. 16.
3) S. Awerincow: *„Analiticzeskaja psichołogija" KG. Junga i zakonomiernosti tworczeskoj fantazii.* „Woprosy litieratury" 1970, nr 3, s. 115.
4) S. I. Radcig: *Istorija drewniegreczeskoj litieratury.* „Wysszaja szkoła", 1969, s. 29.
5) A. F. Anisimow: *Priroda i obszczestwo w otrażenii skazki i mila. „Jeżegodnik Muzieja istorii religii i atieizma"*, t. 1, AN SSSR, 1957, s. 171.
6) Określenia te są w pewnym stopniu umowne, bowiem prawdziwy, synkretyczny mit dawno przestał już istnieć. Mimo wszystko procesy, które były przyczyną narodzin dawnych mitów, zachowały się również w czasie następnych epok historycznych. (...) Być może w przyszłości nauka znajdzie dla tych zjawisk inne określenia. Chwilowo ich nie ma.
7) *Wnieziemnyje ciwilizacji. Probliemy mieżzwiozdnoj swiazi.* Pod red. prof. S.A. Kapłana. Moskwa 1969, s. 30 i 48.
8) Zob. artykuł Z. Paprotnego: *CETI - koniec pewnego* etapu.(w:) „Astronautyka" 1983/4 (przyp. Red.)
9) B. Agapow, D. Danin, B. Runin: *Chudożnik i nauka.* Moskwa 1966, str. 37.
10) Nauka współczesna, która bada nie tylko zjawiska i systemy, ale również powiązania między nimi, stale styka się z koniecznością analizowania takich sfer przejściowych. A.A. Ponomariow, rozpatrując problem intuicji pisze: *„Jeżeli świat jest systemem współdziałających systemów, to wszystkie one powinny być związane nie tylko wewnętrznie, ale i zewnętrznie, między sobą. Pomiędzy najbliżej położonymi systemami powinny istnieć strefy przejściowe, których jedna część znajduje się w jednym, druga zaś w drugim systemie".* (J. A. Ponomariow: *Psichika i intuicija.* Moskwa 1967).

Przełożyła **Teresa Marciniszyn**

Gutkowski Wojciech

(1775-1826)

Pułkownik, pedagog wojskowy, literat, wolnomularz

Urodził się 16 kwietnia 1775 r. w Zamieniu w obwodzie garwolińskim. Syn Józefa i Konstancji z Górskich. Już w 14 roku życia rozpoczął służbę wojskową wstępując do elitarnego Korpusu Inżynierów. W 1794 r. otrzymał awans na podoficerski stopień konduktora oraz przydział do Korpusu generała Zajączka. W tej formacji przeszedł kampanię powstańczą 1794 roku. Walczył pod Warszawą i Gołkowem, w bitwie pod Pragą został ranny. Po trzecim rozbiorze i upadku Rzeczypospolitej wyjechał do Lublina i Zamościa, oddał się studiom agrotechnicznym, poznał zagraniczne opracowania z dziedziny techniki. Już jako profesor architektury w Liceum Zamoyskim opublikował 18 tomików „Dziennika Ekonomicznego" zawierających encyklopedyczne wiadomości z dziedziny agronomii, techniki, rolnictwa. W 1806 r. wydał „Katechizm ekonomiczny dla włościan", przetłumaczył pracę A. H. Meltzera „Opisanie i wyobrażenie nowej machiny do siania zboża wynalezionej". Propagował postęp techniczny rolnictwa zgodnie z zasadami fizjokratyzmu. 12 stycznia 1807 r. Gutkowski wstępuje do armii polskiej w randze kapitana. Bierze udział w walkach z Prusakami, w bitwach pod Pruską Iławą, Bydgoszczą, Serockiem i Zatorem. W 1808 r. obejmuje stanowisko wykładowcy w Szkole Zakładowej Artylerii i Inżynierów w Arsenale Warszawskim, a po jej przemianowaniu na Szkołę Elementarną Artylerii i Inżynierów (1810) - stanowisko komendanta, awansując na stopień pułkownika. Dzięki sumiennej pracy i poparciu księcia Józefa Poniatowskiego zostaje pod dyrektorem Korpusu Inżynierów. Uczestniczy w obronie Torunia oblężonego przez Austriaków. W 1811 r. mianowany członkiem przybranym Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wojnę z Rosją odbywa w armii nad Bugiem, w czasie odwrotu przedostaje się do Niemiec, później przebywa w niewoli austriackiej i do kraju powraca dopiero w 1814 r. Jako komendant inżynierów w Lublinie prowadzi działalność w masonerii Królestwa Polskiego (już w latach 1811-1812 jest członkiem loży warszawskiej „świątynia Izis"). W 1816 r. przystępuje do loży „Świątynia Równości" w Lublinie, w 1818 r. zostaje powołany na mistrza obrzędów loży „Prawdziwa Jedność w Dolinie Lublina". Pod koniec życia inicjuje akcję, której celem jest stworzenie w Lublinie wojewódzkiego oddziału Towarzystwa Gospodarczo-Rolniczego. Bierze udział w posiedzeniach Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Umiera 1 maja 1826 r.

Jedną z ciekawszych prób literackich Wojciecha Gutkowskiego jest jego traktat zatytułowany **„Podróż do Kalopei, do kraju najszczęśliwszego na świecie, gdzie bez pieniędzy I bez własności, bogactwo, przemysł, światło I dobre wszystkich mienie jak najwięcej wygórowało i gdzie tom drugi historii życia Bolesława II króla polskiego znajduje się".** Ów traktat, przedłożony w warszawskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk w roku 1814, przez długie lata nie ujrzał światła dziennego pozostając w rękopisie aż do roku 1956, tj. do czasu wydania go nakładem PWN-u z przedmową i w opracowaniu dra Zygmunta Grossa. Negatywna ocena traktatu przez współczesnych wiązała się zapewne z jego nader śmiałymi prognozami w dziedzinie społeczno-gospodarczej, militarnej i ekonomicznej, których ujawnienie mogło wywołać nieprzychylność carskiego zaborcy. Niewykluczone również, że wiele postulatów Gutkowskiego skierowanych pod adresem władz Królestwa Kongresowego straciło swą aktualność w nowych układach politycznych, toteż książka została pozbawiona oręża dydaktycznego, niezwykle istotnego w tego rodzaju prozie.

„Podróż do Kalopei..." jest jednym z niewielu w historii naszego piśmiennictwa przykładów racjonalnej „utopii-wyspy" łączącej egalitarny wzorzec socjalny Tomasza Morusa z techniczną prognozą „Nowej Atlantydy" Franciszka Bacona. Przed jej napisaniem Gutkowski studiował prace Morelly'ego, Mably'ego i J.J. Rousseau, zapoznał się z dziełami Platona, Plutarcha i Arystotelesa W sumie stworzył jednak oryginalną koncepcję ustroju dostosowaną do typowo polskich warunków społeczno-ekonomicznych, poprzedzającą XIX-wieczne projekty Saint-Simona, Fouriera i Owena. Książka obfituje w różnego rodzaju aluzje, począwszy od tytułowego określenia nazwy dalekiego kraju (słowo Kalop jest anagramem: odczytane wspak znaczy „Polak"). Jej bohaterem staje się typowy „prostaczek" - emigrant pochodzenia szlacheckiego, który udaje się na daleką tułaczkę .po pierwszym rozbiorze Polski i znajduje u kresu swej wędrówki tajemnicze państwo Utopian zlokalizowane w centrum kontynentu australijskiego. Jak się okazuje, założycielem owej społeczności był Bolesław II Wygnaniec, który wykorzystując swój wspaniały talent organizacyjny połączył kilka miejscowych państewek tworząc potęgę jakiej nie powstydziłoby się mocarstwo europejskie na miarę Rosji, Prus czy Austrii. Bohater, oprowadzany z sarmacką gościnnością po ulicach wspaniałych miast, przypatrujący się usprawnionej, niemal całkowicie zmechanizowanej pracy rolnika, raz po raz przeżywa totalne zaskoczenie wstrząsające jego systemem norm i wyobrażeń światopoglądowych. W karnym, zdyscyplinowanym państwie Gutkowskiego (krytyka własności prywatnej, system egalitarny, stopnie obywatelskie - te założenia pochodzą z „Utopii" T. Morusa) zasadniczym motorem rozwoju staje się postęp techniczny, owe „cudowne wynalazki", odkrycia w dziedzinie mechaniki, chemii, hydrauliki, medycyny, nauk matematycznych, fizycznych, które zapewniają powszechny dobrobyt ludzi (utopia Morusa zdana była wyłącznie na łaskę tradycyjnie pojętych sił wytwórczych i stąd „powszechne ubóstwo" jej mieszkańców). Przestronne, kilkunastopiętrowe domy, wspaniałe hotele, dworce, teatry na 10 tysięcy widzów, akademie, pałace nauki, wielkie obserwatoria astronomiczne usytuowane na szczytach 1500-metrowych wież i wyposażone w dalekosiężne teleskopy powiększające 100 tysięcy razy - muszą budzić zdumienie dzisiejszego czytelnika, jeśli pamiętać, że utopia Gutkowskiego rodziła się z górą 170 lat temu. Styl narracji: suchy i zwięzły, nierzadko pedantyczny przekonuje o poważnych intencjach autora. Duch scjentyzmu patronujący „Podróży" jest widoczny zwłaszcza w sferze prognozy militarnej, ale nie ma w tym nic dziwnego, jeśli przypomnieć wszystkie projekty ratowania Rzeczypospolitej, próby radykalnego powiększenia jej potencjału wojskowego (Staszic, Kołłątaj, Konarski itp.) Gutkowski puszcza wodze fantazji mówiąc o fortecach zdolnych do zapewnienia obrony 100 tysiącom ludzi przez 10 lat, ale jego wynalazki techniczne mają w sobie coś z przebłysku genialnej intuicji, kiedy oglądamy np. „wieże kwadratowe (z mechanizmami w środku) posuwające się podług upodobania" (czołgi?) lub „rzędy rur stalowych nabijanych za pomocą mechanizmu, które naraz wszystkie strzelają" (broń automatyczna?). Pomysł skonstruowania samobieżnego pojazdu bojowego wyposażonego w armaty, kilkadziesiąt ładujących się samoczynnie karabinów obsługiwanych przez strzelców wyborowych przerasta nawet inwencję twórczą J. Verne'a debiutującego 50 lat później! Przechodzi już Gutkowski sam siebie, kiedy opisuje wielkie maszyny latające, każąc żołnierzom wzbijać się w powietrze „na skrzydłach" i z tej wysokości razić dowódców wroga (najprawdopodobniej wzorował się tu autor na teoretycznych wyliczeniach George'a Caleya - prekursora lotnictwa światowego; 1809). Takiego nagromadzenia prognoz o charakterze technicznym nie widziała dotąd literatura polska i cokolwiek byśmy powiedzieli o ich wtórności wobec wynalazków baconowskiego Domu Salomona, traktat Wojciecha Gutkowskiego zasługuje na przypomnienie, jako nadzwyczaj rzadka forma prognozy racjonalnej będąca ogromnym krokiem naprzód w stronę narodzin gatunku science fiction.

Bibliografia wybrana

- W. Kozłowski: Podróż do Kalopei. Pierwsza utopią socjalistyczna polska, (w) „Sfinks" III, 1913, s. 313-331.
- Z. Gross: Wstęp do: Wojciech Gutkowski „Podróż do Kalopei". Warszawa 1956.
- J. Bartyś: Wizjoner czy fantasta (o życiu i działalności Wojciecha Gutkowskiego). Wyd. Lubelskie 1983.

Hanke Rajmund

(ur. 1938)

Literat, działacz SD, dziennikarz

Urodził się 25 grudnia 1938 r. w Zabrzu-Pawłowie. Ukończył studia pedagogiczne na Uniwersytecie Śląskim. Był dziennikarzem w rybnickich „Nowinach", „Głosie Zabrza", członkiem Sekretariatu Wojewódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego w Katowicach, kierownikiem Wydziału Ekonomicznego, a w latach 1975-1982 wiceprezydentem miasta Chorzowa. Obecnie jest dyrektorem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach. Przewodniczący Miejskiego Komitetu SD w Chorzowie. Przedstawiciel władz wojewódzkich i centralnych Stronnictwa Demokratycznego. Członek Klubu Pisarzy SD im. Bolesława Prusa. Debiutował w 1957 r. opowiadaniami fantastyczno-groteskowymi na łamach „Przemian" oraz humoreskami w katowickiej „Trybunie Robotniczej" („Wędrujące uszy", „Poszukuję mojego przyjaciela", „Czar muzyki", „Zakochany"). Swoje utwory publikował również w „Poglądach". Wydał: „Poszukuję mego przyjaciela" (Iskry 1969), „Spotkanie z literatem" (1980), „Wielkie dni łotrów" (Zawartość: Wielkie dni łotrów, Planeta jaszczurek, Eksperyment, Do niej; Wyd. Iskry 1980). Jest autorem kilku opracowań popularnonaukowych (m.in.: „Pisarze rzemieślnicy Górnego Śląska", 1978; „Dzieje rzemiosła polskiego na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim od przełomu XIX i XX wieku do 1948 r", 1980).

„Wielkie dni łotrów" (1980) - tom opowiadań grupujący najważniejsze teksty SF Rajmunda Hankego - nawiązują do klasycznych motywów literatury fantastyczno-naukowej: inwazji z Kosmosu (pozycja tytułowa), eksploracji dalekich planet („Planeta jaszczurek"), doświadczeń biologicznych („Eksperyment") i podróży w czasie („Do niej"). Mimo tych oczywistych analogii utwory Hankego wyróżniają się ciekawym opracowaniem tematu, dyskretnym dydaktyzmem, nieskomplikowanym tokiem narracji przypominającym wypowiedzi Czesława Chruszczewskiego. Do najciekawszych należy opowiadanie „Wielkie dni łotrów" polemizujące z „Wojną światów" H. Wellsa, w którym mieszkańcy Ziemi i Jowisza wyniszczają się wzajemnie w bratobójczych walkach nie umiejąc powstrzymać narastającej eskalacji zbrodni, zła i okrucieństwa.

PODROŻ do Kalopei

do kraju najszczęśliwszego na świecie, gdzie bez pieniędzy i bez własności, bogactwo, przemysł, światło i dobre wszystkich mienie jak najwięcej wygórowało i gdzie tom drugi historii życia Bolesława II, króla polskiego, znajduje się

Wojciech Gutkowski

Zabawiwszy w mieście zwanym Doskonałość dni kilka i doznawszy rozmaitych przyjemności, puściłem się w dalszą podróż ku stolicy (...). Całą drogę przejechałem wśród najwyższych rozkoszy, aż nareszcie ujrzałem (siedzibę króla). Tu olbrzymich gmachów sam widok przeraził mnie, chociaż o dwie mile jeszcze byłem, zdawało mi sie jednak, iż gdyby który gmach wywrócił sie, wierzchołkiem swym mnie jadącego dosięgnąć potrafiłby. Wjechałem do tego prześlicznego miasta pełen zdumienia, jakim sposobem ręka ludzka tak olbrzymie budowle dokonać mogła. Była to już godzina dość późna, zawieziono mnie do jednej gminy gościnnej, w której, nie widząc się z nikim, udałem się na spoczynek.

Nazajutrz wielki urzędnik wojenny oświadczył, że dozwolono mi obejrzenie fortecy pierwszego rzędu, o trzy mile od stolicy leżącej. Pojechałem tam w asystencji jednego inżyniera. Dojeżdżając do fortecy okazała się ta prawie jak skała wysoko stercząca, regularnie okrzesana, mająca w pośrodku swoim wieże bardzo wyniosłą. Forteca nad rzeką będąca, naokoło wodą jest oblana przed stokiem swoim i wszystkie jej rowy, bardzo głębokie, wodą są napełnione. Wjechałem do środka, gdzie komendant, uprzejmie przyjąwszy mnie, oprowadzał po fortyfikacjach. Wszystko jest z granitu w tak wielkich sztukach ułożone i ogromnymi szynami żelaznymi powiązane, iż niepodobieństwem jest, aby pomyśleć nawet można o zrobieniu w tej fortecy wyłomu. Najmniejsza sztuka kamienna mury formująca miała 9 łokci długości, 5 wysokości, a do 6 szerokości. Wszystko urządzone jest w najlepszym systemacie, a ponieważ w wałach głównych wyłomu zrobić nie można choćby i .48 funtowymi kulami, przeto te wały tak wyniesione są nad stok drogi ukrytej, iż oprócz górnej części trzy rzędy kazamatów w pole strzelać mogą (...). Wszystkie wały są kazamatowane, a w środku budowle kamienne z wałem równej wysokości są ziemią przykryte, na których najpiękniejsze ogrody pozakładane i domkami drewnianymi opatrzone, aby te w każdej potrzebie rozebranymi dla opału być mogły. Budowle te oddziela także bardzo głęboki rów, wodą napełniony. Każda budowla formuje kwadrat miasta, a wszystkie ulice są głębokimi rowami wodą napełnionymi. Wszystkie pietra jednej budowli z drugą mają swoje komunikacje przez mostki porobione. W środku samym ogromnej wysokości i grubości wieża również jest szeroko naokoło wodą oblana, w której 20 tysięcy jeszcze ludzizmieścić się i bronić może. Kazamaty wałowe mają koszary dla żołnierzy, budowle zaś wewnętrzne są samymi magazynami, młynami, arsenałem itp. Zapewniono mnie, iż magazyny żywności tam są tak wielkie, iż 100 000 ludzi wyżywić na lat 10 wystarczą. Takie mają sposoby przechowywania zboża, iż to 200 lat trwa w całości. Rozumie się, iż mieszkańców żadnych ta twierdza nie ma, znajdują się tam sami tylko rzemieślnicy do utrzymywania fortecy potrzebni i którzy artylerie zarazem składają.

Kazał potem komendant strzelać do parkanu drewnianego o 3000 kroków od fortecy oddalonego, naumyślnie wystawionego dla wprawy artylerzystów do strzelania, nie wyszło kwadransa, gdy ogień ustał, wyjechaliśmy do owego parkanu, który kulami tak podziurawionym został jak przetak jaki. Komendant na ten widok uśmiechnąwszy się zapytał, czyli nieprzyjaciel w tej odległości baterie sypać lub równoległe formować może, odpowiedziałem mu, iż proch nawet nasz nie jest tak donośnym, aby w tej odległości mógł szkodzić. Wróciliśmy znowu na wały i zaczęto bomby i granaty puszczać; proszono mnie, abym wskazywał miejsce, gdzie ma paść bomba lub granat, uczyniłem zadość żądaniu i z największym podziwieniem widziałem upadające pociski w same wyznaczone miejsca. Rzucano także z moździerzów mnóstwem kul dwufuntowych lanych, które jak grad za każdym wystrzałem pojedynczej sztuki przeszło na 200 łokci kwadratowych okrywały ziemie. Za stokiem twierdzy stało kilkanaście wież kwadratowych żelaznych, niezbyt wysokich i 24-funtowym działowym kulom opierających się. Te wieże taki mają mechanizm w środku, iż z niewielką siłą bez sprzeżaju posuwają się podług upodobania. Opatrzone one są dwudziestu rzędami dziur naokoło, w jeden rząd takowych dziur zarazem tyleż rurek z łatwością wsunąć da się, które także razem, za pomocą mechanizmu nabijają się, a po kilka strzelają lub razem wszystkie. Na górnej części wieży są granaty ręczne do rzucania, dwie armaty druciane i kilkunastu strzelców z donośnymi karabinami. Wierzch wieży tak jest okryty, iż bomba nie przebije onego. Takowe wieże wycieczki poprzedzać pospolicie zwykły lub na rozpoznanie dokładne idą, miotając naokoło siebie straszliwy ogień. Jeżeli koszt na budowę tych wież i mechanizm w nich podziwienia jest godny szczegół następny jeszcze mocniej zachwycił me oczy. Wieże nie powróciły jeszcze na miejsce, gdy zobaczyłem w powietrzu dwunastu ptaków olbrzymiej wielkości, co większa strzelających jeszcze na ziemie i w rozmaite strony szybko uwijających się. Powiedziano mi, iż to są powietrzne czaty, że lubo u nich sztuka latania na skrzydłach nie jest jeszcze zupełnie wydoskonalona, tak, aby już stała sie powszechną, jednak kilkadziesiąt mają już zręcznych latawców. Te czaty powietrzne nie tylko służą do dokładnego rozpoznawania położenia nieprzyjaciela, lecz przy pomocy zręcznego i celnego strzelania starają się ubijać dowódców lub wyższych oficerów nieprzyjacielskich. Gdy się zmierzchało kazał komendant na wierzchołku owej ogromnej wieży zapalić ogień sztuczny, który całą noc palił się i całą okolice tak oświecił, iż o pół mili prawie ruch wojska rozpoznać można by było, fortyfikacje zaś wszystkie cień wieży zasłaniał (...). Na tej wieży znajduje sie także telegraf, który z telegrafem stolicy wprost rozmówić się może, nawet i w nocy przez mocne iluminowanie znaków. Gdyby forteca była w oblężeniu, natenczas wszystkie gminy, które są nie zajęte od nieprzyjaciela winne są dojrzane znaki telegraficzne z fortecy powtarzać, aby cały kraj nie zajęty od nieprzyjaciela mógł wiedzieć, co pod forteca dzieje się. Latawców też jako kurierów forteca w potrzebnym razie wysyła.

Komendant zapewnił mnie, iż garnizon w czasie wojny stutysięczny z żonami przez dziesięć lat żyć wygodnie może, że tak wielkich fortec mają cztery, które otaczają stolice i przystępu do niej bronią; że 500 tysięcy wojska działającego w stolicy, a 400 tysięcy w fortecach dostatecznymi są do odparcia potężnej siły (...). Przyznałem mu, iż ma przyczynę nie lękania się i że potęgę i bogactwa niezmierne jakie naród ich składa winni są najdoskonalszym ustawom i pierwiastkowym ustanowieniom. „Dlatego też” - rzekł komendant „Polaków bardzo kochamy, od których pochodzi pierwszy nasz monarcha Bolesław Wielki, a którego rocznice śmierci po wieczne czasy w wielkiej żałobie obchodzić nie przestaniemy”.

Wojciech Gutkowski, Podróż do Kalopei... PWN, Warszawa 1956, wybór ze stron 143162.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski



Konstruktor pytań i problemów

Z Krzysztofem Boruniem rozmawia Andrzej Krzepkowski

Andrzej Krzepkowski: *- Pytanie wręcz sakramentalne: co dla Pana znaczą słowa „napisać książkę SF czy opowiadanie"?*

Krzysztof Boruń: - Pisanie jest dla mnie pewnego rodzaju próbą konstruowania na własny użytek rozmaitych światów, zadawania sobie pytań i szukania na nie odpowiedzi. Przy generalnym założeniu, że nie staram się dawać odpowiedzi ostatecznych, że nie stwarzam żadnych recept. To zresztą wynika z mojego poglądu na sam proces modelowania nie tylko literackiego, ale i naukowego. Są to tylko pewne propozycje rozwiązań, wybór bądź szukanie rozwiązań lepszych pozostawiam czytelnikom. No i trochę też samemu sobie. W dodatku proces pisania, przynajmniej w moim przypadku, jest procesem w pełni samoorganizacyjnym, a nie realizacją przygotowanego algorytmu. Inaczej mówiąc, mam tylko pewne wektory, kiedy rozpoczynam pisanie. A dokąd strzałki mnie zawiodą, co z tego wyjdzie, to się rodzi dopiero w trakcie samego pisania. Biorąc pod uwagę kierunek moich zainteresowań problematyką psychologiczną i społeczną, można zauważyć, że nie ograniczam się do prezentowania modeli socjostatycznych, że interesuje mnie przede wszystkim sam proces modelowania, że najbardziej pasjonuje mnie obserwacja, jak te modele rozwijają się w trakcie pisania. To jest zasada nadrzędna, reszta jest ściśle podporządkowana potrzebom. To znaczy, wszystkie sprawy konstrukcyjne. Kiedy na przykład jakaś sytuacja powieściowa wymaga zastosowania reguł konstrukcyjnych kryminału, stosuję je bez wahania. Elementy kryminału można więc znaleźć chociażby w „Progu nieśmiertelności".

- Ogólnie biorąc, jest pan mocny w konstruowaniu książek na sposób, nazwijmy to, klasyczny.

- Interesuje mnie po prostu sam proces konstruowania modelu czy problemu, określonych zdarzeń i całej fabuły. To jest teren, na którym mogę się trochę wyżyć. Oczywiście może mi się podobać antypowieść czy dzieło surrealistyczne, w których konstrukcja schodzi na plan dalszy, niemniej osobiście wolę konstrukcje z założenia solidne.

- Czyli można mówić o pewnych pana „strukturalnych" ciągotkach? Nie myślę o strukturach formalnojezykowych, lecz o strukturach powieści, o obrazach, które przechodzą jedne w drugie, zastępują się i dopełniają.

- Tak. To kwestia pewnej dynamiki rozwojowej opisywanego i rzeczywistego życia. Oczywiście życia rozumianego bardzo szeroko. Nie tylko biologicznie, ale i psychologicznie. Interesuje mnie więc każda struktura wymuszająca rozwój wydarzeń; procesy społeczne. To wszystko, co się „rusza"...

- Przepraszam, Panie Krzysztofie, że przerywam, ale... W tym, co Pan właśnie mówi, widzę ślady takiej dosyć dobrej szkoły.

- Mianowicie?

- Myślę o profesorze Kotarbińskim.

- Rzeczywiście. Dość wcześnie zainteresowałem się filozofią. W jakimś stopniu pod wpływem Kotarbińskiego, przedtem jeszcze Russella.

- To się daje wyczuć. Natomiast zupełnie nie rozumiem czegoś innego. Dlaczego dysponując dobrym aparatem pojęciowym tak późno wziął się Pan do pisania ?

- Nie tak znowu późno. Pierwsze opowiadanie, jakie napisałem, a które niestety uległo zniszczeniu w czasie wojny pochodziło z 1937, może z 1938 roku.

- A gdzie ono by się plasowało? W literaturze na owe czasy współczesnej, czy...

- Nie, nie. To było także ŚF. I właściwie w tym opowiadaniu zawarte były podstawowe elementy, którym do dziś jestem wierny. Były elementy kosmiczne i parapsychologia, choć pojmowana raczej fizykalnie. W grę wchodził rodzaj telepatii właśnie poprzez Księżyc. No i oczywiście byli też jacyś tam rewolucjoniści, bo tego typu zjawiska społeczne interesowały mnie zawsze. Jeśli chodzi o tematykę parapsychologiczną, to mimo wieloletnich zainteresowań wprowadziłem ją do swoich książek SF po długiej przerwie, dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych. To znaczy w „Małych zielonych ludzikach" i trochę też w opowiadaniu „Człowiek z mgły". Z tym, że znowu jest ona traktowana biologicznie i fizykalnie.

- Sam sposób ujmowania zjawisk parapsychologicznych przez ich biologizowanie nie jest przecież najnowszy. Wspomnijmy chociażby Żuławskiego. Co Pan w ogóle myśli o „Starej Ziemi"?

- Z całej trylogii jej wpływ na mnie jest najmniejszy. Nie podziałała na moją wyobraźnię tak mocno, jak „Na srebrnym globie" i „Zwycięzca". Choć ogólnie biorąc, trylogia Żuławskiego wywarła na mnie szczególne wrażenie,

- Natomiast na mnie szczególne wrażenie zrobiła „Zagubiona przyszłość".

- Chce Pan, abym w to wierzył?

- To nie jest komplement, lecz stwierdzenie faktu. Po prostu nie chowałem się na Lemie. Ale skoro już o tym się zgadało, to...

- Słucham?

- Pytanie może być trochę niedyskretne, ale zaryzykuje. Czy nie ma Pan czegoś, co nazwałbym „kompleksem Lema"?

- Nie. Zacząłem pisać później, bo chyba brakowało mi odwagi. Do uczynienia większej próby skłonił mnie dopiero Andrzej Trepka. Obu nas to przecież pociągało, choć wcale jeszcze wtedy nie planowałem poświęcenia się fantastyce naukowej.

- Zawsze umiejscawiałem w czasie „Astronautów" i „Zagubioną przyszłość" bardzo blisko siebie. Traktowałbym te książki jako pisane równocześnie...

- „Astronauci" byli przed nami. A my... Cóż, byliśmy Lemem bardzo zafascynowani. I ta fascynacja utrzymuje się w pewnym stopniu do dziś. To oczywiście nie oznacza czerpania z Lema, chyba moje książki nie dają pożywki dla poszukiwaczy zbieżności i podobieństw. Ot, idziemy podobnymi, lecz innymi drogami. I nawet nie wynika to z pragnienia, żeby te same tematy inaczej ująć, a raczej z rozbieżności zainteresowań. W dodatku, co pan słusznie zauważył, do pewnego stopnia zdominowały mnie próby krzyżowania fantastyki z elementami sensacyjności i doskonalenie konstrukcji.

- Jako rozmówca jest Pan błyskotliwy, pełen mądrego humoru. Ale jako pisarz raczej nie zadaje Pan sobie trudu błyskania. A przecież humor, i do tego niezbyt głęboki, „kupuje" czytelników. Lem robi to doskonale, nie wierze, żeby i Pan nie potrafił. Dlaczego nie korzysta Pan z tej możliwości?



- Chyba dlatego, że forma jest dla mnie wtórną sprawą. Najważniejszy wydaje mi się przekaz, nie jego wygląd zewnętrzny. Ale rzeczywiście czasem sam odczuwam pewien niedosyt, może nawet brak lekkości. Widzę u siebie przerosty dialogów-dyskusji, czasem elementów wręcz popularnonaukowych. Być może jest to naleciałość mojej drugiej dziedziny, czyli właśnie popularyzacji nauki.

- Nie sposób pomijać Pana roli jako popularyzatora, ale przecież to nie ona determinuje Pańskie życie.

- Istotnie. Elementy popularyzacji również są dla mnie sprawą wtórną, jak i częściowo SF. Także pełnią tylko rolę usługową w stosunku do problematyki.

- Czyżby nowa szkoła Żeromskiego? Literatura problemu i problem nade wszystko?

- Tak. W jakimś stopniu tak. Ale niezupełnie. Zdaję sobie sprawę, że jestem raczej słaby w opisach, w tworzeniu konkretnych obrazów. To zastępuję problemem. Chyba że muszę opisać na przykład piękny krajobraz czy przedstawiciela obcej rasy odpowiednio plastycznie, bo służy to jakimś moim zamierzonym celom.

- Wygląda mi to na swoisty perfekcjonizm w posługiwaniu się brzytwą Ockhama.

- Można to i tak określić. Na przykład w „Małych zielonych ludzikach" pojawia się wiele obrazów, ale wszystkie są ściśle związane z biegiem fabuły. Z problemem. Przy czym w tej książce rola wizji jest dość istotna.

- Nie jestem do końca przekonany o słuszności tej szkoły. Właśnie za pewne mało znaczącę obrazy-dygresje bardzo sobie cenie „Ósmy krąg piekieł". Tam nie ogranicza się Pan tylko do jednego problemu. I to wydaje mi się dobre.

- To nieporozumienie. Nie zmuszam siebie do zawężania pola widzenia. W grę wchodzi raczej zasada maksymalnej dyscypliny twórczej. Po nadto nie jestem autorem, który swój tekst szanuje po napisaniu. Wszystko dość ostro adiustuję, nieraz wykreślam całe partie i piszę pewne rzeczy od nowa. Czasem bywam zmuszony do cofania się i dostosowywania całości do pew-

nych elementów, które „wyłażą" później.

- Pozwolę sobie na przeinaczenie sprawy. Według mnie dopracowywanie własnych tekstów raczej dowodzi, że Pan je szanuje.

- Ujmijmy to inaczej. Nie uważam tego, co napisałem, za formę jedyną i ostateczną.

- Panie Krzysztofie. Jak Pan widzi, nie mam broni. Mimo to spróbuje strzelić.

- No?

- Czy próbował Pan kiedyś napisać sztukę dramatyczną?

- Owszem. Jest przecież libretto do „Wygnania z raju".

- Myślę o zwykłej sztuce teatralnej.

- Próbowałem. No i mam też słuchowiska. To również mieści się w modelu teatralnym. Konstrukcyjnie są to przecież napisane dialogiem minidramaty.

- Chciałbym kiedyś przeczytać opowiada nie napisane przez Pana wyłącznie dialogiem. Bez narratorskich wtrętów. Tak, żeby wszystkie konieczne opisy scenerii i sytuacji zawrzeć tylko w wypowiedziach bohaterów. Przy Pańskich zastrzeżeniach dotyczących opisu byłoby to zapewne rozwiązane bardzo ciekawie.

- Taak, zastanawiam się właśnie... Nie. Nie mam opowiadania napisanego wyłącznie dialogiem. To wynikło z zaistnienia rozwiązań, wobec których trzymanie się dialogu aż do końca tylko ze względów formalnych mogło mnie zmusić do minięcia się z celem. Myślę o „Człowieku z mgły". Prawie cały jest napisany dialogiem, ale końcówka już nie.

- Skoro już zapisaliśmy „gotykiem" prawie cały alfabet, to i literę „z" wypadałoby napisać podobnie.

- Nie. Musiałbym wtedy zmieniać całą konstrukcję w poszukiwaniu nowych rozwiązań, a przyznam, że to mnie już trochę mniej bawi. Rzecz w tym, że moje pisanie jest raczej zadawaniem pytań, a udzielanie odpowiedzi zawsze jest sprawą trochę wtórną. Unikam rozwiązań ostatecznych, wnioski i oceny pozostawiam czytelnikom.

.- Czytelnicy bywają leniwi.

- Jeżeli czasem wychodzę naprzeciw gustom tego typu „leniwych" czytelników to dlatego, że i ja jestem leniwy.

- Czyżby coraz trudniej było konstruować pytania?

- Osobiście fakt zadawania pytań uważam za walor literatury. To bardziej ją zbliża do życia niż dawanie gotowych rozwiązań. W „Małych zielonych ludzikach" i pozytywni i negatywni bohaterowie mówią rzeczy słuszne, ale niesłuszne też. A ja wstrzymuję się od komentarzy.

- Bardzo zgrabnie „wymigał" się Pan od zdecydowanej wypowiedzi na temat myślowego lenistwa wielu czytelników. Wróćmy wiec do Pana. Uważny czytelnik na pewno zauważy swoisty przełom, jaki sie w Pańskim pisaniu dokonał pod koniec lat sześćdziesiątych. „Zagubiona przyszłość" była oparta na ogólnie znanych schematach. Od „Ósmego kręgu piekieł" począwszy zaczyna Pan tworzyć schemat własny Nauki ściśle zdecydowanie schodzą na dalszy plan. A Pańska „socjowiedza" nabiera mocnych tonów moralitetu. Zaczyna Pan sięgać po problemy etyczne, które przedtem rzadko gościły w fantastyce naukowej. I to nie tylko w rodzimej. Czy było to Pana prywatne szukanie nowej drogi dla SF?

- Dziś trudno na to odpowiedzieć. Dla mnie samego proces mojej ewolucji jest właściwie niedostrzegalny. Dopiero kiedy zadaje Pan pytania widzę, ze istotnie można tu pewne okresy czy etapy wyodrębnić. I właśnie tu wydaje mi się, że na mojej ewolucji zaważyła publicystyka naukowa, społeczna i społeczno-polityczna. Można znaleźć paralele między moimi ówczesnymi zainteresowaniami, a książkami, które później powstawały, zazwyczaj jako wynik nagromadzenia określonego zasobu wiedzy. W publikacji naukowej nie wolno mi łamać brzytwy Ockhama, lecz w powieści...

- Wie Pan, może na wet nie chodzi mi o to, czy dziennikarstwo „psuje" pióro, czy nie...

- Psuje.

- Może nie do końca. Ale chodzi o coś innego. Napisał Pan mnóstwo artykułów, poświęcając na to sporo czasu. Czy teraz, jako pisarz, a nie jako dziennikarz, nie czuje Pan żalu, że troszkę Pan swoje twórcze możliwości roztrwonił?

- Na pewno. Na pewno tak.

- Bo jednak publikacje prasowe są dziełami bardzo ulotnymi. Gdyby Pan pisał przede wszystkim książki...

- Od chwili przejścia na emeryturę zerwałem z publicystyką. No, prawie zerwałem.

- To „prawie „ zostawia nadzieje, że może od czasu do czasu napisze Pan coś także i dla „Fantastyki". A w ogóle jak się Pan zapatruje na pisanie na zamówiony, ściśle określony temat?

- Wcale się nie zapatruję. Od 25 lat mogłem sobie pozwolić na swego rodzaju luksus dziennikarski. Będąc dziennikarzem funkcyjnym pisałem tylko na te tematy, które mnie zainteresowały. Natomiast co do strwonienia czasu, to chyba jest pewien element, który ratuje sprawę. Praca dziennikarska stanowiła wstępne przygotowanie do problemu. Stający przede mną temat z zamówienia społecznego lub politycznego podejmowałem z pozycji badacza, penetrując dany obszar, a nie z pozycji człowieka ograniczającego się do przekazywania określonych treści.

- Czy określenie „zamówienie społeczne" nie brzmi trochę za górnolotnie?

- Fakt dewaluacji tego określenia w dzisiejszych czasach wcale nie umniejsza jego trafności.

- Nie o dewaluacje chodzi. „Zamówienie społeczne" wydaje mi się pustym dźwiękiem. Bo i skąd Pan wie, że społeczeństwo zamawia właśnie określoną rzecz, a nie inną?

- Bardzo dobre pytanie. Wydaje mi się, że to, co w skrócie nazywamy tutaj „zamówieniem społecznym" jest obszarem problemów, które w danym okresie historycznym nurtują szersze kręgi społeczeństwa. Otóż pisarz jest tego społeczeństwa cząstką. Im bardziej pisze dla siebie, im ostrzej zadaje sobie pytania, tym bardziej musi wkraczać w ten obszar problemów.

- Więc według Pana pisarz czuje za miliony,, razem z milionami i... W porządku. Ale to żadna gwarancja, że czuje właśnie to, co społeczeństwu potrzebne.

- Gwarancji nikt dać nie może. Ale w twórczości pisarskiej można znaleźć mniej lub bardziej dokładne odbicie społecznych zjawisk i trendów, aktualnych problemów i napięć.

- I znowu mam ochotę Pańską wypowiedź „postawić na głowie". Czynie uważa Pan, że zbyt wielka liczba problemów staje się PROBLEMEM? I, że w tym momencie zamówienie społeczne może brzmieć zupełnie inaczej? Że czytelnik może zapragnąć lektury o problemie odległym, może niekiedy absurdalnym, ale dzięki temu dającej odpoczynek?

- Na pewno. Takie żądania również występują. Ale jednocześnie istnieją inne rodzaje zamówień. Więc wybór zależy od pisarza i jego zainteresowań. Również wybór rangi pytań, które sobie i czytelnikom zadaje.

- Stawia Pan pytania trudne już w zamierzeniu. A odpowiedzi, których czytelnik musi sobie na te pytania udzielać, są zazwyczaj gorzkie. Dlatego nazwałbym Pana gorzkim ironistą. W stylu „późniejszego" Wiktora Hugo. Ot, choćby i za ten tytuł „Fabryka szczęścia". Ale czy nie jest to (przepraszam za określenie) taki bardzo wysublimowany masochizm? Bardzo niewielu czytelników potrafi takie książki strawić i właściwie zrozumieć. W efekcie przeciętny polski czytelnik jeszcze do niedawna wiedział o Panu mniej niż czytelnik za granicą.

- To wynikało z pewnych przyczyn obiektywnych.

- Tak. Niezaprzeczalnie obiektywny jest fakt, że „Ósmy krąg piekieł" nie mógł sie doczekać polskiego wydawcy przez 14 lat od chwili napisania. A przecież bardzo dobrze o Panu, jako o autorze, świadczy, że sie ta książka mimo wszystko nie zdezaktualizowała.

- Może dlatego, że oprócz warstwy fabularnej, angażującej czytelnika zdarzeniami mniej lub bardziej sensacyjnymi, starałem się zawrzeć w tej książce pewne aktualia, parę problemów dnia dzisiejszego. I ponadto zbiór pewnych ogólnoludzkich prawidłowości względnie ponadczasowych. Oczywiście wszystko się zmienia, ale w ramach przedziałów czasowych idących niekiedy w tysiąclecia pewne zasady, głównie moralne, są właściwie wieczne.

- Mam jeszcze parę krótkich pytań. Przede wszystkim, dlaczego tak mało? Zaledwie 14 pozycji licząc wszystko razem. 1 powieści, i książki popularyzatorskie. Czy jest to kwestia prostego sprzężenia popyt-podaż?

- Rzeczywiście można tu znaleźć pewne powiązania. Nie jest to tylko kwestia chęci pisania niezależnie od warunków, musi istnieć jakiś bodziec dyscyplinujący. Dla mnie jest nim umowa wydawnicza. Mało... Ale przez 37 lat byłem dziennikarzem. Także i praca społeczna zajmowała około 30% mojego czasu.

- Jak Pan się z tym wszystkim „wyrabiał"?

- Pisałem w soboty i niedziele, na urlopach, w pociągach i autobusach.

- Więc w warunkach, które literatowi mogą zepsuć wzrok, charakter pisma i... opinie- Przyznam, że przejście tak twardej szkoły pisania bardzo mi imponuje, ale wolałbym, żeby Pan wzorem Lema przede wszystkim pisał swoje książki.

- Dlaczego?

- Bo może teraz mielibyśmy w polskiej SF trochę więcej dobrego dramatu psychologicznego napisanego prostym, a nie „przemądrym" jeżykiem. A za tym idzie problem bohatera. Jaki typ bohatera pan preferuje? Przykładowo przeciętny bohater Lema jest dla mnie troszkę... bezpostaciowy. Mimo że ma na przykład pucołowatą twarz i bezpretensjonalny wąsik z czarnego sznurowadła, albo że jest niebetryzowanym dzikusem z kosmosu. Pan w swoich ludzi sięga chyba głębiej. I co pan z nich wyławia?

- Nie powiem, że jest to zamierzone. Czasem wynika z akcji, że moi bohaterowie bywają ułomni. Nieraz jest to ułomność aż dosłowna. Bohaterem „Małych zielonych ludzików" jest niewidomy politolog. Co zresztą wcale mu nie przeszkadza orientować się w sytuacji lepiej niż komukolwiek innemu w powieści. I tak już u mnie bywa. Bohater obdarzony niektórymi właściwościami herosa czy supermana niekiedy wcale nie może ich wykorzystać, bo tak mu się akurat wszystko układa.

-Taak. Nie ma Pan kompleksu Lema. Ale niektóre problemy ze swojego życia jednak Pan do literatury przenosi.

- Tego uniknąć nie sposób. Zawsze się to wszystko w życiu jakoś tak przeplata...

- Z tonu słyszę, że nie ma Pan do świata pretensji i nawet na słabości... swoich bohaterów patrzy Pan z dystansu.

- Tak.

- Cóż, miał Pan sporo czasu na taką naukę. Ale właśnie. Pisze Pan już od tylu lat. Zawsze dobrą polszczyzną. Ale przecież jeżyk SF się zmienia.

- Chodzi o modernizację języka" Owszem. Jestem za tym.

- Nie bardzo to widzą. Pan oczywiście swój jeżyk aktualizuje...

- ...ale nie są to zmiany zasadnicze, tak? Nie zmieniam modernizacji w nowatorstwo językowe. Gdyby miało mi to kiedyś posłużyć do określonego celu, zdecydowałbym się bez wahania. Ale póki co - nie czuję potrzeby.

- I nie o nowatorstwo chodzi. Po prostu zauważyłem u Pana pogłębianie zawartości myślowej dzieł, któremu nie towarzyszyło pogłębianie literackości tekstów. Plastyka scen z „Zagubionej przyszłości" i obrazy z „ Toccaty" robione są tak samo, a przecież te książki dzieli od siebie bardzo wiele lat.

- Zawsze traktowałem to wszystko raczej instrumentalnie. Dopiero ostatnio.., Napisałem 1/4 „Małych zielonych ludzików" w czasie przeszłym, potem stwierdziłem, że ze względów konstrukcyjnych powinienem jednak przerobić całość na czas teraźniejszy.

- Więc zdecydował się pan na aktualizacje nie tylko pomysłów, ale i doboru form, sposobów pisania ?

- Tak. A przyznam, że jeszcze do niedawna nie czułem takiej potrzeby. Teraz, o ile dożyję i będę pisał, poszukam form adekwatniejszych do treści przekazów. Właśnie zaczynam stosować to, co Pan mówił o operowaniu dialogiem z uniknięciem odautorskich komentarzy. Nie odżegnuję się tez od eksperymentów językowych, ale znowu stosuję tu kryterium ich usługowości wobec przekazu. Na potrzeby swojej najnowszej powieści stwarzam polszczyznę, która może wejdzie w użycie za trzysta lub czterysta lat. Mój bohater styka się z ludźmi z przyszłości i...

- I mam prośbę- Niech Pan nie zdradza fabuły przed czasem. Natomiast samo to, co już Pan powiedział, martwi mnie trochę.

- To znaczy?

- Widzę tu schemat podobny trochę do sytuacji z „Ósmego kręgu piekieł".

- To wynika z założeń. „Jasnowidzenia inżyniera Szarka", bo taki ta powieść ma tytuł roboczy, mają być odmianą groteski.

- W takim razie widzę tu kontynuację pewnego ogólniejszego procesu. Do pewnego momentu literatura Jest poważna, potem próbuje wyskoczyć przez nowatorszczyznę ze swojej starej skóry, wreszcie sama siebie zaczyna wyszydzać. Rozumiem, że obecnie Pańskim „problemem do skonstruowania stało się sparodiowanie określonych schematów SF.

- Powiedzmy, ze tak.

- W takim razie z całego serca życzę Panu powodzenia.

Notował
Andrzej Krzepkowski

Sylwetkę Krzysztofa Borunia przedstawiliśmy w „Słowniku polskich autorów fantastyki" w „Fantastyce" nr 3/82.

1955

SF dla dorosłych (ASF):

ĚFRĚMOV I.: *Biały..* - zob. Utopia.
LEM S.: *Astronauci.* - zob. 1954 (postdat.).
156. LEM Stanisław: *Obłok Magellana.* Warszawa. Iskry. 8° ss. 412, nlb. 2. 20 000 egz.
157. LEM Stanisław: *Sezam.* Wyd. II. Warszawa. Iskry. 8° ss. 267, nlb. 2. 50 000 egz. Biblioteka Jaskółki.
158. [OCHOTNIKOV Vadim]: *Historia pewnego wybuchu.* Tłum. z ros. Wanda Dąbrowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 110, nlb. 2. 30 000 egz. Trzy opow., z których dwa wchodziły w skład *W świecie poszukiwań*. - Na k. tyt. aut.: W. Ochotników.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

Utopia (U):

160. BIELICKI MARIAN L [ech]: *Bakteria 078.* Wyd. III. Wyd. MON. 16° ss. 258, nlb. 2. 10 000 egz.
161. BIELICKI Marian [Lech]: *Dżuma rusza do ataku.* Warszawa. Wyd. MON. 16° s. 438, nlb. 2. 10 000 egz.
162. CAMPANELLA [Tomasso]: *Miasto słońca.* Tłum. z łac, oprać, i wstęp L. i Rachaniel Brandwienowie. Wrocław. Ossolineum. 16° ss. LVII, nlb. 1, 97, nlb 5. 3 000 egz. Biblioteka Narodowa. Seria 2, nr. 95 - Stanowi odmienne opracowanie poz. 147/1954. - Na k. tyt. imię aut._ Tomasz.
*** 163.** [ĚFRĚMOV Ivan]: *Biały róg.* Opowiadania. [Wyd. VI.] Tłum. [z ros.] Maria Kowalewska. Warszawa. 1956 [postdat.]. Iskry. 16° ss. 205, nlb. 3. 10 000 egz. Niektóre opow. fantast. - Na k. tyt. aut.: Iwan Jefriemow.
164. FRANCE Anatol [e]: *Na białym kamieniu.* Tłum. z franc. Adolf Sowiński. Wstęp S[amuel] Fiszman. Warszawa. Czytelnik. 16° s* 179, nlb. 1.15 000 egz.
165. KELLERMANN Bernhard: *Tunel.* Tłum. z niem. Jan Bohuszewicz. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 360, nlb. 3. 30 000 egz.
166. [LAGIN Lazar']: *Patent AV.* tłum. z ros. Józef Brodzki. Wyd. II. Warszawa. Iskry. 8° ss. 329, nlb. 3. 10 000 egz. Na k. tyt. aut.: L. Lagin.
167. [PLATOV Lëonid]: *Kamienny kopiec.* Opowiadania. Tłum. z ros. Władysław Halicki. Warszawa. Nasza Księgarnia 8° ss. 170, nlb. 2. 30 000 egz. Większość opowiadań z elementami fantast. - Na k. tyt. aut.: L. Płatów.
168. RABELAIS [Francois]: *Gargantua i Pantagruel.* T. I-II. Tłum. [z franc] Tadeusz Żeleński Boy. Wstęp Mieczysław Brahmer Wyd. III. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° T. I. ss. XXVII. nlb. 1, 545, nlb. 1; T. II. ss. 427, nlb. 1. 20 000 egz. Na k. tyt. brak imienia aut.
169. VERNE [Jules]: *Tajemnicza wyspa.* Wyd. I pełne. T. I-III. Tłum z franc. Janina Karczmarewicz. Przedm. Z[dzisław] Ryłko. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° T. I. ss. 271, nlb. 1; T. II. ss. 263, nlb. 1; T. III. ss. 239, nlb. 1. 50 000 egz. + dodruk 50 000 egz. Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.
170. VERNE Jules: *Tajemnicza wyspa.* Tłum. z franc. Jadwiga Karczmarewicz. Wstęp Zdzisław Ryłko. Wyd. II. Warszawa. Nasza Księgarnia. 4° ss. 520, nlb. 7. 20 000 egz.
***171.** [VOLTAIRE Francois Marie Arouet de]: *Powiastki filozoficzne.* Tłum. z franc. Tadeusz Boy Żeleński. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 677, nlb. 3. 10 000 egz. Na k. tyt. aut.: Wolter. - Zawiera m.in. *Tak toczy się światek.*

Fantazja dla dorosłych (AF):

172. CAROLL Lewis: *Alicja w Krainie Czarów.* Tłum. [z ang] Antoni Marianowicz. Wyd. I w tym oprać Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 97, nlb. 2. tabl. 16. 40 000 egz. AF/CJF.
173. MARSHALL Bruce: *Cud ojca Malachiasza.* Tłum. z ang. Maria Kłos-Gwizdalska. Warszawa. PAX. 16° ss. 223, nlb. 1. 10 000 egz.
174. STERN Anatol: *Ludzie i syrena.* Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 238, nlb. 2. 10 000 egz.

„Zagadki nauki" (MS):

175.[IVANOVSKIJ M.]: *Narodziny światów. Zarys współczesnych poglądów na powstanie i rozwój systemu słonecznego* Tłum. z ros. Przemysław Rybka. Wstęp V. Krat. Warszawa. Wiedza Powszechna. 8° ss. 335, nlb. 1, wkładka. 10 000 egz. Na k. tyt. aut.: M. Iwanowski.
***176.** (?) KOZŁOWSKI Władysław: *Czy życie istnieje tylko na Ziemi.* Wyd. II. popr. i uzup. Warszawa. Wiedza Powszechna. 32° ss. 69, nlb. 3. 15 000 egz. Mała Biblioteczka Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Seria I: Przyrodnicza.

1956

SF dla dorosłych (ASF):

177. BORUŃ Krzysztof, TREPKA Andrzej: *Proxima.* Powieść fantastyczna. Warszawa. Iskry. 8° ss. 595, nlb. 5. 20 000 egz.
178. ĆAPEK [Karel]: *Dramaty: R.U.R. Rossum's Universal Robots.* Tłum. [z czesk] Andrzej Steczkowski. *Biała zaraza. Matka.* Tłum. [z czesk.] Czesław Sojecki. Posłowie Z[dzisław] Hierowski. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 342, nlb. 2. 2 000 egz. Na k. tyt. imię aut.: Karol. - *R.U.R.* - ASF, *Biała zaraza* - Utopia, *Matka* - Weird.
179. CAPEK [Kareł]: *Inwazja jaszczurów.* Tłum. [z czesk.] Jadwiga Bulakowska. Posłowie Zdzisław Hierowski. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 310, nlb. 2. 10 000 egz. Na k. tyt. imię aut.: Karol.
180. DOYLE Art[h]ur Conan: *Świat zaginiony.* Tłum. [z ang] Tadeusz Evert. Warszawa. Iskry. 16° ss. 247, nlb. 5. 80 000 egz.
181. LEM Stanisław: *Obłok Magellana.* Warszawa. Iskry. 8° ss. 410, nlb. 2. 20 000 egz.
182. [NĚMCOV Vladimir]: *Cień pod ziemią,* (oraz *Aparat SL - 1).* Tłum. [z ros.] Jerzy Litwiniuk. Warszawa. Iskry. 8° ss. 294, nlb. 2. 10 000 egz. Na k. tyt. aut.: W. Niemców. - Powieść *Aparat SL - 1* miała osobne wyd. w innym tłum. pt. *Błękitny płomień* (poz. 59/1950).

cdn.
Przygotował J**acek Izworski**

Istnieje pewna grupa pisarzy SF, nawiasem mówiąc niewielka w stosunku do ogółu parających się tą tematyką, która rezygnuje z łatwizny. Czy też - mówiąc inaczej - narzuca sobie pewne samoograniczenia zanim wyśle bohaterów swoich utworów w przestrzeń kosmiczną. Pragnąc dochować wierności nauce rezygnuje z magicznych słów, w rodzaju „hyper drive" (nadciąg), czy „sub space" (podprzestrzeń), załatwiających natychmiastowe pokonywanie przestrzeni międzygwiezdnych przez statki kosmiczne. Trzyma się naszej wiedzy o podstawowych prawach fizyki, uwzględnia możliwości techniczne i technologiczne określone tymi prawami. Broni wprawdzie w ten sposób honoru gatunku określanego skrótem SF, nie pozwalając żeby w ich utworach nauka była przekreślana przez fikcję, ale płaci wysokie koszta, właśnie w postaci różnych samoograniczeń. Bohaterowie mogą wprawdzie polecieć na inną planetę, ale wielkość i masa ich statku kosmicznego ograniczona będzie ilością energii niezbędnej do nadania odpowiedniego przyspieszenia tej masie. Owe ograniczenia zwiększą się niepomiernie jeśli mają wylądować, a później wystartować do lotu powrotnego. Czas przelotu oczywiście też nie będzie dowolny. Zależy on bowiem od wielkości przyspieszenia (i potrzebnej do tego energii), a potem wytracenia prędkości. Wysłanie bohaterów poza nasz system słoneczny nie tylko pomnaża wszystkie te trudności, lecz jeszcze wprowadza czynnik czasu w rozmiarach przekraczających długość życia ludzkiego. (Niektóre komplikacje, mogące stąd wyniknąć świetnie przedstawił S. Lem w swoim „Powrocie z gwiazd").
W rezultacie próba dochowania wierności nauce w pisarstwie SF dotyczącym wyjścia człowieka w przestrzeń kosmiczną musi nieuchronnie prowadzić do ograniczenia sfery działania bohaterów i w czasie, i w przestrzeni: poruszać się mogą w obrębie naszego systemu słonecznego lub sięgać najwyżej kilku najbliższych gwiazd. To co dalej, to już tylko fantastyka. Ale i to, co bliższe też jest najeżone wieloma trudnościami. Księżycowy program Apollo i loty sond kosmicznych na Wenus i Marsa ukazały ogrom trudności związanych z próbą osadzenia na stałe ludzi na najbliższych sąsiadach Ziemi, a przy okazji bardzo ograniczyły możliwości fantazjowania na temat ich kolonizacji. Nie zmienia to jednak faktu, że coś w rodzaju kolonizacji jest możliwe, to znaczy znajduje się w zasięgu naszych naukowych i technicznych możliwości - obecnych i dających się przewidzieć. To samo dotyczy pasa asteroid poza Marsem, owych hipotetycznych szczątków planety, która uległa nie wyjaśnionej katastrofie kosmicznej. Dotarcie do tego pasa jest nie tylko możliwe z technicznego punktu widzenia, lecz zapewne stanie się koniecznością. Okazać się on może niezbędnym zapleczem surowcowym dla cywilizacji ziemskiej, w miarę wyczerpywania zasobów rodzimej planety. Autorzy SF już od dawna zajmowali się taką możliwością. Znawcy gatunku mogliby wymienić dużą liczbę utworów, których bohaterowie docierali do tego pasa, osiedlali się na asteroidach, ba, tworzyli tam całą odrębną społeczność i cywilizację.
Jak powiedziano - z punktu widzenia naszej współczesnej wiedzy rzecz jest w zasadzie możliwa. W jakim jednak zakresie? Jakie warunki muszą być spełnione, jakie trudności należy przewidywać i jakie są konieczne ograniczenia? Na takie mniej więcej pytania stara się odpowiedzieć, zgodnie z wymogami wiedzy, Jerry Pournelle. Amatorom literatury SF w USA jest znany przede wszystkim jako autor „Lucifer's Hammer" (Młot Lucyfera), bestselleru napisanego wspólnie z Larrym Nivenem. Tym, których interesują więzi między nauką i fantastyką dał się poznać jako znakomity autor felietonów naukowych, systematycznie drukowanych w miesięczniku „Galaxy". Inny czołowy autor SF A.E. van Vogt tak o nim pisze: *„Spośród wszystkich ludzi jakich spotkałem w swoim życiu Jerry jest jednym z najbardziej, wprost kolosalnie wykształconych w różnych dziedzinach wiedzy. Posiada znakomite przygotowanie w inżynierii, fizyce, psychologii, matematyce, logice, a także naukach społecznych".*
Dodajmy, że Pournelle był zapraszany jako wykładowca przez wiele amerykańskich uniwersytetów, uczestniczył w wielu sympozjach naukowych gromadzących luminarzy z różnych dziedzin wiedzy w USA. Przedstawiony poniżej esej pochodzi z książki „A Step Farther Out" (Krok dalej) wydanej w 1979 r.

W.M.

Cywilizacja na asteroidach

Jerry Pournelle

(...) Jednym z ulubionych tematów literatury fantastyczno-naukowej jest „Cywilizacja Pasa Asteroid", która zazwyczaj stara się uzyskać, i uzyskuje, niezależność od kolonialnych władców z Ziemi. Mieszkańcy Pasa utrzymują się z górnictwa - wędrują z asteroidy na asteroidę, krając je w plasterki w poszukiwaniu bogatych żył metali, które zapewne tam się znajdują. Stolica Pasa znajduje się zazwyczaj na Ceres lub w jakimś innym centralnym miejscu, które ewentualnie zostało gruntownie przekształcone. Gdy mieszkańcy Pasa się zbierają, dzieje się to zawsze w mieście na asteroidzie.

Mieszkańcy Pasa nigdy nie pojawiają się ani na Ziemi, ani na jakiejkolwiek innej planecie. Uważają planety za „dziury", głębokie studnie grawitacji, które mogą i ich schwytać i zużyć ich cenne paliwa. Założenie polega tutaj na tym, że przenoszenie się z asteroidy na asteroidę jest znacznie mniej kosztowne niż lądowanie na planecie czy wchodzenie na jej bliską orbitę. Inne założenia, którego na ogół nie wymienia się w opowiadaniach, dotyczy drogich i rzadkich paliw. Mieszkańcy Pasa muszą oszczędzać masę reakcyjną i dlatego z reguły oszczędzają zarówno czas, jak i energię, nie wyruszając nigdy poza Pas. Przypuszczam, że mają lokalne źródło paliwa, bo w przeciwnym razie nie mogliby nawet myśleć o swej niezależności. Muszą mieć paliwo dla swych statków i energię dla sztucznego środowiska. Bez nich nie byłoby Cywilizacji Pasa.

Jądrowe reaktory rozszczepieniowe i duże baterie słoneczne mogłyby dostarczać mocy wystarczającej dla stałej stacji w Pasie - gdyby było tam coś dość wartościowego, to już teraz moglibyśmy umieścić reaktor na asteroidzie. Paliwo rakietowe jest jednak czymś innym. Żeby rakieta mogła działać, potrzebna jest masa reakcyjna - coś, co można skierować z dużą prędkością do tyłu i wyrzucać za rufę. Niestety, asteroidy są skałami, a skały nie są dobrym paliwem rakietowym. Teraz popatrzmy, jak trudne są podróże do Pasa i wewnątrz niego. Jako miarę weźmiemy całkowitą zmianę prędkości statku niezbędną do wykonania zadania (delta v). Należy pamiętać, ze statek o określonej sprawności paliwowej i określonym stosunku masy paliwa do masy niepaliwa będzie miał jednoznacznie obliczalne delta v. Nie ma znaczenia, czy pilot zużyje to delta v małymi porcjami, czy w jednym dużym ciągu - suma zmian prędkości pozostanie ta sama. Podobnie delta v, które można obliczyć dla różnych podróży z praw mechaniki orbitalnej, jest niezależne od rodzaju użytego statku. (...) Z obliczeń takich wynika, że lądowanie na asteroidzie nie jest o wiele łatwiejsze niż wyprawa na Marsa. W rzeczywistości, trudniej nawet dostać się na Ceres niż na Marsa. Dzieje się tak nie tylko dlatego, ze asteroidy położone są daleko, ale również dlatego, ze nie ułatwiają dotarcia do nich - mają tak małą masę, ze trzeba na nie dosłownie polować. Ponadto, podroż pomiędzy Ceres i hipotetyczną asteroidą 2 AU (1 AU. czyli jednostka astronomiczna, jest równa odległości Ziemi do Słońca - 149 500 000 km) jest znacznie tańsza niż dotarcie na Ziemię z którejkolwiek z nich. Żeby dotrzeć do skały 2 AU potrzeba delta v = 8 km/s; podróż z 2 AU na Ceres wymaga już tylko dodatkowych 3,2 km/s.

Jak dotąd tworzenie Cywilizacji Pasa idzie nam nieźle. Jednakże pojawił się już drobny szkopuł - choć podróż na Marsa jest kosztowna, to dotarcie na jego orbitę jest równie łatwe jak przeniesienie się z asteroidy na asteroidę. Zatem gdyby można było zbudować na Marsie system wyrzutni laserowych i obniżyć w ten sposób koszt przelotu pomiędzy powierzchnią planety i orbitą, to Mars z powodzeniem mógłby stać się Stolicą Pasa.

Polityka jest polityką i Marsjanie (czy też marsjańscy koloniści?) niechętnie widzieliby u siebie nieokrzesanych górników z asteroid. Mieszkańcy Pasa musieliby zatem zbudować swą stolicę w jakimś innym do-' godnym miejscu, jak Ceres czy 2 AU, zachowując swe poczucia godności'- no i część energii. Nie powiedzieliśmy jednakże dotąd nic na temat czasu przenoszenia się z miejsca na miejsce.

Wartości delta v obliczone zostały dla przelotów o minimalnym zużyciu energii, wykorzystujących orbity podróżne Hohmana. A wykorzystanie orbit Hohmana wymaga, by punkt rozpoczęcia podróży i punkt jej zakończenia leżały dokładnie po przeciwnych stronach Słońca. Nie można latać, gdzie się żywnie podoba - trzeba poczekać na odpowiedni układ geometryczny, gdyż w przeciwnym razie delta v wzrasta do nieprawdopodobnych wartości.

Takie okno startowe występuje raz na każdy okres synodyczny. Okres synodyczny jest czasem obrotu dwóch planet czy planeto id wokół Słońca, począwszy od pewnego położenia względem siebie aż do uzyskania dokładnie tego samego położenia - na przykład tak jak w podróży Hohmana, od położenia po przeciwnych stronach Słońca aż do ponownego takiego położenia. (...)

Okresy synodyczne i czasy podróży, to kolejny kłopot dla Cywilizacji Pasa. Podróż z Ceres na 2 AU nie tylko trwa 1,57 roku, ale ponadto można ją odbywać jedynie raz na 7 lat! Wy-

prawa na Marsa czy z Marsa również nie ma lepszych perspektyw. Mieszkańcy Pasa nie będą mogli odwiedzać swej stolicy zbyt często i należy się zastanowić, czy w ogóle można tworzyć cywilizację kolonistów, którzy mogą spotykać się raz na siedem - dziewięć lat, spędzając przy tym lata w podróżach. Dla porównania, z Ziemi na planetoidy można dostać się co półtora roku, spędzając dalsze półtora roku w podróży. Nie jest to czas krótki, ale krótszy niż dziewięć lat dla lotów pomiędzy Geres i asteroidą. Chyba nie byliśmy bardzo fair wobec mieszkańców Pasa. Asteroidy nie są tak odległe od siebie jak Ceres i hipotetyczna skała 2 AU. (...) Przyjmijmy, że są one oddalone od siebie średnio o 101,cm, co okazuje się być milionem kilometrów - dystansem trzykrotnie większym od odległości pomiędzy Ziemią i Księżycem.

Nie trzeba wykorzystywać orbit Hohmana, by przenosić się zaledwie o milion kilometrów, i to tak daleko od wpływu Słońca. Normalnym (fantastyczno-naukowym) urządzeniem mieszkańców pasa jest statek-pochodnia, który rozpędza się do połowy dystansu, odwraca się i przez drugą połowę dystansu hamuje. Lot orbitalny w rzeczywistości odbywa się inaczej, ale takie przybliżenie jest wystarczające. (...) Zresztą statki-pochodnie same stanowią problem. Ciągłe przyspieszenie może być łatwe do zniesienia dla pasażerów, ale zużywa szaleńczo dużo delta v. Wyprawa na byle milion kilometrów przy przyspieszeniu 1 g wymaga więcej delta v niż dziesięć zwykłych wypraw na Ceres! (...) Trudno przy tym sobie wyobrazić, jak będą działały statki-pochodnie. Zazwyczaj literatura fantastyczno-naukowa tłumaczy to „energią atomową", ale przecież naprawdę to nie wszystko. Mamy już projekt rakiety NERVA o napędzie „atomowym" ale działa ona inaczej. NERVA jest stosem atomowym, przez który przepuszcza się wodór jako czynnik chłodzący. Stos ogrzewa wodór, który z dużą prędkością wydostaje się przez rufę do tyłu i dlatego rakieta się porusza. (...) Najlepsza jednak NERVA, jaką moglibyśmy zbudować, nie byłaby statkiem-pochodnią. Z paliwem w ilości równej połowie całkowitej masy statku mogłaby krążyć pomiędzy asteroidami, a nawet docierać niemal wszędzie w Układzie Słonecznym, ale tylko wykorzystując orbity Hohmana. Nie mogłaby poruszać się z ciągłym przyspieszeniem. Nawet gdybyśmy mogli radzić sobie z temperaturą 1 000 000 K (chociaż nie wiem w jaki sposób), uzyskalibyśmy delta v zaledwie równe 208 km/s dla statku z 80% zapasem paliwa. To juz coś, ale wystarcza na jeden, tylko jeden przelot z ciągłym przyspieszeniem 1 g na odległość miliona kilometrów. A milion kilometrów nie jest dużą odległością w Układzie Słonecznym. Zapewne, taki statek mógłby poruszać się ciągiem o mniejszych przyspieszeniach, lecz nadal nie byłby statkiem-pochodnią, w który pisarze SF wyposażają mieszkańców Pasa.

Jeżeli NERVA nam nie wystarcza, to jak byłoby z „prawdziwą" rakietą atomową wykorzystującą kontrolowaną reakcję syntezy jądrowej? Czyż reakcje termojądrowe nie dostarczyłyby energii potrzebnej do lotów. Nie same. Fuzja jądrowa dostarcza mnóstwa energii, ale jak ją przechowywać? Na Ziemi mogliśmy, stosując ogromne pola magnetyczne generowane w wielkich pierścieniach takomaka, zbudować komorę do prowadzenia kontrolowanej syntezy jądrowej - ale na pokładzie statku kosmicznego? (...)

Co zatem mogą zrobić mieszkańcy Pasa? Mogą wykorzystać silniki NERVA, ale skąd wezmą do nich paliwo? Pomiędzy asteroidami nie ma przecież zbyt dużo wodoru.

Dość nieoczekiwanie można znaleźć system napędowy, który (teoretycznie) nie wymaga szczególnie wysokich temperatur i może być zbudowany już teraz. Co więcej, w Pasie Asteroid można znaleźć do niego paliwo. Jest to napęd jonowy, który wykorzystuje jako paliwo pary metali, nadając im przyspieszenie nie poprzez ciepło, ale przez pole magnetyczne. Jeżeli asteroidy okazałyby się bogate w metale, to statki jonowe byłyby właśnie tym, czego potrzebują mieszkańcy Pasa. Paliwo będą wydobywać ze skał. Ale nawet silnik jonowy nie wystarcza dla statku-pochodni poruszającego się z przyspieszeniem 1 g. Taki statek zużywa zbyt wiele energii, a poza tym napęd jonowy nie zapewnia wystarczającego ciągu. Na przykład silnik wykorzystujący pary rtęci, choć bardzo sprawny, daje ciąg około 10" g. Podróżuje się zatem bardzo sprawnie, lecz bardzo długo. Konkluzja jest zatem oczywista - z tym, co można przewidywać w sprawie rakiet, mieszkańcy Pasa nie będą mogli rozwinąć swej cywilizacji. Nie będą mieli statków na tyle dobrych, by kontaktować się pomiędzy sobą - a jeżeli mieliby takie statki, to mogliby podróżować równie łatwo na Ziemię, jak na inne asteroidy. Prawdziwe statki-pochodnie pozwoliłyby zarówno im, jak i flocie ziemskiej bez kłopotu podróżować dokądkolwiek.

Tak zatem nauka odebrała pisarzom fantastyki naukowej Marsa i Wenus, a teraz Pas Asteroidów. Smutne to i dlatego szukałem jakiegoś pocieszenia. Możliwość budowy cywilizacji wielu światów dają księżyce Jowisza. Są znacznych rozmiarów, można na nich znaleźć zapewne lód (wodę), metan lub podobne źródło wodoru - paliwa do silników NERVA, którego nie trzeba przywozić z Marsa. Podróż na księżyce Jowisza trwa długo jest zatem motywacja, by dostawszy się tam raz, pozostać na stałe. Poza tym delta v potrzebne, by tam dotrzeć, jest mniejsze niż to, by wylądować na Ceres. Może najpierw powinniśmy polecieć właśnie tam? (...) Będziemy jednak musieli odrzucić satelity zewnętrzne - obracają się przeciwnie do ruchu planety, a delta v potrzebne, by na nich wylądować, jest tak duże, że gdybyśmy mogli to zrobić, to i tak moglibyśmy latać dokądkolwiek. Pozostałe są dogodniejsze. (...) Wyjąwszy Amalteę, położoną blisko planety, podróże można odbywać statkiem typu NERVA. Ponadto czasy podróży są krótkie, a geometria sprzyjająca lotom po orbitach Hohmana powtarza się co parę miesięcy lub częściej. Loty pomiędzy czterema dużymi, odkrytymi już przez Galileusza, księżycami wymagają delta v niemal takiego jak podróż z Ziemi na nie. Niemniej, jeżeli są one bogate w wodór, to nie będzie problemów z zaopatrywaniem w paliwo.

Podróże pomiędzy trzema kolejnymi księżycami są bardzo łatwe - można je odbywać rakietą skleconą na podwórku i napędzaną naftą. Te księżyce są prawdopodobnie asteroidami schwytanymi przez planetę i mogą być tak samo ciekawe jak inne obiekty zainteresowania Cywilizacji Pasa. Tak więc możemy zakończyć ten artykuł radosnym pożegnaniem Pasa Asteroid i jego mieszkańców i rozpocząć przygotowania do powitania Ministra Pełnomocnego i Nadzwyczajnego Ambasadora Księżyców Jowisza.

Przełożył **Krzysztof Rudziński**

Oficjalna historia latających talerzy zaczęła się 37 lat temu. 24 czerwca 1947 r. amerykański przemysłowiec Kenneth Arnold, lecąc swym prywatnym samolotem nad górami stanu Waszyngton w USA, dostrzegł kilka dziwnych obiektów, poruszających się w powietrzu szybciej niż jego samolot. Arnold złożył raport siłom lotniczym (US Air Force) sądząc, iż ma do czynienia z jakimiś urządzeniami szpiegowskimi. Określił owe obiekty wedle ich kształtu jako „latające talerze" (flying saucers). Dopiero później zyskały one nazwę poważniejszą, już naukową: niezidentyfikowane obiekty latające, czyli UFO (skrót słów angielskich Unidentified Flying Objects).

Z publikacji poświęconych UFO można by dziś złożyć dużą bibliotekę. Znalazłyby się w niej i oficjalne raporty władz, i wypowiedzi znanych uczonych, i relacje świadków, i wreszcie spora liczba książek, pisanych przez autorów poważnych i mniej poważnych, przez dziennikarzy o znanych nazwiskach i przez maniaków i hochsztaplerów (tych ostatnich było niestety i jest zawsze najwięcej.)

Do dziś spór o UFO nie został rozstrzygnięty, hipotez na ten temat było sporo, zaś wśród uczonych są i tacy, którzy z góry zakładają, ze wszelkie obserwacje UFO są wynikiem omyłek lub oszustw, a latających talerzy po prostu nie ma. Jest to naturalnie wyjście najłatwiejsze, ale na szczęście nie wszystkich zadowala. Od razu jednak uspokoję Czytelników: nie zamierzam powtarzać całej historii UFO, relacjonować sporów ani przytaczać kolejnych argumentów za i przeciw. Chciałbym natomiast przedstawić kolejną hipotezę próbującą wyjaśnić, czym ewentualnie mogą być niektóre zjawiska określane jako UFO. Użyłem tu zabezpieczającego słówka „niektóre", bowiem obiektami latającymi i dotąd niezidentyfikowanymi jest bardzo wiele rzeczy. Żadna poważna hipoteza nie może zakładać, iż wszystkie tego rodzaju zjawiska mają jedno wyjaśnienie.

Otóż w latach 60-tych fizyk F. Lagarde badał we Francji „falę doniesień o UFO" z roku 1954 (nb. bardzo to znamienne, iż doniesienia na ten temat napływają falami) Lagarde dostrzegł, ze rejony, z których napływały raporty, odznaczają się szczególną budową geologiczną. Mianowicie w tych miejscach występują na ogół tzw. uskoki, czyli specyficzne deformacje głębokich warstw skalnych, polegające na rozerwaniu danej warstwy i przesunięciu wobec siebie rozerwanych końców. Zresztą mniejsza o szczegóły, najważniejsze, iż w rejonach uskoków występują naprężenia natury mechanicznej, skały są ściskane, rozciągane itd. Lagarde zwrócił uwagę, iz pewne krystaliczne formacje skalne poddane podobnym naprężeniom dają tzw. efekt piezoelektryczny. Po prostu kryształy o pewnej symetrii (np. kwarc) pod wpływem ściskania wytwarzają różnicę potencjałów, energia mechaniczna zmienia się w elektryczną. Pole elektryczne wytwarzane przy uskoku jonizuje powietrze nad powierzchnią ziemi. Powstają wtedy świetliste słupy jonizującego gazu, które w pewnych warunkach stają się ruchome, mogą tez przybierać kształty soczewkowate. Ruch takiej „świetlistej soczewki" bywa bardzo szybki, zwroty nagłe, zniknięcie również, w pobliżu zaś mogą występować różne zjawiska natury elektrycznej i magnetyczne, zakłócenia przyrządów itp. itd. Spostrzeżenie Lagarde'a przeszło najpierw bez echa, ale w latach 1972-75 Anglicy A. York i P. Devereux, badając doniesienia o UFO w hrabstwie Leicestershire, znów potwierdzili korelację: UFO spostrzegano właśnie w okolicy uskoków tektonicznych. Devereux zbadał nawet miejscowe archiwa: w ciągu ostatnich 300 lat różne „błędne ogniki", „świetliste zjawy" i nietypowe zjawiska atmosferyczne pojawiały się najczęściej w rejonie uskoków!

Kanadyjczyk Michael Persinger z Lauretarian University w Ontario rozwinął koncepcję

Lagarde'a i przedstawił w piśmiennictwie naukowym w formie spójnej hipotezy: UFO są wynikiem efektu piezoelektrycznego. Praca Persingera ukazała się w 1977 r.
Hipotezę postanowili sprawdzić inni. Amerykanie Brian Brady w laboratorium Uniwersytetu w Denver (Colorado) poddał granit (zawierający, jak wiadomo, kryształy kwarcu) odpowiednim naprężeniom i przebieg doświadczenia filmował specjalną kamerą. Na oglądanym potem zwolnionym filmie dostrzegł różne świetliste, ruchome kształty „UFO-podobne" - jak to określił, inni uczeni testowali hipotezę w terenie, raportów o UFO. Inny Amerykanin, geolog John Derr jest zdania, że zjawiska tajemniczych ruchomych świateł w rejonach uskoków i pofałdowań lepiej niż efekt piezoelektryczny tłumaczy tzw. tryboluminescencja. Nie wdając się w szczegóły przypomnę tylko, że jest to emisja zimnego światła w wyniku tarcia. Tryboluminescencja w obszarach uskoków daje efekty, które przypominają UFO - i Devereux wraz z McCartneyem odstąpili teraz od hipotezy piezoelektrycznej na rzecz właśnie tryboluminescencji.
Cała sprawa jest jeszcze bardziej niezwykła, bo

Z tamtej strony lustra

COŚ NOWEGO o latających talerzach

Maciej Iłowiecki

to jest usiłowali sprawdzić, czy kolejne fale doniesień o UFO pochodzą właśnie z rejonów, w których wstępują uskoki. W Anglii szczególne nagromadzenie doniesień wystąpiło w okolicach miasteczka Warminster, gdzie utworzono nawet specjalną placówkę obserwacyjną. Podobnie było w pobliżu walijskiego miasteczka St. Briedes Bay (rejon Dyfed) - tutaj świadkowie opisywali zjawiska, które nazywali „lądowaniem UFO" (w 1977 r). Badający te sprawy nawiązali współpracę z geologami, ci zaś stwierdzili, że w pobliżu Warminster przebiegają dwa uskoki, zaś rejon Dyfed jest w ogóle pełen bardzo starych uskoków i przemieszczeń skalnych. Doktor McCartney dokonał analizy doniesień o UFO z tych okolic - otóż 34,4 proc. widzianych UFO wystąpiło nie dalej niż 50 m od uskoków, 84,4 proc. - nie dalej niż 550 m.
Inni uczeni brytyjscy zbadali zapiski w archiwach i stwierdzili, że masowe doniesienia o „tajemniczych światłach" pojawiły się w latach 1904-05 na wybrzeżu walijskim między Barmouth a Harlech. Owe dziwne „Światła z Barmouth" wiązano wtedy z miejscową kaplicą, gdzie miały się dziać rzeczy niezwykłe. Dziś stwierdzono, że dokładnie na linii łączącej Barmouth z Harlech leży wielki, głęboki uskok geologiczny, tzw. Uskok Mochrasa. Brytyjczycy zwrócili też uwagę, że sławny pionier UFO, Keneth Arnold, zobaczył dziwne „talerze" w czasie lotu nad obszarem szczególnie tektonicznie ruchliwym (Góry Kaskadowe z wulkanem St. Helens, nadto granica płyt litosfery północnoamerykańskiej i pacyficznej). Przypomniano, że od czasów najdawniejszych ludzie widywali „światła trzęsienia Ziemi" w pobliżu obszarów sejsmicznie niespokojnych. Amerykański fizyk Harley Rutledge zbadał pewne obszary stanu Missouri. Stwierdził współistnienie licznych wewnętrznych naprężeń pod powierzchnią Ziemi, specyficznego ukształtowania terenu, efektów piezoelektrycznych i... licznych oto amerykański profesor Alvin Lawson twierdzi, że pewien rodzai efektów świetlnych (właśnie takich, jakie występują w strefach tektonicznie ruchliwych) może u ludzi wywołać halucynacje. Czyżby więc opisy bezpośrednich spotkań z pilotami UFO miały być wynikiem właśnie halucynacji? Tłumaczyłoby to wiele, a przede wszystkim zdjęłoby ze świadków „spotkań III rodzaju" odium oszustów i łgarzy. Lawson idzie jeszcze dalej i stawia tezę tak niebywałą, że przytoczę ją w formie cytatu (z brytyjskiego pisma naukowego „New Scientist"). Otóż istnieje korelacja *„między pewnymi opisami porwania przez UFO a sposobem urodzenia danej osoby. Jeśli urodziła się w zwykły sposób, jej wejście na pokład UFO nigdy nie będzie związane z eksplozją światła; jeśli zaś urodziła się z pomocą chirurga, wejście nigdy nie odbywa się przez tunel. Lawson uważa takie opisy wejścia do UFO albo za stłumione wspomnienia nagłego, wymuszonego pojawienia się na świecie w chwili narodzin, albo za powolną podróż wzdłuż kanału rodzenia się w sposób normalny".*
Lawson współpracujący z lekarzem W. McCallem działa wprawdzie na dość poważnym uniwersytecie (California State University), ale nie jest psychologiem, lecz filologiem, trudno mi zresztą ocenić jego hipotezę. Może więc tylko dodam, że wspomniany Persinger i kilku innych znanych liczonych uważa pojawienie się halucynacji w bezpośredniej bliskości promieniowań jonizujących za całkowicie możliwe. Inni badacze wykazali podobieństwo między fizjologicznymi efektami „bliskiego spotkania z UFO" a skutkami zaburzeń epileptycznych.
Hipoteza, iż przynajmniej część UFO jest efektem zjawisk piezoelektrycznych lub tryboluminescencji, wydaje się spójna, logiczna, umotywowana obserwacjami i tłumacząca sporo faktów. Jak na nową hipotezę, to już bardzo dużo, choć jeszcze nie wszystko. Żeby hipoteza stała się uznawaną teorią, trzeba jeszcze więcej faktów i obserwacji. Fakty te są obecnie zdobywane i można sądzić, że „geologiczna hipoteza" UFO zostanie wkrótce zweryfikowana. Wówczas ucieszą się ci, którzy sądzą, że UFO są jakimiś zjawiskami natury przyrodniczej. W tym poglądzie mieści się też koncepcja, że UFO są efektem pewnych specyficznych zjawisk atmosferycznych - tworzenia się tzw. dysków powietrznych. Albo koncepcja, że UFO miałyby być efektem odbicia się światła słońca - w pewnych warunkach - od lecących wysoko wędrownych gromad ptasich. Albo wreszcie hipoteza, że UFO są latającymi chmurami pewnych owadów... itd. itp. Oczywiście, każda z tych koncepcji ma jakieś obserwacyjne przesłanki i w tym sensie nie jest nieprawdopodobna. Być może, przyczyny istnienia różnych UFO są właśnie różne. Zresztą nie tylko o to chodzi. Chodzi o to, by w ocenie UFO pozbyć się wreszcie uprzedzeń, które poważnym skądinąd ludziom nie pozwalają dostrzegać faktów. Pisałem już wiele razy o tym i powtórzę jeszcze raz: UFO są zjawiskiem dziwnym i wartym badania, nawet w tym wypadku, jeśli są tylko płodem ludzkiej wyobraźni czy halucynacji - wówczas są bowiem także faktem, tyle, że mającym naturę psychospołeczną.
Dwie cechy tego zjawiska wystarczą całkowicie, żeby zajęła się nim nauka: mianowicie jego powszechność i uporczywość trwania (i to pomimo stałego ośmieszania świadków; dziś już mało kto odważy się oświadczyć publicznie, że widział UFO!). Jeśli UFO są rodzajem jakichś podświadomych marzeń zbiorowości ludzkiej, jeśli są złudzeniem, wyrosłym z wyobraźni - ich zbadanie poszerzy wiedzę o psychice ludzkiej i w ogóle o naszej epoce. Jeśli są realnym zjawiskiem przyrodniczym - ich zbadanie poszerzy naszą wiedzę o przyrodzie. W tej mierze odpowiada mi postawa uczonych brytyjskich - nie zakładając niczego a priori, przystąpili do zbadania faktów. Jedni zajęli się hipotezami przyrodniczymi na temat UFO (o nich pisałem wyżej), inni - badaniem związanych z tym zjawisk społecznych (socjolog z uniwersytetu York, pani Shirley Mclwer otrzymała na te badania stypendium). U nas samo pisanie o UFO wywołuje już furię u niektórych tzw. racjonalistów...
Istnieje jeszcze hipoteza najmniej prawdopodobna i może najbardziej fascynująca: UFO są przejawem działania OBCYCH, działania ETI (Extraterrestial Intelligence - „rozumu pozaziemskiego"). Można uznać tę hipotezę za zupełnie fantastyczną, ale nie sposób odmówić jej atrakcyjności. Nie jest to oczywiście argument naukowy, ale też doświadczenia z historii nauki dowodzą, że często właśnie prawdziwe okazywały się hipotezy najbardziej dziwne, całkowicie „fantastyczne". Nie twierdzę, że UFO są dziełem istot rozumnych. Sądzę, że zagadka UFO - jedna z dziwniejszych w naszych dziwnych czasach - zostanie w końcu wyjaśniona. Pod warunkiem, że w nauce zwyciężą ludzie o umysłach otwartych, którzy nie decydują z góry, iż czegoś nie ma, bo być NIE MOŻE, bo nie mieści się w zakresie naszej dotąd zdobytej wiedzy.



WORLD SF
THE INTERNATIONAL SCIENCE FICTION ASSOCIATION OF PROFESSIONALS

„Chcemy pokazać polską SF”

mówi doktor Duszan SLOBODNIK z Bratysławy, uczestnik brightońskiego spotkania Światowej Organizacji Profesjonalistów SF

***Adam Hollanek:** - Czytelników naszego pisma, a także i polskich pisarzy science fiction interesuje żywo w jakim stopniu docenia się ten gatunek literacki w Czechosłowacji. Czy, jak to bywa w wielu krajach, traktuje się go głównie jako element rozrywki?*

Duszan Slobodnlk: - Sądzę, że literatura SF ma wszędzie szerokie rzesze odbiorców, nie tylko jednak na skutek swoich walorów przygodowych, rozrywkowych. Każdy człowiek interesuje się jutrem, problemami przyszłości własnej i tego, co go otacza. Przeszłość to zawsze sprawa zamknięta, to entropia. Kształty dnia jutrzejszego i pojutrzejszego można stwarzać, budować. W krajach socjalistycznych szczególnie silnie akcentuje się te możliwości budowania przyszłości. I stąd też zapewne, między innymi, powód do dużego sukcesu pisarstwa futurologicznego jakim bardzo często jest fantastyka. W Czechosłowacji docenia się w pełni znaczenie tego pisarstwa. Świadczy o tym zarówno liczba twórców, zajmujących się nim, jak i wydawnictw, serwujących czytelnikom książki w stosunkowo dużych nakładach.

- Ile jest tych wydawnictw?

- Chyba tyle co w waszym kraju. W każdym razie zbliżona liczba. Weźmy dla przykładu Słowację, w której stolicy mieszkam i pracuję. Mamy tu aż pięć wydawnictw zajmujących się publikowaniem fantastyki: „Mlade Leta”, „Smena”,„Tatran”,„Obzor” i„Prawda”. Podobnie dzieje się w Czechach. I tu od razu może przejdę do sprawy głównej dla naszego spotkania. Wiem dobrze jak wy, polscy twórcy fantastyki, pragniecie współpracy, jak bardzo zależy wam na tworzeniu wzajemnej wiedzy między bratnimi narodami właśnie w dziedzinie tej specyficznej i popularnej literatury jaką jest SF, jej sceneria, jej poetyka. Otóż jedno z naszych wydawnictw - „Smena” - podjęło się pracy nad systematycznym publikowaniem przeglądów utworów SF różnych krajów. Zwłaszcza ze cieszą się one dużym powodzeniem, stają się sukcesem czytelniczym. Tak było na przykład z antologią radziecką „13 razy Sci-fi”, której pierwsze wydanie rozeszło się błyskawicznie w ubiegłym roku i już drukuje się następne. Pragniemy ukazać w najbliższym czasie także i wybór najcelniejszych utworów autorów polskich. Myślę, że nam w tej pracy pomożecie.

- To rzecz oczywista. Rozumiem, że chodzi tu o przekłady prozy SF trzech różnych pokoleń twórców polskich.

- Właśnie. Proponuję, aby wybrać także do tej polskiej antologii utwory najbardziej obiecujących debiutantów. Czekamy na wasze propozycje, konkretne. Marka polskiej literatury SF, szczególnie znanego u nas Stanisława Lema, zobowiązuje. Lema wydaje się u nas bardzo często. Znane są tu także jego utwory o charakterze teoretycznym, naukowym. Takie jak „Summa Technologiae” czy „Fantastyka i futurologia”. Zresztą nasze wydawnictwastarająsiępublikowaćnajlepsze utwory najbardziej wziętych pisarzy-fantastów z całego świata. W ubiegłym roku na przykład ukazało się „Pełne zaćmienie” Johna Brunnera oraz „Koniec wieczności” Asimova. Nakłady 20-, 30-tysięczne, a więc w naszych warunkach spore, znikają bardzo szybko z półek księgarskich.

- Muszę z zażenowaniem stwierdzić, że tylko bardzo ogólnie, nazbyt ogólnie orientujemy się w ruchu wydawniczym SF w Słowacji, choć przecież kontakty z literaturą naszych południowych sąsiadów są stare i dobrze ugruntowane. Może wobec tego zorientuje nas pan w tym, co ostatnio ukazuje się u was w fantastyce i jakiego to typu SF?

- Myślę, ze można by zaproponować polskim wydawcom sporą dawkę interesujących utworów licznej grupy autorów słowackiej fantastyki. Jeden z typów tej fantastyki to opisywanie podróży na inne planety, to modelowanie hipotetyczne życia istot rozumnych na tych ciałach niebieskich. W przygodzie biorą zwykle udział młodzi bohaterowie. Specjalistą tego genre’u jest międzyinnymiJosefŻarnay,twórcawydanych w „Mladych Letach”: „Tajemnicy smoczego muru”, „Kolumbów z bazy Ganimedes” oraz „Przeklętej planety”. W tematyce filozoficznej celuje jedna z najbardziej wszechstronnych i aktywnych pisarek, Alta Vaszowa. Polecilbym jej książkę „Po” („Slovacki Pisovatel”) lub „Bliźniaki z Gemini” („Mlade Leta”). Problemy etyczne stawia na pierwszym miejscu swej beletrystycznej twórczości Jan Fekete. Powodzeniem cieszyły się jego opowiadania, opublikowane w „Mladych Letach”. Modne są u nas także psychologiczne powieści i opowiadania SF, przedstawiające człowieka w nowym, nieznanym mu środowisku i często w warunkach wręcz drastycznego zagrożenia. Autorem tego rodzaju utworów jest na przykład pisarz średniego pokolenia Ivan Izakowicz, twórca „Cudnych światów”, opublikowanych w 1978 roku. Z tego samego średniego pokolenia pochodzi znany i poczytny Josef Repko, autor min. „Kolonii Lambda Pi” - powieści, której już oczekują czytelnicy, a która wyjdzie dopiero w roku przyszłym. Warto tu jeszcze dodać (przecież mogę w naszej rozmowie wymienić tylko nieliczne nazwiska znanych lub dobrze zapowiadających się twórców), że wiele książek adresują ci twórcy do młodzieży, a także i do dzieci. W wielu wypadkach kariera twórcza pisarza zaczyna się właśnie jako autora książek dla dzieci. Oczywiście mówię tutaj ciągle o naszej literaturze science fiction. Zresztą i wielu czytelników rozwija się niejako w podobny sposób. Publiczność literacka fantastyki, tej już dorosłej, rekrutuje się bowiem w wielu wypadkach z szeregów tych młodziutkich ludzi, którzy od najwcześniejszego wieku interesowali się lekturami fantastycznymi

- Na ten meeting w Brighton, spotkanie profesjonalistów, ale także i amatorów literatury i sztuki SF, zjechało się z wszystkich krajów (Europy zwłaszcza) mnóstwo młodych ludzi. Ryzykują trudne warunki bytu, nie dysponując większymi zasobami pieniężnymi. Odbywają podróże autostopem, z mocno obciążonymi plecakami. Wszystko gotowi znosić, byle tylko zobaczyć swoich ulubionych pisarzy, porozmawiać z nimi, podyskutować o swojej ukochanej fantastyce. Są tu także i tanowie z Polski. Czy i ruch fanów w Czechosłowacji jest mocno rozwinięty, czy tworzy kluby, organizuje imprezy?

- Ten ruch znajduje się in statu nascendi. W tym sensie, że właśnie poczyna się organizować. Z niezidentyfikowanej sporej już w naszym kraju publiczności literackiej SF tworzy się publiczność, mogąca odegrać rolę w formowaniu dalszych losów tego gatunku twórczości.

- Myślę wiec, że spotykać się będą coraz częściej nie tylko nasi twórcy i teoretycy litera tury SF, tak jak my tutaj obecnie spotykamy się w Brighton, lecz także przedstawiciele waszych i naszych fanów. Bardzo dziękuje, doktorze, za rozmowę. Mam nadzieje, że niedługo będzie mógł wyjść reprezentatywny przegląd polskiej SF w Czechosłowacji, a słowackiej i czeskiej SF w Polsce.

Notował **Adam Hollanek**

Dr Duszan SLOBODNIK
pracuje w Słowackiej Akademii Nauk w Bratysławie. w Instytucie Literaturoznawstwa. Jego przyjaciele to zasłużeni poloniści - Josef Hviszcz i Pavel Wmczer. Żona tłumaczy książki z rosyjskiego i polskiego.
Slobodnik jest teoretykiem literatury, autorem licznych prac z tej dziedziny. Pisze o autorach, dziełach i problemach literatury radzieckiej, o „drogach do poezji” i o „drogach do prozy”. Zajął się również założeniami fantastyki w książce zatytułowanej „Sceneria i poetyka Sci - Fi”, opublikowanej przez wydawnictwo „Mlade Leta”.
A.H

Brian Aldiss

Życie zachodnie

Ja ziemny zwierz dotknąłem fal tych
morskich, gdzie gwiazd płomienna farba
płukała ciała znikczemniałe kształty,
gdzie wschód z zachodem wzięty się za gardła,
gdzie z żądz ogromnych konstelacji
wypełzły naraz wszystkie wrogie racje.

Gdzie żar bil w zęby, w oczy, włosy burzył
wrzątek jasności nieprzejrzanych
buchał w kościstym, ludzkim abażurze.
A po tej wizji znów te zęby, włosy
istne łby wilcze, wilczy uśmiech kosy,
jak uśmiech mój w oczach mej ukochanej.

Miłość zbyt wcześnie-ukarała śmiercią
jej twarzy jasnej fałsz. Zamilkł dom stary.
Wdepnąłem, pędzę w świat zdesperowany,
świat zagłuszony rykiem trąb paradnych
i szukam ciągle nowych mód, nie prawdy:
to myśl przywłaszczyć chce co serc morderca.

Spolszczył
Adam Hollanek



Brian ALDISS

należy do czołówki w skali światowej pisarzy SF. Ma w swoim dorobku około dwudziestu książek tłumaczonych na wszystkie niemal języki świata (po polsku **„Cieplarnia"** niedawno recenzowana „Fantastyce"). Ostatnio wydane powieści **„The Life In the West"** (Życie na Zachodzie) oraz **„Helliconia Spring"** (Wiosna Helikonii) i **„Heliconia Summer"** wzbudziły szerokie dyskusje krytyki światowej. W 1969 r. Aldiss został uznany za najpopularniejszego pisarza SF w Wielkiej Brytanii. Pełnił zaszczytna funkcję (do roku bieżącego) przewodniczącego World SF Organisation.
Aldis jest nie tylko świetnym prozaikiem, para się również poezją. Cytowany w polskim przekładzie wiersz rozpoczyna powieść „Życie na Zachodzie" Autor opatrzył go dla „Fantastyki" swoim autografem.
Dane biograficzne oraz szerszą informację dotyczącą twórczości pisarza Czytelnicy „Fantastyki" mogą znaleźć w numerze 10/83.

POSTERY „FANTASTYKI”

Wprawdzie dyskusja na temat pierwszych posterów „Fantastyki” rozpoczęta się od chwili, gdy ukazały się w sprzedaży i natychmiast wywołała falę listów do redakcji, dopiero jednak teraz pokazujemy cała szóstkę. Jednym się podobają, innym nie. Właściwie każdy Czytelnik chciałby co innego zobaczyć. Żąda się więc posterów baśniowych, wiele osób znowu wolałoby, aby miały charakter komiksowy. Są tez tacy, którzy pragnęliby na przykład widzieć kolekcję nieistniejących, ale znakomicie ukazanych pojazdów kosmicznych.

Zdajemy sobie sprawę z tego, jak trudnego, a może niewdzięcznego, zadania się podjęliśmy. Będziemy się starać, aby zadowolić różne gusty naszych odbiorców. Mogę na przykład zapowiedzieć, ze dwa projekty posterów w nowej, następnej serii przygotował na sposób komiksowy jeden z twórców poprzedniego naszego komiksu p. Polch, którego nazwisko często wymieniają fanowie, domagając się jego ilustracji.

Zobaczymy czy w ogóle postery typu SF przyjmą się u nas. Pragnę przypomnieć, ze są numerowane. Wiadomo, że wiele osób będzie Je zbierało tak, jak np, znaczki pocztowe, że drudzy będą kupować tylko to, co im się najbardziej podoba. Prosimy o dalsze głosy na temat posterów proszę formułować konkretne zarzuty lub propozycje. Czekamy i z góry dziękujemy.

A.H.











